www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 15 (901)
10-17.04.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Maciej Lasek: Wszystkie brednie Macierewicza

Józef Hen: Inteligent bez ludu

Janina Ochojska: Życie tanie jak woda

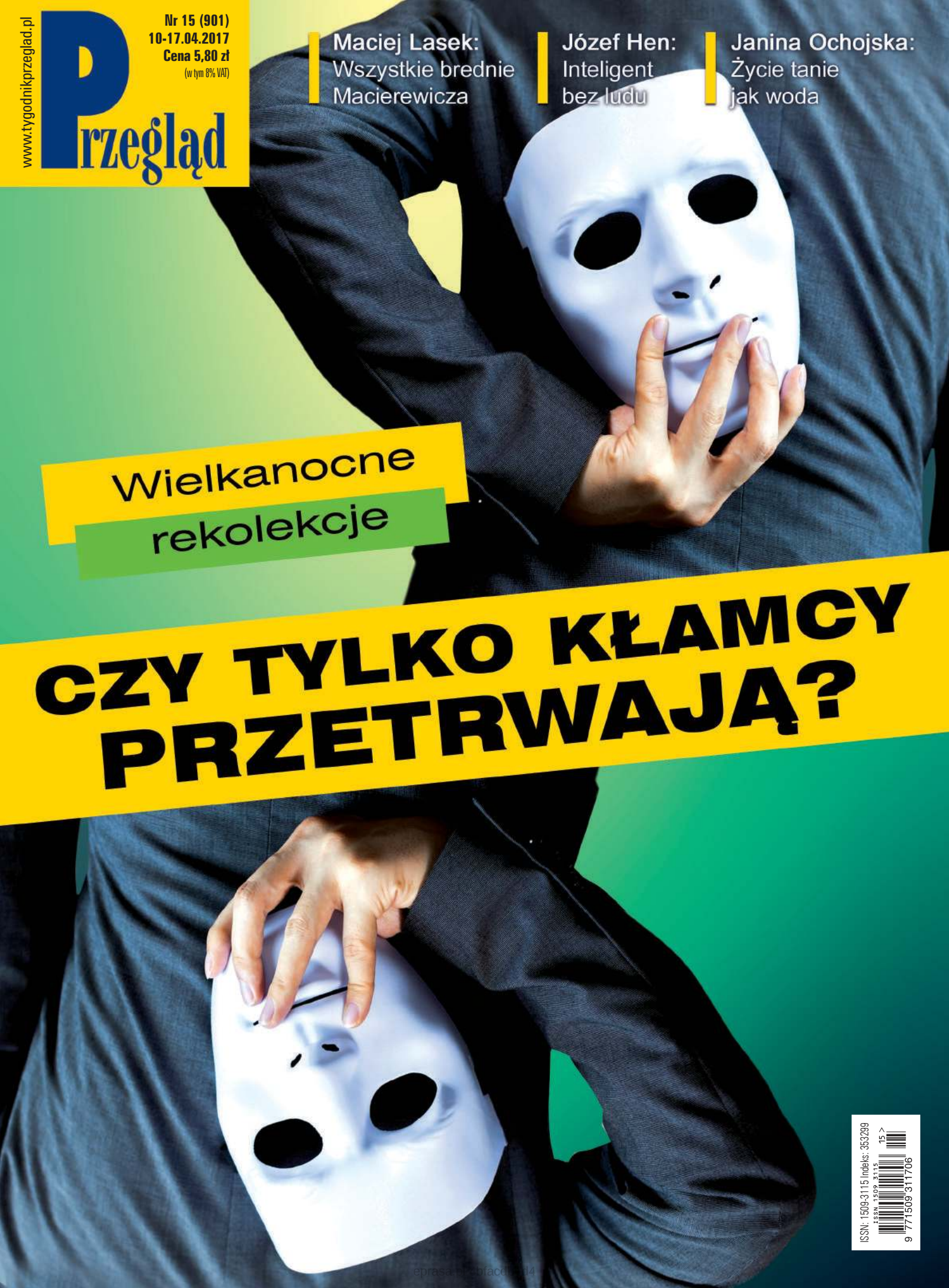

Wielkanocne rekolekcje

CZY TYLKO KŁAMCY PRZETRWAJĄ?

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl#bfacd...d4

Lato
-TARGI TURYSTYKI -
I WYPOCZYNKU
WAKACYJNIE
WEEKENDOWO
RODZINNIE
RÓWNOLEGLE ODBYWAJĄ SIĘ
Regionalia
TARGI PRODUKTÓW
TRADYCYJNYCH I EKOLOGICZNYCH

21-23 KWIETNIA 2017, CENTRUM MT POLSKA

UL. MARSA 56C, 04-242 WARSZAWA

Organizator: MTtargi Polska Kontakt: tel. + 48 22 529 39 00 | e-mail: lato@mttargi.pl | **www.targilato.pl**

eprasa.pl 4bfacdb7d4

CYTATY

PROF. JADWIGA STANISZKIS, SOCJOLOG
Duda okazał się gorszym prezydentem, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.
„Polska The Times”

EMMANUEL MACRON, KANDYDAT NA PREZYDENTA FRANCJI
Przyglądamy się, jak Węgry czy Polska depczą europejskie wartości, ale nic przeciwko temu nie robimy.
„Forum” (za „Der Spiegel”)

PROF. JAN WOLEŃSKI, PRZEWODNICZĄCY KOMITETU ETYKI W NAUCE PAN
Komisje dyscyplinarne, rzecznicy, rektorzy i dyrektorzy patrzą przez palce na zachowania nieetyczne.
„Odra”

ARKADIUSZ JAKUBIK, AKTOR, REŻYSER
Jestem upartym osłem spod znaku Koziorożca, który miał z życiu dużego farta.
„Gala”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Brednie coraz bardziej samotne

Czy jesteśmy skazani na kłamców, oszustów i naciągaczy wciskających ludziom kit? Na bezczelność manipulatorów, którzy rozmnożyli się we współczesnym świecie na niebywałą skalę? Jest takie niebezpieczeństwo. Ale są też progi określające cierpliwość ludzi. I gdy się je przekracza, to nawet tak dobrze zorganizowana machina kłamstwa smoleńskiego zaczyna się wywracać. Obrzydliwa gra trumnami zaczęła mierzić nawet wyborców PiS. Tylko jedna trzecia z nich nadal wierzy w zamach.

Kto jeszcze czeka na kolejną brednię, jaką ogłosi zespół Macierewicza? Media „dobrej zmiany” albo zagarnięte media kiedyś publiczne?

Im dłużej trwają rządy PiS, tym oczywistszy staje się upadek obozu, który na micie zamachu w Smoleńsku zbudował swoją pozycję. Przez siedem lat wyprodukowano setki fałszywych materiałów, ogłoszono dziesiątki paranoicznych wersji katastrofy samolotowej, obrażając przy tym wszystkich, którzy uczciwie wyjaśniali jej przyczyny. I nic. W zamach wierzy tylko 14% Polaków. Jeszcze wierzy! Kończą się kariery zbudowane na bezustannie powtarzanych kłamstwach. Gdy większość Polaków opłakiwała tragedię smoleńską, znaleźli się politycy i media, którzy wykorzystali ją do własnych karier politycznych i biznesowych. Zbudowali je na kłamstwie o zamachu. A w podtrzymanie tego mitu wmontowano instytucje państwowe.

Na szczęście prawa fizyki nie podlegają politykom „dobrej zmiany” i absurdalne hipotezy z nimi nie wygrają. Na szali ocen przyczyn tego, co się stało 10 kwietnia 2010 r., brednie będą coraz bardziej samotne.

Ale to przecież nie zamyka sprawy. Są autorzy fałszywek, cyniczni manipulatorzy, kłamcy smoleńscy. Jeszcze coś produkują. Jeszcze im się wydaje, że gazety zbudowane na kłamstwach gwarantują im wieczną bezkarność. Mylą się. Jedno jest już oczywiste. To, że kłamali i że ciągle kłamią w sprawie katastrofy. Czy bezinteresownie? Koń jaki jest, każdy widzi. A pilot maszyny Jak-40, który zachęcał załogę Tu-154M do lądowania? Śpi spokojnie. Dla prawicy jest przecież bohaterem.

Świątecznej dawki optymizmu i nadziei, że jeszcze będzie, jak trzeba, a nawet lepiej

życzy zespół PRZEGLĄDU

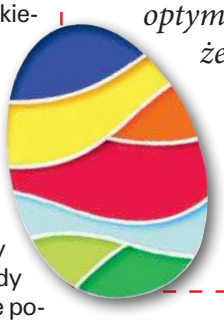

FAULE

Antywartości Chazana

Nie pożałowano grosza na wielką akcję propagandową wspierającą Bogdana Chazana. Wysypujące się z gazet półmetrowe ulotki stawiają go w gronie najbardziej prześladowanych ludzi w Polsce. A kto mu tak zagraża? „Radykalne działaczki feministyczne, które zbierają podpisy pod petycją, w której żądają odebrania mu prawa do wykonywania zawodu”. I tak feministki, biedne jak mysz kościelna, dostały wsparcie dla swojej akcji, o której wcześniej mało kto wiedział. Chazanowi oczywiście nic się teraz nie stanie. Jest zbyt cenny dla „dobrej zmiany”. Dla ministra Radziwiłła, który powołał go do grona mającego przygotować nowe standardy opieki okołoporodowej (?). I dla ojca dyrektora, u którego robi za literata. Teksty Chazana „O dobro wspólne” w „Naszym Dzienniku” wyróżniają się zajadłością. A przecież przebić się tam jest niezwykle trudno.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 4bfacdb7d4

W NUMERZE

KRAJ

8 **Wiedzieli, że nie wylądują**
– rozmowa z dr. Maciejem Laskiem

14 **Na Kasprowy przez Luksemburg**
Przekręt w majestacie prawa

16 **Kłamstwo i oszustwo są jak rak**
– rozmowa z prof. Andrzejem Szahajem

22 **Życie tanie jak woda**
– rozmowa z Janiną Ochojską

28 **Polak Grekowi bratem**
– rozmowa z Dionisiosem Sturisem

34 **Gdy książka była Bogiem**
– rozmowa z Józefem Henem

ZAGRANICA

20 **Jazydzi – wyznawcy Skruszonego Anioła**
Między Kurdami a dżihadystami

26 **Węglowa blokada Donbasu**
Zaostrzenie kryzysu na Ukrainie

32 **Zabić prezydenta**
Zemsta za wyborczą porażkę?

KULTURA

40 **Jezus w fazie testów**
Filmy religijne: bluźniercze i kłopotliwe

44 **Qulturalia**

46 **Zawód jak każdy inny**
– rozmowa z Jerzym Pilchem

66 **Rzeczywistości abstrakcje**

POLEMIKA

50 **PO-PiS szkodliwy dla Polski**
Gdzie jest miejsce lewicy

OBSERWACJE

52 **Kapryśne namiętności**
Głód seksu może doprowadzić do śmierci

56 **Tajemnice misterium**

58 **Wielkanoc na równiku**
Korespondencja z Quito

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Brednie coraz bardziej samotne

27 **Tomasz Jastrun**
Obsesja

39 **Edward Mikołajczyk**
Dajcie robotę Ziemkiewiczowi

43 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Bruce Willis zamiast cioci Gieni

28
WYWIAD

POLAK GREKOWI BRATEM
– rozmowa z Dionisiosem Sturisem

40
KULTURA

JEZUS W FAZIE TESTÓW
Filmy religijne: bluźniercze i kłopotliwe

WIELKANOC NA RÓWNIKU
Korespondencja z Quito

58
OBSERWACJE

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. Fotolia

eprasa.pl 4bfacdb7d4

MINISTER ZDROWIA MNIE OSZUKAŁ

Ucieszyła mnie informacja, że nie będę musiał płacić za leki. Postanowiłem przeznaczyć 200 zł, które co miesiąc wydaję w aptece, na prywatną rehabilitację, ponieważ NFZ w Gdańsku anulował moje skierowanie na leczenie poszpitalne. 3 września zeszłego roku poszedłem do przychodni po receptę na dziewięć stale przyjmowanych leków. W aptece dowiedziałem się, że za wszystkie trzeba zapłacić pełną cenę – 209 zł. W odpowiedzi na skargę do Ministerstwa Zdrowia czytam: „Ministerstwo Zdrowia działa w oparciu o przepisy prawa i w zakresie obowiązujących regulacji prawnych. Objęcie leku refundacją i ustalenie jego ceny urzędowej odbywa się w oparciu o decyzje administracyjne Ministra Zdrowia". Do tej pory zrozumiałem, ale kiedy dalej przeczytałem, że „są one wydawane na wniosek wnioskodawcy określonego w art. 2 Ustawy o refundacji leków", uznałem, że nijak nie da się tego zrozumieć. Z odpowiedzi nie byłem zadowolony, znowu napisałem do ministerstwa. Tym razem otrzymałem „Wykaz leków bezpłatnych dla pacjentów, którzy ukończyli 75. rok życia wraz z określonymi zakresami refundacji ze środków publicznych". Żadnego z moich leków w wykazie nie znalazłem.

Antoni Furchal, Malbork

•

Jesteśmy z żoną seniorami, mamy po 76 lat, ja przeszedłem operację serca. W styczniu za leki zapłaciłem 384 zł, w lutym 312 zł, a w marcu 420 zł. Lekarz wypisuje recepty z literą S. Darmowe leki to wierutne kłamstwo.

Marian Kuzio-Podrucki, Zgorzelec

PROCESY ZA PRAWDĘ O „WYKLĘTYCH"

Tylko patrzeć, jak zaczną się procesy polityczne za szerzenie prawdy o „żołnierzach wyklętych". Najlepszym przykładem jest kazus radnej z Częstochowy Jolanty Urbańskiej, która na wiecu i prywatnym profilu na FB przypomniała o cywilnych ofiarach „Rajsa", „Burego" i innych. Prokuratura Rejonowa w Częstochowie wszczęła śledztwo w sprawie „nawoływania do nienawiści na tle narodowościowym" (sic!) i przekazała je do prowadzenia Wydziałowi Kryminalnemu Komendy Miejskiej Policji w Częstochowie. Myślę, że PRZEGLĄD będzie miał kłopoty z prokuraturą za numery 9 (895) z 2017 i 17 (851) z 2016 r., w których zostały opisane zbrodnie na cywilach dokonane przez „Ognia" i „Łupaszkę". Okazuje się, że religia „wyklętych" zabrania mówić o ich haniebnych czynach. Jest to według Ziobrowej prokuratury przestępstwo. Ale gdy na Jasnej Górze narodowcy krzyczeli: „Śmierć wrogom ojczyzny!", żaden pisowski radny nie złożył zawiadomienia o nawoływaniu do nienawiści.

Marek Głowinkowski

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

PROF. CZESŁAW PARTACZ
Banderowcy mordowali, Polacy wysiedlali

GEN. JANUSZ BRONOWICZ
Nowe Zaleszczyki byłyby gdzieś na Odrze

KLIMONTÓW
Skrywana tajemnica żydowskiego miasteczka

PAJĄK ZAKŁADA PAS CNOTY
Intymne życie zwierząt

ZDJĘCIE TYGODNIA

Pisanki, drapanki, kraszanki, oklejanki, nalepianki, ażurki, rysowanki i skrobanki – technikę można wybrać dowolną, a efekt zależy od pomysłowości. Coroczny kiermasz wielkanocny w Muzeum Etnograficznym w Toruniu.

FOT. MAREK CHEŁMINIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 4bfacdb7d4

★ **501 mld zł** bezpośrednich inwestycji zagranicznych napłynęło do Polski od czasu wejścia do Unii Europejskiej w 2004 r.

★ **Elżbieta Rafalska**, minister rodziny, pracy i polityki społecznej, świętuje rok programu Rodzina 500+, który objął 3,82 mln dzieci do 18. roku życia.

★ **Sąd Najwyższy, Rzecznik Praw Obywatelskich, organizacje prawnicze i Biuro Legislacyjne Sejmu** uważają, że reforma Krajowej Rady Sądownictwa jest niekonstytucyjna.

★ **Prof. Henryk Skarżyński** przeprowadził pierwszą na świecie operację wszczepienia nowatorskiego implantu ucha środkowego. Nowe urządzenie pomoże głównie seniorom.

★ **Zbigniew Boniek**, prezes PZPN, został wybrany do Komitetu Wykonawczego UEFA i jest tam drugim Polakiem, po Leszku Rylskim, który zasiadał w tym gremium w latach 50. i 60. XX w.

★ **Prokurator Robert Rolka z Kielc** konsekwencją i skutecznymi działaniami doprowadził do rozbicia mafii Leszka K., przez 10 lat terroryzującej województwo świętokrzyskie, i wystąpił o zmianę wyroku 25 lat więzienia dla szefa gangu na dożywocie.

★ **Polskie kosmetyki** trafiają na najbardziej wymagające rynki, a ich eksport osiągnął w zeszłym roku rekordowy poziom 12,8 mld zł. Najwięcej kupiły **Wielka Brytania, Niemcy i Rosja**.

✖ **Pół miliona firm** działających w Polsce ma długi wobec ZUS na sumę 2 mld zł.

✖ Od 2016 r. **rośnie liczba zwolnień grupowych**. W minionym roku firmy zgłosiły do zwolnienia 351 tys. osób, co oznacza wzrost o ponad 40%. Największa skala dotyczyła Tesco, Almy i InPostu.

✖ **227 posłów z PiS, Kukiz'15 i Kół Republikanie oraz Wolni i Solidarni** zgłosiło projekt ustanowienia **14 kwietnia świętem narodowym** na pamiątkę chrztu Polski. To kolejny egzotyczny pomysł prawicy, dotyczący wydarzenia, o którym nie wiadomo, czy w ogóle miało miejsce, a jeśli nawet, to nie wiadomo, gdzie i kiedy.

✖ **Fundacja Centrum Europejskie Natolin**, z którą związany jest Jacek Saryusz-Wolski, otrzymała 248 tys. zł dotacji od ministra nauki. I pewnie nie ma to związku z kandydowaniem Saryusza-Wolskiego na szefa Rady Europejskiej?

✖ **W Mielcu** za skromny **1 mln zł stanie 18-metrowa wieża widokowa z Matką Boską**, patronką miasta, na szczycie. Radni z PiS uznali tę inwestycję za priorytetową dla miasta.

✖ W latach 2014-2020 Polska ma wydać na **infrastrukturę kolejową 66 mld zł dotacji unijnych**. Do tej pory wydano 4,2 mld zł.

PRZE BŁYSKI

CZARNECKI RYCHU. KNUCIE CAŁĄ DOBĘ

Dzień, w którym trafi do was Ryszard Czarnecki, zaznaczcie na czarno. Zaczną się kłopoty. Jeszcze żadna partia, a było ich wiele, nie przeżyła Czarneckiego. Ten grubasek jest jak tasiemiec. Wyssie wszystko. I przeskoczy do nowego żywiciela. Aktualnie doi PiS. Może knuć całą dobę. Nie załatwił sobie posady w Europejskim Trybunale Obrachunkowym, mimo że do uwalenia Janusza Wojciechowskiego użył polityków PO. Zaczął więc batalię o posadę komisarza UE. Ale ma małe szanse, by wygrać z Tomaszem Porębą, ulubieńcem prezesa. No to Rychu chce połknąć Polski Komitet Olimpijski. I 22 kwietnia wysiudać stamtąd Andrzeja Kraśnickiego, świetnego organizatora i działacza. Wydzwania więc z Brukseli do mediów i przylatuje na każdy program, do którego tylko go zaproszą. Zaletą programów z jego udziałem jest to, że w połowie nie wiadomo, co Rychu mówi. Podobno wszyscy logopedzi uznali jego przypadek za beznadziejny.

PLAN OGÓREK NA ŻYCIE

Wydawało się, że śmiesznie już było. W kampanii. Gdy Ogórek nieudolnie udawała konkurentkę Komorowskiego i Dudy. Śmiał się wtedy cały kraj. No, prawie cały. Bo bez części SLD, która sobie zafundowała tego samobója. Kto wtedy mógł przewidzieć, że to wcale nie był szczyt wzmożenia myślowego tej wybranki nie wiadomo kogo – bo do dziś nikt nie chce się przyznać do ojcostwa pomysłu. A szkoda, bo Ogórek ładnie rozwinęła swój talent komiczny. Równo miesiąc temu w tygodniku „dobrej zmiany" „wSieci" kucnęła przed Kaczyńskim. I to jak: „Na pewno jest wybitnym politycznym strategiem. Realizuje wizję Polski, wobec której opozycja jest kompletnie bezsilna. Potrafi w paru krótkich zdaniach sprowadzić opozycję do parteru i wykazać jej porażającą indolencję intelektualną".

Kiedyś Ogórek uwierzyła, że jest kandydatką. A teraz uwierzyła, że „dobra zmiana" i jej prezes będą trwać wiecznie. I że na długo będzie miała występy w mediach PiS, programy w TVP i dotacje do książek. A tu bęc. „Dobra zmiana" się zwija. Zobaczymy, do jakiego portu popłynie wtedy Ogórek.

MINISTER SAKIEWICZ

Władze, czyli prezes K., rozglądają się za następcą Waszczykowskiego. Aż dziw, że się rozglądają. Przecież w każdej miesięcznicy bierze udział Tomasz Sakiewicz. Postury podobnej do Waszcza. I podobnie kumaty. Na zlocie klubów „Gazety Polskiej" w Budapeszcie sławił tysiącletnią przyjaźń Polaków i Węgrów. Jak on to liczy? A pod pomnikiem Bema wychwalał „wolne narody, które budzą się w Polsce, na Węgrzech, w Anglii i w USA". Choć to chyba się nie spodobało prezesowi. No bo jak? Prawie dwa lata rządów PiS i Polacy dopiero się budzą? Sakiewicz, nie śpij!

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 4bfacdb7d4

www.sklep.mleczko.pl www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | O kim w polskiej polityce można powiedzieć: dżentelmen?

DR IRENA KAMIŃSKA-RADOMSKA,
wykładowca oraz trener protokołu dyplomatycznego i etykiety biznesu

Nie będę podawała nazwisk, ale podpowiem, jak rozpoznać dżentelmena. Dżentelmen to osoba świetnie wychowana, wykształcona, o doskonałych manierach, swobodna w towarzystwie; dbała zarówno o swoją powierzchowność, jak i charakter. To znawca sztuki, muzyki, wina i cygar. Zawsze w razie potrzeby gotów usłużyć kobiecie. Prawdziwym dżentelmenom przyświecają szlachetne wartości, nade wszystko cenią sobie honor. Zawsze bronią prawdy i dotrzymują danego słowa. Dla obrony czci i honoru – własnego i najbliższych – potrafią poświęcić nawet życie. Tchórzostwo dla dżentelmena to największa obelga.

DANUTA POLAK,
Unia Pracy, była posłanka

W zalewie codziennej agresji i manipulacji ulegamy jako społeczeństwo niezdrowym emocjom, dlatego politycy nie cieszą się autorytetem. Dla mnie wzorem dżentelmena w polityce jest były wicepremier Marek Pol, który wyróżniał się kompetencją, kulturą słowa i dużą wrażliwością na potrzeby drugiego człowieka. Był doskonałym negocjatorem. Ma już na koncie nagrodę Człowieka Roku. Byłam świadkiem, jak w sytuacjach kolizyjnych czy strajkowych potrafił nawiązać kontakt i doprowadzić do porozumienia. Takich polityków brakuje dziś w rządzie. Pragnę dodać, że w środowisku Unii Pracy jest więcej takich dżentelmenów, oby tylko wyborcy chcieli nas dostrzec.

PAULINA PIECHNA-WIĘCKIEWICZ,
radna Warszawy, Inicjatywa Polska

To trudne pytanie. Jeżeli odrzucić historyczny, klasowy wydźwięk tego sformułowania – żeby nie kojarzyło nam się z panami wydającymi rozkazy pannom służącym i chłopcom stajennym, spędzającymi całe dnie w klubach – i przyjąć, że oznacza ono mężczyznę reprezentującego szacunek dla zasad, przywiązanie do wartości, kulturę osobistą, elegancję i pewną dozę delikatności, jestem całkiem zadowolona z towarzystwa moich kolegów z IP. Dodam, że z towarzystwa koleżanek, z których każda to *gentlewoman* w każdym calu, również; w końcu mamy XXI w. i mężczyzna przestał być centrum wszechświata. Takie osoby muszą mieć szacunek do drugiego człowieka, chronić słabszych i w tym właśnie owa delikatność powinna się przede wszystkim przejawiać.

JAROSŁAW POLAK,
czytelnik PRZEGLĄDU

Robert Biedroń. Stylowy, uprzejmy, grzeczny i stonowany. Nigdy nie widziałem, żeby wypowiadał się złośliwie bądź ze złością albo w złości o kimkolwiek.

FRANCISZEK SOBIERAJ,
czytelnik PRZEGLĄDU

Jeśli słowo dżentelmen oznacza mężczyznę otwierającego przed kobietami drzwi, ustępującego im miejsca w autobusie i całującego rączki, a jednocześnie rubasznego, niestroniącego od seksistowskich dowcipów – których oczywiście nie można brać na serio i zawsze trzeba mieć wobec nich dystans – to z pewnością niemało mamy takich postaci w polskiej polityce. I trzeba niestety powiedzieć, że nie tylko w polityce.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 4bfacdb7d4

WIEDZIELI, ŻE NIE WYLĄDUJĄ

Rozmawia Robert Walenciak

Wszystkie brednie Macierewicza upadają w konfrontacji ze zweryfikowanym materiałem dowodowym

DR MACIEJ LASEK

Przegląda pan codziennie prasę i internet, szukając informacji o katastrofie smoleńskiej? Nowych rewelacji podkomisji Macierewicza? Śledzi pan to?

– Śledzę cały czas. Teraz jest tego dużo mniej. W 2012, 2013 r. codziennie byliśmy atakowani nowymi teoriami czy informacjami. To się uspokoiło gdzieś w roku 2014. Smoleńskiem żyła najmocniej prasa prawicowa, wPolityce, Niezależna itd., codziennie coś na ten temat musiało tam być. I któregoś dnia patrzę – nie ma. Jeden dzień, drugi, trzeci… Koleżanka, z którą pracowałem, mówi: „Maciej, coś szykują, bo nie ma nic!”. Minął tydzień, pojawiło się coś. A potem znów posucha. I tak ten okres zaczął się wydłużać. W czasie wyborów prezydenckich i parlamentarnych temat smoleński, jeśli chodzi o te najdziwniejsze teorie, zniknął w ogóle. Ale wrócił po wyborach.

Zajęła się tym monowska podkomisja Antoniego Macierewicza. Czy jej praca wnosi coś nowego?

– Niczego nie wnosi. Tam nie ma żadnego specjalisty, który kiedykolwiek badał wypadek lotniczy.

A Wiesław Binienda?

– Pan Wiesław Binienda nigdy nie badał wypadku lotniczego. Informacje o tym, że zajmował się katastrofą promu „Columbia”, są bardzo wątpliwe. W raporcie z badania tego wypadku nie ma jego nazwiska. A są nazwiska nie tylko ekspertów, ale nawet kierowców samochodów, którymi jeździli członkowie komisji. Myślę więc, że opowiadanie o panu Biniendzie jako tym, który badał katastrofę, jest pewnego rodzaju nieporozumieniem.

A jak pan reaguje na kolejne teorie zamachu? Że był hel, sztuczna mgła, że bomba wybuchła, że samolot rozpadł się w powietrzu…

– Że to wszystko jest niezgodne z faktami. Drobny przykład – pan minister Macierewicz w niedawnym wywiadzie, chyba dla „Gazety Polskiej”, powiedział, że piloci Tu-154M odeszli na właściwej wysokości, 100 m nad wysokością pasa. A w rzeczywistości komenda: „Odchodzimy” została wydana 39 m nad poziomem pasa, a 91 m nad poziomem gruntu, bo tam była dolinka. Badanie szczątków samolotu przez pirotechników hipotezę zamachu wykluczyło. I tak można punkt po punkcie. Te wszystkie brednie w konfrontacji ze zweryfikowanym materiałem dowodowym upadają.

Najnowsza wersja głosi, że załoga próbowała ratować samolot z pułapki.

– To bardzo stara teoria. Oni wracają do teorii zapomnianych. Już dawno temu słyszałem, że piloci zostali wciągnięci w pułapkę, stało się coś nieprawdopodobnego, że walczyli. Ale przecież na taśmach z czarnych skrzynek nie słychać, że walczyli. Nie ma żadnego zaniepokojenia w ich głosach. To wszystko się nagrało, do końca, do tragicznego finału.

Rosyjscy kontrolerzy zrobili więcej, żeby zniechęcić załogę do lądowania w Smoleńsku, niż jej kolega, który wylądował tam wcześniej.

NAM SIĘ UDAŁO

Zgodzi się pan jednak, że odczyt czarnych skrzynek nie wyjaśnia wszystkich wątpliwości. Sam wciąż się zastanawiam, dlaczego piloci tam lądowali. Ze stenogramów wiemy, że rozmawiali o lotnisku zapasowym, ale nie dowiadujemy się, kto i kiedy zdecydował, że jednak Smoleńsk.

– W stenogramach padło, że będą robili próbne podejście, choć prawdopodobnie nic z tego nie wyjdzie.

Zafiksowani byli na Smoleńsku.

– Dla mnie istotą tego wszystkiego jest coś innego. 28-30 minut przed wypadkiem dostają pierwszą infor-

DR MACIEJ LASEK – członek komisji utworzonej do zbadania katastrofy Tu-154M pod Smoleńskiem. Od 2002 r. w Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych (PKBWL), w czerwcu 2003 r. objął funkcję jej wiceprzewodniczącego ds. technicznych. Brał udział w badaniach ok. 120 wypadków i incydentów lotniczych. Od maja 2010 r. do lipca 2011 r. wchodził w skład komisji utworzonej do zbadania katastrofy prezydenckiego Tu-154M (tzw. komisji Millera). Pełnił w jej ramach funkcję zastępcy przewodniczącego podkomisji lotniczej. W lutym 2012 r. został powołany na przewodniczącego PKBWL. We wrześniu 2016 r. odwołany z tej funkcji przez PiS.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

mację od kontrolerów na Białorusi, że w Smoleńsku jest mgła, widzialność 400 m. Minimum dla tego lotniska wynosiło 1000 m widoczności. Czyli widoczność była dwa i pół razy mniejsza od dopuszczalnej.

Samolot powinien się zniżać 3,5 m/s. On zaś leciał 7 m/s, czasami więcej.

Minimum lotniska Smoleńsk-Siewiernyj dla Tu-154M wynosiło 1000 m widoczności na wysokości 100 m.

– A dostają informację, że tego minimum nie ma. Zresztą dostają ją dzięki inicjatywie kontrolerów rosyjskich. Bo wcześniej na lotnisku próbowała lądować rosyjska maszyna Ił-76. Za pierwszym razem o mało nie doszło do wypadku. Po drugim podejściu samolot odszedł. A to był pilot Frołow, który na tym lotnisku kiedyś bazował, więc dobrze znał teren. Po tej nieudanej próbie rosyjscy kontrolerzy poprosili po linii telefonicznej Białorusinów, żeby – zanim oni nawiążą łączność z Tu-154M – możliwie szybko powiedzieć polskim pilotom, że warunki w Smoleńsku są takie, a nie inne. Liczyli, że rozsądna załoga wybierze lotnisko zapasowe. A jeśli wcześniej podejmie decyzję, mniejsza będzie strata czasu. Za chwilę kapitan Tu-154M Arkadiusz Protasiuk nawiązuje łączność z kontrolerem ze Smoleńska i ten mówi mu wprost: widzialność 400 m, mgła, warunków do przyjęcia nie ma. W tym samym czasie drugi pilot rozmawia na drugim kanale z pilotem jaka-40, który mówi tak: „Tu jest piz… 400 m widać, podstawa chmur, na mój gust – poniżej 50 m grubo".

Zamiast 1000 m i 100 m mamy 400 m i 50 m.

– Tam padły słowa: poniżej 50 m. Ale padło jeszcze takie zdanie: nam się udało, więc możecie spróbować, jak wam się za drugim razem nie uda, odlecicie gdzieś.

Milczy pan…

– Bo to dla mnie niepojęte! Że rosyjscy kontrolerzy zrobili więcej, żeby zniechęcić polską załogę do lądowania w Smoleńsku, niż jej kolega, który wylądował tam wcześniej i widział, co się działo. Wystarczyło, żeby powiedział: tu jest 400 m i poniżej 50 m podstawy. Ale to, co powiedział dalej, to jest zachęta, sugestia… Kpt. Protasiuk wiedział, że nie da się wylądować w takich warunkach. Ale z pogodą bywa tak, że jest mgła, potem ta mgła się rozwiewa, czasami coś widać… Ponieważ kurtuazja – tylko kurtuazja, nic więcej – nakazywała zapytać pana prezydenta, jakie lotnisko zapasowe będzie dla niego bardziej odpowiednie…

Przyczyna katastrofy
Zejście poniżej minimalnej wysokości zniżania, przy nadmiernej prędkości opadania, w warunkach uniemożliwiających kontakt wzrokowy z ziemią, i spóźnione rozpoczęcie odejścia na drugi krąg. I to w zasadzie wszystko.

ZAPLANOWALI SCENARIUSZ

…zapytano go.

– Przyszedł dyrektor Kazana, taka była jego rola – być łącznikiem między załogą a prezydentem, zarządzać organizacją wizyty. Kapitan mu powiedział, że w tych warunkach nie uda się podejść, że możemy raz spróbować, ale nic z tego nie będzie, a lotniska zapasowe są dwa, Mińsk albo Witebsk, trzeba któreś wybrać. Kazana poszedł do pana prezydenta. 11 minut przed wypadkiem wrócił.

Żeby oświadczyć: na razie nie ma decyzji prezydenta.

– Prezydent rzeczywiście nie podjął żadnej decyzji. Ale zgodnie z instrukcją HEAD jedyną osobą, która podejmuje decyzje w kokpicie, jest dowódca załogi. Mamy wyraźny zapis: niezależnie od stopnia wojskowego lub funkcji kapitan od nikogo nie przyjmuje poleceń. Jest przełożonym wszystkich na pokładzie.

Prezydent nie podjął decyzji, na które lotnisko zapasowe lecieć, więc rozpoczęto podejście do lądowania w Smoleńsku.

– Myślę, że oni zaplanowali pewnego rodzaju scenariusz. Między sobą o nim mówili. Zaplanowali scenariusz podejścia próbnego i odejścia na drugi krąg.

Dlaczego więc zeszli poniżej 100 m? Poniżej minimum, którego nie mieli prawa w tamtych warunkach przekroczyć?

Szczątki prezydenckiego samolotu Tu-154M.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

– Przepisy mówią, że samolot może dokonać próbnego podejścia do pierwszego ograniczającego minimum. W tym przypadku było to minimum załogi – 120 m. Do tej wysokości mogli zejść i ani metra niżej. Tylko że oni o tym nie wiedzieli, natomiast mieli świadomość, że obowiązuje ich minimum lotniska, czyli 100 m. Zresztą dla takiego samego minimum podejścia był certyfikowany samolot. Słychać to w stenogramie – trochę przed trzecim zakrętem, gdy przygotowywali kabinę, padają słowa: „RW na 100 ustawiamy". Czyli alarm radiowysokościomierza ustawiają na 100 m.

Zniżyliby się do tego pułapu, zorientowali, że nie ma widoczności, i odeszli na drugi krąg, odlecieli.

– Tak powinno być.

Ale nie było. Dlaczego? Jest godz. 8.36, pięć minut przed katastrofą, ktoś wchodzi do kabiny pilotów. Witają się z nim wszyscy…

– Wszystkie stenogramy to potwierdzają – wchodzi! I ten Instytutu Ekspertyz Sądowych, i według MAK, i naszego Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego. Według biegłych prokuratury – również. Ktoś wszedł. Załoga przywitała się z tą osobą. Słychać, że to był raczej przełożony. Zresztą w jednym ze stenogramów, w tym krakowskim, padają słowa: „Uwaga, generałowie!". A dodajmy, że to dzieje się już po meldunku stewardesy: „Kapitanie, pokład gotowy!". Co oznacza, że wszyscy pasażerowie siedzą już przypięci w pasach. Nikt nie chodzi. Stewardesa też powinna już być przypięta w pasach. A tu okazuje się, że ktoś przyszedł. Wcześniej musiał przejść przez salonik prezydenta, potem przez korytarzyk i dopiero wejść do kabiny. To nie była osoba przypadkowa.

GEN. BŁASIK WSZEDŁ DO KOKPITU

Osoba czy osoby? Na pewno jedną był gen. Błasik. A drugą?

– Na pewno jedną był gen. Błasik. Potwierdzają to nagrane słowa. W stenogramie jest zapisane, że w czasie tej wizyty ktoś czyta dane z wysokościomierza barometrycznego.

100 m i nic nie widać...

– Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością to nie są słowa żadnego członka załogi. A na pokładzie samolotu był tylko jeszcze jeden lotnik.

A kim był ten ktoś, komu tłumaczono mechanikę skrzydła?

– Wiadomo, że takich rzeczy lotnikowi tłumaczyć nie trzeba. W stenogramie z Instytutu Sehna pada zapowiedź: „Uwaga, generałowie!", a nie „generał". Niewykluczone więc, że w drzwiach mogła stać jeszcze jedna osoba.

Antoni Macierewicz przedstawia Wiesława Biniendę jako eksperta od wypadków lotniczych. Ale Binienda nigdy nie badał tego rodzaju wypadku.

W podkomisji Antoniego Macierewicza nie ma żadnego specjalisty, który kiedykolwiek badał wypadek lotniczy.

Ważna! Bo weszła do kabiny, a po drugie, zajmowano się nią.

– Są różne teorie, kto to mógł być. Ponieważ nie udało się nam tego określić, zostawiliśmy to w zawieszeniu. Nie wpływa to bowiem na przyczynę katastrofy.

Skąd się biorą różnice w stenogramach?

– Czym się różni nasz stenogram od stenogramu biegłych? Różnice teoretycznie są duże. Biegłym udało się odczytać 30% więcej. Na pewno zastosowali trochę lepszą technikę kopiowania zapisu z taśmy rejestratora. Ale musimy pamiętać jeszcze o jednym – nasza metodologia odsłuchu była taka, jaką stosuje Centralne Laboratorium Kryminalistyczne, żeby to były dowody przed sądem. To wyglądało tak, że trzech specjalistów niezależnie od siebie przez kilka miesięcy – chyba osiem miesięcy to trwało – na swoich słuchawkach słuchało tego nagrania. Słuchali i pisali. Kiedy stwierdzili, że już nic więcej nie wypiszą, porównali swoje stenogramy. Jeżeli dany fragment trzy razy był taki sam pod względem treści i osoby – dla nich oznaczało to prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że tak właśnie było. Jeżeli był dwa razy – kwalifikowano to jako wypowiedź prawdopodobną. A jeżeli każdy usłyszał co innego – są trzy kropki. Jak pan zobaczy, w naszym stenogramie jest bardzo dużo kropek. A biegli prokuratury? Oni stosowali inną, nie tak restrykcyjną metodologię, a do rozpoznania niektórych wypowiedzi wykorzystali wiedzę prof. Grażyny Demenko.

To ona zidentyfikowała słowa gen. Błasika kierowane do kapitana: „Zmieścisz się śmiało"?

– „Zmieścisz się śmiało"… Te słowa pojawiają się w stenogramie biegłych prokuratury. Padły mniej więcej w tym momencie, kiedy przelatywali nad dalszą radiolatarnią. W tym momencie Tu-154M był za wysoko. Może więc była to sugestia, że da

eprasa.pl 4bfacdb7d4

się zmniejszyć tę wysokość, tak żeby dojść do ścieżki, zanim doleci się do minimum, zanim doleci się do bliższej radiolatarni.

PODCHODZILI W AUTOMACIE. ZA SZYBKO

Ścieżka to linia, po której samolot powinien schodzić do lądowania. Tu-154M leciał ponad nią, więc kapitan musiał schodzić ostrzej.

– Zasada jest taka, że jeżeli nad dalszą radiolatarnią przelatuje się powyżej pewnej wysokości, która była ustalona, to również odchodzi się na drugi krąg. Nie ma nic gorszego niż gonienie ścieżki z góry. Bo samolot coraz szybciej się zniża, przez co z większym opóźnieniem może wykonać manewr odejścia na drugi krąg.

A on zniżał się za szybko!

– Zdecydowanie za szybko. Według naszych badań, badań ATM, firmy, która była producentem polskiej czarnej skrzynki, prędkość zniżania wynosiła miejscami powyżej 7 m/s. W rosyjskiej instrukcji do Tupolewa podano, przy jakiej prędkości zniżania jakie przeniżenie ma samolot w stosunku do wysokości, na której rozpoczęło się odejście na drugi krąg.

To znaczy, że samolotu już nie da się poderwać?

– W naszym raporcie zamieściliśmy rysunek pokazujący tę sytuację. Jaki byłby tor lotu przy prędkości zniżania 3,5 m/s, 5 m/s i 8 m/s. Przy 3,5 m/s przeniżenie wynosi tylko 10 m, ale przy 8 m/s już 50 m! Samolot powinien się zniżać 3,5 m/s. Tak jest w instrukcji. On zaś się zniżał 7 m/s, czasami więcej. Przyczyną popełnionego błędu jest to, że oni podchodzili do lądowania w automacie. A nie wolno podchodzić w automacie tym samolotem na takim lotnisku! W automacie podchodzi się tylko w systemie ILS.

ILS to radiowy system nawigacyjny, wspomagający lądowanie w warunkach ograniczonej widzialności. ILS pierwszego stopnia, najprostszy, ma ograniczenia – wysokość minimalna podejmowania decyzji 60 m, widzialność – 800 m. W Smoleńsku tego systemu nie było.

– Podchodzili w automacie, choć nie powinni. Dlaczego? Bo w Tu-154M automat jest anachroniczny. W normalnych pilotach automatycznych można ustawić prędkość zniżania. A w tym trybie, w którym oni podchodzili, można jedynie sterować pochyleniem samolotu. Pochylamy go – samolot po chwili zaczyna się zniżać szybciej, podnosimy – wolniej. Ale bardzo trudno osiągnąć wtedy konkretną wartość. Do żądanej prędkości dochodzi się bardzo wolno, metodą kolejnych przybliżeń. I to było widać! Ten samolot raz zniżał się szybciej, raz wolniej. I tak, jakby wszystko działo się z opóźnieniem.

Jeden z lotników mówił mi, że najprawdopodobniej piloci mieli taki zamysł, by ostro zejść w dół, pod chmury, wyrównać samolot i w ten sposób dolecieć do lotniska.

– To możliwe. W wojsku nikt się do tego nie przyzna, ale znane jest tam tzw. podejście szczurem. Czyli zejść wcześniej na małą wysokość, załóżmy na 50 m, doprowadzić do lotu poziomego i lecieć. Najczęściej z 50 m widziało się ziemię, więc gdy

> To byli piloci, którym nie pozwolono być dobrymi pilotami.

Kiedy rozmawialiśmy z pilotami, z instruktorami tupolewów, mówili zgodnie, że podczas takiego lądowania podchodzi się, trzymając stery w rękach. Bez autopilota. Wtedy mamy pełną kontrolę, jesteśmy w stanie zwiększyć, zmniejszyć prędkość, kontrolujemy samolot.

Zejście w automacie tej możliwości nie dawało.

– Dlatego tak szybko lecieli w dół. Bo za późno zaczęli się zniżać. Powinni zacząć na 10. kilometrze. Rosyjski kontroler powiedział im prawidłowo: 10. kilometr, wejście w ścieżkę. A oni jeszcze sprawdzali checklistę, jeszcze cały czas rozmawiali i dopiero w odległości 7,3 tys. m zaczęli się zniżać. Na początku szli równolegle do ścieżki, czyli w ogóle do niej się nie przybliżali, dopiero potem zaczęli mocniej iść w dół.

pojawiały się światła lotniska… Jak mi mówił jeden z pilotów: zobaczysz pas, zdejmij gaz i wylądujesz.

Może właśnie taki manewr chcieli przeprowadzić?

– Być może. Ale nic głośno na ten temat nie powiedzieli, w związku z tym nie możemy gdybać. Tam jest jeszcze jeden ważny element. Przed czwartym zakrętem i wejściem na prostą technik pokładowy z jaka powiedział: „Arek, teraz widać 200".

Czyli że widoczność jest jeszcze gorsza.

– To już pięciokrotnie mniej niż minimum lotniska. Oni to zrozumieli, pada przy tym niecenzuralne słowo, więc nie było co kombinować! Trzeba było zrobić zakręt, odejść na drugi krąg. I powiedzieć: czekamy albo lecimy na lotnisko zapasowe.

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Zwraca się do Państwa z prośbą
o wsparcie działalności naszej organizacji
poprzez przekazanie na konto SDRP

SDRP

1% podatku dochodowego.

Każda wpłata to Państwa wsparcie funduszu pomocy
naszym Koleżankom i Kolegom znajdującym się w trudnej sytuacji.

Wystarczy wpisać w PIT-36 lub PIT-37 w sekcji „wniosek o przekazanie
1% podatku na rzecz Organizacji Pożytku Publicznego" nazwę:

Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej
Zarząd Główny - Nr KRS: 0000043110

Liczy się każda wpłata. Za każdy gest dobrej woli serdecznie dziękujemy.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

CHCIAŁ LĄDOWAĆ „NA SZCZURA”?

To po co się pchali?

– Prawdopodobnie wchodzimy w aspekty psychologiczne – założyli sobie realizację zadania. Pierwszym dowodem, że chcieli zejść niżej, że zeszli świadomie, a nie dlatego, że popełnili jakąś serię błędów, było przestawienie alarmu wysokości radiowysokościomierza. Najpierw był ustawiony na 100 m, a potem został przestawiony na 63 m, mimo że nie było żadnej komendy, by tak zrobić. Czyli zmniejszyli sobie pole manewru. W kokpicie padały również prawidłowe wysokości względem poziomu lotniska, poniżej dopuszczalnych, i nikt nie reagował. Ponadto nie reagowali na sygnał: *Pull up*. A powinni. Według instrukcji tego urządzenia w przypadku jego włączenia się nie ma miejsca na żadną dyskusję. Jeżeli samolot zbliża się do ziemi ze zbyt dużą prędkością zniżania, to *Pull up* alarmuje. I tu tak było. Jest zasada wśród lotników – jeżeli pojawia się: *Terrain ahead* albo *Pull up*, to natychmiast, bez namysłu, odchodzi się na drugi krąg, a dopiero potem można się zastanawiać, dlaczego to zadziałało.

A oni twardo w tej mgle schodzili w dół.

– Komenda: „Odchodzimy” pada dopiero 39 m nad poziomem lotniska, 90 m nad terenem. Ale nic się nie dzieje przez kolejne pięć sekund! W tle jest: *Pull up*, odzywa się alarm, że 63 m. Za chwilę jest bliższa latarnia, nad którą przelatują – jeszcze kolejny sygnał. Pierwsze działanie następuje dopiero po pięciu sekundach – odłączenie autopilota poprzez ściągnięcie wolantu, zwiększenie obrotów i skonfigurowanie samolotu, żeby zaczął się wznosić.

Może rzeczywiście kpt. Protasiuk chciał lądować „na szczura”. Zejść pod podstawę chmur i szukać ziemi.

– Jest sporo różnych teorii, w tym i ta. Znam lotników, którzy takie rzeczy robili, podchodzili „na szczura”, więc to nie musiał być błąd, ale chęć pokazania, że się uda. Takim trikiem.

Chęć pokazania, że się uda? Bo przełożony jest w kabinie i patrzy?

– Opowiem panu moją teorię dotyczącą gen. Błasika. Otóż z żadnego stenogramu nie wynika, by zmuszał do czegokolwiek załogę. Może więc miał inne zamiary? Wiemy wszyscy, że panu prezydentowi bardzo zależało na lądowaniu w Smoleńsku, to miało być rozpoczęcie kampanii itd. Znamy też historię lotu do Gruzji, znamy historię mjr. Pietruczuka, który się wtedy postawił. Z trybuny sejmowej powiedziano o nim, że był tchórzem, próbowano odebrać mu dowództwo. W tym locie drugim pilotem był Arkadiusz Protasiuk. On to widział, znał te wszystkie późniejsze historie. Można więc założyć, że gen. Błasik wszedł do kabiny jako lotnik, żeby stanowić pewnego rodzaju ścianę między panem prezydentem a lotnikami. Żeby móc później powiedzieć: „Panie prezydencie, byłem przy tym, widziałem na własne oczy, oni zrobili wszystko, co mogli, a nawet więcej, ale nie można było wylądować”. Nikt by wtedy załodze nie powiedział złego słowa. Z drugiej strony jeśli ma się za plecami przełożonego, jest to pewna presja pośrednia, też chce się zrobić więcej. Problem polegał na tym, że oni chcieli zrobić więcej, niż potrafili, a nie potrafili.

TYLE TON NIE PODRYWA SIĘ OD RAZU

***À propos* presji pośredniej. W kokpicie padły słowa: „Pomysły!”.**

– Myśmy tego nie słyszeli. To jest w stenogramie prokuratury. Te słowa zostały przypisane gen. Błasikowi. Nie oceniam ich źle. To jest zachęta do mobilizacji: chłopaki, otrząśnijcie się, macie jakieś pomysły, co dalej? Wie pan, ten pilot, kpt. Protasiuk, to nie był zły pilot. Ale bardzo mocno obciążony. Prowadził korespondencję, musiał dowodzić, pilotować samolot, cała reszta załogi nie była dla niego wsparciem. Współpraca załogi nie istniała. Do tego mamy jeszcze całkowity brak treningu. Ostatnie treningowe podejście według takiego systemu lądowania, jaki był w Smoleńsku, wykonał w 2005 r. na samolocie Jak-40. Jakim więc cudem mógł mieć doświadczenie? Takie, żeby zrobić to w rękach, z odejściem na drugi krąg itd. Piloci w 36. pułku 99% lotów wykonywali w podejściu według systemu ILS. W tym systemie można podejść na autopilocie, odejść na drugi krąg na autopilocie, wszystko jest dużo łatwiejsze. Tutaj też chcieli odejść w automacie, takie słowa padają, mimo że gdy nie ma systemu ILS, w automacie nie można odejść. Nie ma wiązki, którą autopilot mógłby przechwycić.

Autopilot więc nie zadziałał.

– I to jest te pięć sekund, które im uciekło! Bo raz nacisnęli guzik, drugi raz nacisnęli guzik. Nie działa? To dopiero wtedy przeszli na ręczny.

Kapitan potem z tych 39 m wysokości chciał wyciągnąć samolot w górę, ale nie mógł, bo za szybko pędził w dół, to była za duża masa...

– Za późno rozpoczął działania. A gdy już je rozpoczął, to musiał się przeniżać, bo tylu ton nie podrywa się tak od razu. Zszedł na wysokość 6 m. Tak zapisał to rejestrator, według wskazań radiowysokościomierza. To trwało trzy sekundy, dwie sekundy przed zderzeniem z brzozą już

Piloci, którzy polecieli do Smoleńska, zgodnie z przepisami wojskowymi nie mieli uprawnień do latania.

Czy katastrofa prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem była wynikiem:

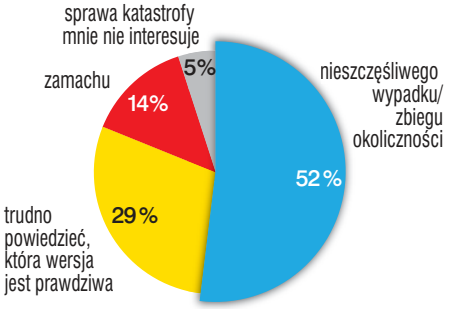

Jak ocenia pan/pani działanie podkomisji ds. ponownego zbadania wypadku lotniczego pod Smoleńskiem powołanej przez min. Antoniego Macierewicza?

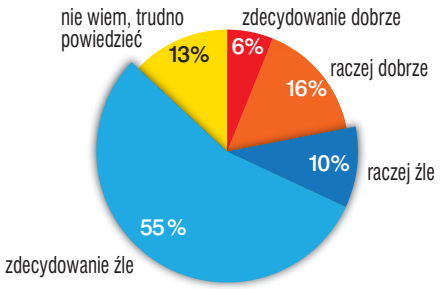

Źródło: Sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej” marzec 2017 r.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

leciał na wysokości 6,2 m i już uderzał o kolejne drzewa. Oni to słyszeli.

Gdyby nie było tej brzozy, wyszedłby z tej sytuacji? Czy uderzyłby w inne drzewo?

– Rosjanie w swoim raporcie twierdzili, że samolot był już przeciągnięty. Czyli osiągnął krytyczne kąty natarcia. Analiza przeciążenia raczej to potwierdza. Biegli prokuratury też tak uważają. My w tej sprawie nie zajęliśmy stanowiska.

Dlaczego?

– Bo dla nas przyczyny katastrofy skończyły się przed brzozą. Zderzenie z brzozą nie było przyczyną wypadku. To był skutek zejścia poniżej minimalnej wysokości zniżania. Do czasu uderzenia w brzozę samolot był już lekko uszkodzony, zderzając się z wcześniejszymi drzewami, ale zdolny do lotu.

Miał wysunięte podwozie, zaczepiał kołami…

– Zaczepiał, skrzydło miał lekko uszkodzone. Jeśli obejrzy pan zdjęcie tej części, która odpadła, to tam widać porysowaną dolną powierzchnię skrzydła, pozadzieraną przez kikuty drzew, które zostały obcięte krawędzią natarcia i szorowały. Widać, że samolot w to uderzał. Gdyby udało mu się odejść i wylądowałby na innym lotnisku, to już by z niego nie wystartował, bo oględziny kwalifikowałyby go do naprawy, i to dosyć poważnej.

Oni chcieli zrobić więcej, niż potrafili, a nie potrafili.

Mamy więc przyczynę katastrofy.

– Zejście poniżej minimalnej wysokości zniżania, przy nadmiernej prędkości opadania, w warunkach uniemożliwiających kontakt wzrokowy z ziemią, i spóźnione rozpoczęcie odejścia na drugi krąg. I to jest w zasadzie wszystko.

SYSTEM BYŁ PATOLOGICZNY

Z naszej rozmowy wynika, że nawalili piloci, że byli do niczego.

– Nie można powiedzieć, że byli do niczego. To byli piloci, którym nie pozwolono być dobrymi pilotami. To nie byli doświadczeni lotnicy, tylko ludzie, którzy przyszli od razu ze szkoły. Całkowicie nieukształtowani, zwłaszcza pod kątem odporności na presję, pod kątem asertywności. Szkolono ich w dużym pośpiechu, bo starsi piloci z pułku odchodzili. Było coraz gorzej. Nie pozwalano im robić lotów treningowych, szkolić umiejętności – bo nie są wam potrzebne, jesteście elitą. Poza tym non stop były loty.

Trzeba było wozić polityków.

– Ci piloci stali się produktem patologicznego systemu, który panował w wojsku, a w 36. pułku w szczególności. Przecież ten pułk przechodził pięć kontroli w ciągu ostatnich pięciu lat, w tym jeszcze dwa-trzy miesiące przed wypadkiem. Nie stwierdzono żadnych uchybień! A wystarczyło zerknąć na pułkową ewidencję lotów, ewidencję rozkazów, plany szkoleniowe, książki lotów. I okazywało się, że piloci, którzy polecieli do Smoleńska, zgodnie z przepisami wojskowymi nie mieli uprawnień do latania. Jakie to więc były kontrole? Wszystkim zależało, wojsku, dowództwu, żeby pułk był cały czas sprawny, żeby zadowolić polityków. Politycy byli zadowoleni, bo byli wożeni w najróżniejsze miejsca świata. I tak to trwało… Ryba psuje się od głowy.

Robert Walenciak

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SPUTNIK/EAST NEWS, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 4bfacdb7d4

NA KASPROWY PRZEZ LUKSEMBURG

Prywatyzacja Polskich Kolei Linowych była gigantycznym przekrętem dokonanym w majestacie prawa – uważa radny Jerzy Figiel

Leszek Konarski

Burmistrz Zakopanego Leszek Dorula list otwarty do Polskich Kolei Linowych, w którym domaga się tańszych biletów na przejazd kolejką na Kasprowy Wierch, zaczął od słów: „Jako akcjonariusz spółki…". Napisał tak, bo rzeczywiście cztery gminy: Zakopane, Poronin, Kościelisko i Bukowina Tatrzańska, mają w tej spółce śladową ilość 0,23% akcji. Dlatego zarząd PKL odpowiednio swojego akcjonariusza potraktował i odpisał: „Sądzimy, że ustalone przez Polskie Koleje Linowe ceny są na właściwym poziomie. Świadczą o tym prowadzone przez Spółkę badania satysfakcji klientów, z których wynika, że rośnie zarówno poziom świadczonych przez Spółkę usług, jak i poziom zadowolenia turystów".

Tymczasem burmistrz ma całkowitą rację. Od czasu prywatyzacji spółki Polskie Koleje Linowe, czyli od czterech lat, ceny za przejazdy kolejką na Kasprowy Wierch systematycznie rosną i teraz bilet góra-dół kosztuje 69 zł, przy wcześniejszej rezerwacji godziny – 99 zł, a całodzienny skipass – 135 zł. Tak wysokie ceny negatywnie wpływają na odbiór Zakopanego przez turystów, szczególnie mniej zamożnych. Dlatego Leszek Dorula prosił o „przeanalizowanie aktualnego cennika i dokonanie w nim koniecznych zmian, tak by był on adekwatny do finansowych możliwości pasażerów oraz rzeczywistych kosztów funkcjonowania kolei".

– Ze względu na drastyczne podniesienie cen biletów już prawie nie korzystam z kolejki ani z wyciągów narciarskich na Kasprowym Wierchu – mówi dr Marek Głogoczowski, mieszkający na emeryturze w Zakopanem filozof, alpinista i instruktor skialpinizmu. – Gdy jeszcze pięć lat temu PKL były państwowe i po bilet na Kasprowy Wierch, kosztujący 53 zł, stało się, podobnie jak dziś, w długiej kolejce, to do wyciągu na Goryczkowej podchodziłem na piechotę w niecałą godzinę, tam kupowałem za 80 zł karnet wieloprzejazdowy, ważny na cały sezon. Wtedy jeden wyjazd wyciągiem na Goryczkowej kosztował mnie 8 zł, a na Gąsienicowej – 5 zł. Teraz nie ma karnetów, pojedynczy przejazd tymi wyciągami kosztuje aż 20 zł. Co więcej, 50-letniego już wyciągu na Goryczkowej nikt nie modernizuje, krzesełka tak jak dawniej tłuką narciarza w łydki przy wsiadaniu. Tylko ceny po sprywatyzowaniu wzrosły na Goryczkowej o 250%, a na Gąsienicowej aż o 400%!

– Dawniej na Kasprowy Wierch wjeżdżały całe rodziny – wspomina radny Zakopanego Józef Figiel. – Dzisiaj stać na to tylko ludzi biznesu. Dla przeciętnej wieloosobowej rodziny koszty są zbyt duże. Nie widzę też, aby obecni właściciele prowadzili jakieś inwestycje, oni tylko podnoszą ceny przejazdów i transferują zyski za granicę.

Samorządy tatrzańskie stały się słupem dla zagranicznej spółki – twierdzi starosta Józef Bąk.

Podobne zdanie na temat cen biletów ma tatrzański starosta Józef Bąk. – Burmistrz, występując o obniżenie cen biletów na Kasprowy, ma rację. Nasz region żyje z usług turystycznych i wszyscy powinniśmy się starać, aby ceny były przystępne – nie tylko dla bogatych, ale i dla mniej zasobnych. Cztery lata temu, gdy PKL należały do PKP, bilety były znacznie tańsze. Teraz to prywatna spółka, do której należą nie tylko koleje na Kasprowym Wierchu, ale także na Gubałówkę, Jaworzynę Krynicką, Górę Parkową, Palenicę, górę Żar i Mosorny Groń. Na Kasprowym PKL jest monopolistą i może robić z cenami, co tylko chce. A przecież są w naszym kraju przepisy antymonopolowe. Czy tymi cenami nie powinny się zająć instytucje do tego upoważnione? Uważam poza tym, że państwo polskie nie powinno sprzedawać firm, które są monopolistami i przynoszą duże dochody. Przed prywatyzacją Polskie Koleje Linowe miały ok. 55 mln zł przychodów rocznie, a zysk w granicach 13 mln.

RADA W ROLI SŁUPA

Sposób, w jaki sprywatyzowano państwową spółkę Polskie Koleje Linowe, to scenariusz na film sensacyjny. Wszystko odbyło się w majestacie prawa, przy pełnej akceptacji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Sprawę tej prywatyzacji badały CBA, NIK oraz Ministerstwo Infrastruktury i żaden organ kontrolny nie wykrył większych nieprawidłowości.

Gdy w 2012 r. Polskie Koleje Państwowe ogłosiły, że z powodu trudności finansowych chcą sprzedać Polskie Koleje Linowe, samorządowcy z Podhala poczuli ekscytację. Wreszcie jest szansa na przejęcie firmy przynoszącej rocznie kilkanaście milionów złotych. Teraz sami będą decydowali o kolejkach górskich, w tym o tej najważniejszej – na Kasprowy Wierch.

PKL chcieli kupić Słowacy, ale do tego nie można było dopuścić, bo to konkurenci tuż zza granicy. Chęć zakupu wyrażali też dwaj miejscowi biznesmeni, ale kolej byłaby wtedy prywatna, a powinna być samorządowa. Uznano, że najlepiej będzie, gdy PKL kupią cztery gminy tatrzańskie. Koleje górskie będą nasze, polskie i góralskie.

– Prywatyzacja PKL to był gigantyczny przekręt prywatyzacyjny dokonany w majestacie prawa – twierdzi Józef Figiel. – Wiem, o czym mówię, bo jako radny Zakopanego również w tym uczestniczyłem. Najpierw po-

eprasa.pl 4bfacdb7d4

wiedziano nam, że podejmujemy uchwałę o utworzeniu gminnej spółki celowej, by wziąć udział w prywatyzacji Polskich Kolei Linowych i przejąć pakiet większościowy nowej spółki. Podjęliśmy więc uchwałę intencyjną o powołaniu międzygminnej spółki akcyjnej Polskie Koleje Górskie, do

Ceny po sprywatyzowaniu wzrosły na Goryczkowej o 250%, a na Gąsienicowej aż o 400%!

której Zakopane wniesie 325 tys. zł, a gminy Kościelisko, Poronin i Bukowina Tatrzańska po 20 tys. zł. Wszystko wyglądało pięknie. Ale przed głosowaniem zapytałem na sesji ówczesnego burmistrza Janusza Majchera, w jaki sposób gminy chcą kupić PKL, mając

tylko 400 tys. zł, skoro Polskie Koleje Państwowe żądają 215 mln? Kto da resztę? Wtedy pan burmistrz odpowiedział: „Panie radny, ja tego zdradzić nie mogę, to jest tajemnica spółki". Gdy to usłyszałem, natychmiast zapaliło mi się czerwone światełko. Dlatego głosowałem przeciwko powołaniu tej spółki. Poczułem, że coś tu nie gra, i miałem dobrego nosa. Nas, radnych, użyto tylko do podjęcia uchwały i upoważnienia burmistrza do założenia spółki. Reszta działa się już za naszymi plecami i zupełnie poza kontrolą samorządów, za wiedzą rządu i ministerstw, podobno w zgodzie z prawem. Tego przeciętny człowiek nie może zrozumieć. Jednego dnia radni zakładają samorządową spółkę, a następnego dnia dowiadują się, że ona jest już prywatna, bo 99,77% udziałów ma spółka Altura założona w Luksemburgu przez fundusz Mid Europa Partners.

Takiej czujności jak Józef Figiel nie wykazali inni radni i poparli utworzenie nowej spółki, nawet nie czytając jej statutu, który umożliwiał dokonanie zmian własnościowych. Dlatego starosta tatrzański Józef Bąk uważa, że radni też nie są tu bez winy.

– Cztery lata temu Zakopane i trzy tatrzańskie gminy odegrały rolę słupa, umożliwiając podmiotowi prywatnemu zakupienie Polskich Kolei Linowych – mówi starosta Józef Bąk. – Gdyby obecny właściciel kolejek nie posłużył się marką samorządów, prawdopodobnie nie doszłoby do tej transakcji. Spółka samorządowa z dnia na dzień stała się spółką prywatną. Całą

Nie widać, aby obecni właściciele prowadzili jakieś inwestycje. Podnoszą tylko ceny, a zyski transferują za granicę.

operację przeprowadził burmistrz Zakopanego Janusz Majcher, a opinia publiczna nie zorientowała się w naturze przekształceń własnościowych. Wszystko było załatwiane poufnie, do dzisiaj żaden radny nie zna treści umowy prywatyzacyjnej. Ja też nie wiem, co jest w tym dokumencie.

POWRÓT DO OJCZYZNY

Repolonizację PKL zapowiedzieli prezydent Andrzej Duda, premier Beata Szydło i Jarosław Kaczyński. Minister infrastruktury Andrzej Adamczyk stwierdził niedawno, że jego resort jest bliski wypracowania formuły, która pozwoli kolejce na Kasprowy Wierch wrócić do „rodzimych właścicieli", choć nie zdradził, jak ten powrót ma wyglądać. Już wiadomo, że pomimo zaangażowania w sprawę CBA, NIK i prokuratury, nie uda się unieważnić przeprowadzonej cztery lata temu prywatyzacji PKL.

Także samorządowcy z Podhala zastanawiają się, co zrobić, aby na Kasprowy Wierch nie jeździć przez Luksemburg. Starosta Bąk twierdzi, że ma kilka pomysłów na repolonizację PKL, nie chce jednak zdradzać szczegółów. Spółka Altura wyraziła chęć sprzedaży Polskich Kolei Linowych i planuje to zrobić w ofercie publicznej poprzez Giełdę Papierów Wartościowych. W prospekcie emisyjnym zostaną przedstawione szczegóły i tatrzańskie gminy, podobnie jak każdy dorosły Polak, będą miały prawo nabyć akcje tej firmy. Szefowie funduszu, do którego należy luksemburska spółka, nie ukrywają, że Mid Europa Partners chce na tej sprzedaży zarobić.

Jan Piczura, szef PiS w powiecie tatrzańskim, ostatnio często jeżdżący na nartach z prezydentem Andrzejem Dudą, sądzi, że decyzja o zakupie PKL jest już przesądzona i gdyby samorządom podhalańskim zabrakło pieniędzy, udziałowcem być może stanie się również Ministerstwo Infrastruktury. Starania o zakup kolejek linowych aktywnie wspiera burmistrz Zakopanego Leszek Dorula, bo koleje linowe są niezwykle ważne dla regionu i samorządy lokalne muszą mieć wpływ na ich funkcjonowanie. Nie może być tak, że o cenach za przejazdy decyduje ktoś w Luksemburgu. Samorządowcy z Podhala twierdzą, że dzisiaj są mądrzejsi i nie dadzą się już ograć w tak dziecinny sposób jak cztery lata temu. ■

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

eprasa.pl 4bfacdb7d4

KŁAMSTWO I OSZUSTWO SĄ JAK RAK

W kulturze wciskania kitu, w której żyjemy, stajemy się coraz bardziej nieczuli na kwestie prawdy i fałszu

Rozmawia Robert Walenciak

Filozof polityki, kulturoznawca, profesor zwyczajny Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, autor m.in. książek „Kapitalizm drobnego druku" (2015) i „Inny kapitalizm jest możliwy" (2016).

PROF. ANDRZEJ SZAHAJ

Panie profesorze, kłamstwo w naszych czasach popłaca.

– Oczywiście. Widać to zarówno w polityce, gospodarce, jak i w mediach. W tej pierwszej dowodem jest wybór Trumpa. W drugiej – triumfujący od kilkudziesięciu lat turbokapitalizm, w ramach którego liczne podmioty instytucjonalne, takie jak banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, korporacje, fundusze powiernicze i agencje ratingowe, korzystają ze wszystkich sposobów, w tym nieuczciwych, aby osiągnąć zysk, i z reguły im się to udaje. Co do mediów zaś, wystarczy obejrzeć reklamy w polskiej telewizji, aby zorientować się, gdzie jesteśmy. Przede wszystkim moją ulubioną o „zespole niespokojnych nóg", bredni wymyślonej po to, aby sprzedać nam jakieś kolejne tabletki jedynie niszczące zdrowie. Osobną sferą demoralizacji jest internet, w którym na kłamstwie i oszustwie zarabia się bez żadnych skrupułów.

Co takiego się zdarzyło, że kłamcy są górą, że przestali nas gorszyć? Pan wskazuje turbokapitalizm.

– Tak. Moim zdaniem za postępującą degrengoladę moralną Zachodu odpowiada w największej mierze turbokapitalizm, przez który rozumiem system, który wyzbył się wszelkich hamulców moralnych w pogoni za zyskiem. Ostatni kryzys obnażył jego naturę.

Nowa religia – neoliberalizm

Ale przecież kapitalizm, sam pan to mówi, wyrósł z pobudek etycznych, z szacunku dla ciężkiej pracy i sumienności. Nasze bajki – o świerszczyku i mrówce, nasze przysłowia – oszczędnością i pracą ludzie się bogacą, są tego echem. Co się stało, że to lekceważymy?

– Nastąpił cały ciąg zgubnych procesów o charakterze ideowym oraz społecznym, które doprowadziły do obecnej degrengolady. Przede wszystkim kapitalizm z systemu, w którym istniała pewna równowaga pomiędzy różnorakimi przedsiębiorstwami, konkurującymi mniej więcej uczciwie na rynku kapitalistycznym starannie regulowanym przez państwa, zamienił się w coś innego.

W inny system, turbokapitalizm…

– W którym ogromne korporacje oraz banki wywalczyły sobie pozycję dominującą, państwo wycofało się z funkcji regulatora, a mniejsi gracze, aby przetrwać, porzucili wszelkie skrupuły i zaczęli się dostosowywać do środowiska, w którym walka o przetrwanie nabrała charakteru walki na śmierć i życie. Nie bez znaczenia był także stopniowy spadek oddziaływania tradycyjnych systemów moralnych o charakterze religijnym lub świeckim, pozwalających kiedyś utrzymywać kapitalizm w moralnych karbach. Zastąpiła je ideologia neoliberalizmu, a ta, czyniąc z zysku jedyne kryterium sukcesu jednostki oraz przedsiębiorstwa, otworzyła drzwi do legitymizacji niemoralnego zachowania. Przypomnę tylko znamienne słowa jej proroka,

> W internecie na kłamstwie i oszustwie zarabia się bez żadnych skrupułów.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Miltona Friedmana, który napisał w jednym z dzieł, że jedynym obowiązkiem społecznym przedsiębiorstwa jest osiąganie zysku, sam zaś chwalił Pinocheta i odwiedzał go w Chile, dając przykład manifestacyjnej pogardy dla wszelkich zasad moralnych. Pewną pociechą jest jedynie to, że powyższe plagi dotknęły przede wszystkim kapitalizm w wersji anglosaskiej. Już np. Skandynawowie na ogół zachowali rozsądek i dystans i po bardzo krótkim flircie z ideami neoliberalizmu wrócili na szczęście do swojego wypróbowanego modelu ekonomicznego i społecznego.

Dlaczego sukces materialny, konsumpcja stały się ważniejszym wyznacznikiem sukcesu, dobrego życia niż przestrzeganie zasad? Może po prostu taki jest gatunek ludzki?

– Nie wierzę w istnienie jakichś esencjalnych cech gatunku ludzkiego. Człowiek staje się taki jak otoczenie, w którym przyszło mu żyć, ponadto szybko się uczy. Jeśli zauważy, że kłamstwo i oszustwo się opłacają, że np. dają przewagę jego rywalom w konkurencji rynkowej, to choćby sam był skłonny do przestrzegania zasad moralnych, wreszcie ulegnie pod groźbą klęski. Nie bez znaczenia jest też stopniowe przywykanie do różnych kłamstewek, z którymi codziennie mamy do czynienia. Do tego, że seans w kinie czy telewizji nigdy nie zaczyna się o zapowiedzianej porze, tylko zawsze później z powodu reklam (coraz dłuższych), że komputer, chwalony jako wspaniały i niezawodny, psuje się definitywnie zaraz po wygaśnięciu gwarancji, że codziennie ktoś próbuje nas na coś naciągnąć, dzwoniąc od samego rana.

Albo wpisując do umowy drobnym drukiem różne niekorzystne dla nas rzeczy.

– W kulturze wciskania kitu, w której żyjemy, stajemy się coraz bardziej nieczuli na kwestie prawdy i fałszu, uznajemy, że tak musi być, i przywykamy. Jeśli dodamy do tego wpajane nam wciąż, m.in. przez media, przekonanie, że jedyny prawdziwy sukces to sukces materialny, a dobre życie polega tylko na możliwości nieograniczonej konsumpcji, wreszcie ulegamy i przystępujemy do wyścigu szczurów, w którym żadne względy moralne nie mają już znaczenia.

Internet – Dziki Zachód naszych czasów

Mówi pan, że internet stał się miejscem nieograniczonego kłamstwa i działań amoralnych. Sam z siebie? Dlaczego w internecie amoralność wygrywa z moralnością?

– Internet jest jedynie narzędziem, które może być wykorzystywane zarówno w dobrych celach, jak i w złych. Sam z siebie nie jest ani dobry, ani zły. Pewne jego cechy decydują jednak o tym, że gdy chce się go użyć w celach złych, okazuje się nader efektywny. To m.in. szybkość rozprzestrzeniania się informacji w sieci oraz niemożność weryfikacji z powodu ich ogromnej liczby. Kłopot pogłębiają jeszcze anonimowość ich twórców oraz dotychczasowa bezkarność nawet tych kłamców czy oszczerców, których udało się zidentyfikować. Zepsuciu sprzyja także polityka wielkich korporacji internetowych, mających moralność w nosie i chcących po prostu zarabiać na wszystkim, także na kłamstwie. Jeśli sprzedaje się ono lepiej niż prawda, tym gorzej dla prawdy. W ostateczności zatem u podłoża kłopotów leżą jak zwykle pieniądze, które mają moc czynienia dobrych rzeczy, ale także demoralizowania. Świetnym przykładem jest współczesny sport, w dużej mierze zepsuty wielkimi pieniędzmi.

Moralność nie jest dodatkiem do czegoś ważniejszego, ale podstawą integracji społecznej. Gdy zaczyna upadać, upada też wspólnota.

Kto korzysta najbardziej z internetowej wolności?

– Korzystają z niej wszyscy użytkownicy. Spora część rozsądnie i odpowiedzialnie, ale niestety również ci, którzy nie mieliby żadnych szans na publiczne prezentowanie poglądów czy przekonań gdzie indziej ze względu na ich kłamliwy czy po prostu haniebny charakter. W tym sensie internet stał się przede wszystkim areną samowoli, w którą zawsze zamienia się wolność niemająca żadnych ograniczeń. To zresztą dylemat znany w cywilizacji zachodniej co najmniej od narodzin liberalizmu – jak zapewnić wolność, która nie obróciłaby się przeciwko samej sobie przez to, że zostałaby użyta dla niecnych celów? Zachód nie wymyślił niczego lepszego jak dbanie o jej możliwie najszerszy zakres, z zastrzeżeniem, że nie może on być nieograniczony.

Efekt jest taki, że mamy wysyp hejterów. A zamiast debat – obrażanie.

– To sprawa emocji. Internet, tak samo zresztą jak telewizja, przedkłada raczej ekscesy emocjonalne nad intelektualny namysł. Wynika to choćby z preferowanej przez niego skrótowości komunikatów oraz szybkości ich tworzenia i przesyłania. Ta skrótowość oraz szybkość zabija mądrość i służy głupocie. A poza tym pokazuje on, jak wielkie są pokłady ludzkiej frustracji, wściekłości i gniewu, które nawet jeśli uzasadnione, rzadko kierowane są we właściwą stronę. Z reguły znajdują byle jaki upust, i to

eprasa.pl 4bfacdb7d4

w formie, która w tzw. realu spotkałaby się natychmiast z reakcją innych, często gwałtowną. Nie mówiąc już o tym, że prawo, które na szczęście w realu jeszcze obowiązuje, stoi jednak na straży przyzwoitego zachowania. Tymczasem w internecie brakuje takiego strażnika. Z jakichś dziwnych przyczyn uznano, że internet nie powinien podlegać żadnym sensownym regulacjom. Jedyne, które się dopuszcza, pochodzą od wielkich korporacji dbających przede wszystkim o to, aby nikt nie psuł im interesów.

Nasze kłamstwo to dobre kłamstwo

Amoralność turbokapitalizmu w połączeniu z amoralnością internetu przyczynia się do triumfu amoralności w polityce. To pana słowa. Tak już pozostanie? Kłamstwo nie będzie weryfikowane ani potępiane?

– Pozamykaliśmy się w swoich bańkach informacyjnych i politycznych, prawie nie rozmawiamy spokojnie, bez złości, bez wzajemnego obrażania i upokarzania. Prowadzimy wojnę kulturową na wyniszczenie. Tolerujemy kłamstwa, gdy są korzystne dla nas. Przy czym jeśli występują one w polityce, to jeszcze pół biedy, m.in. dlatego, że nasze oczekiwania wobec polityki i polityków od dawna są niskie, mimo że przecież nie wszyscy politycy utracili poczucie przyzwoitości. Gorzej, gdy standardy moralne obniżają się w takich dziedzinach naszego życia, w których jesteśmy zanurzeni na co dzień.

> Nawet ci internetowi kłamcy czy oszczercy, których udało się zidentyfikować, są bezkarni.

To znaczy?

– Myślę tu przede wszystkim o sferze umów z innymi ludźmi, które zawieramy bądź *expressis verbis*, bądź domyślnie, uczestnicząc w różnych praktykach społecznych. Jeśli tutaj zaczyna nas spotykać zawód za zawodem, też mamy tendencję do zaprzestawania gry *fair*. Jeżeli systematycznie oszukuje nas pracodawca, także mamy ochotę zacząć go oszukiwać; jeżeli systematycznie oszukuje nas ktoś, kto ma wykonać jakąś usługę, sami zaczynamy oszukiwać, oferując innym swoją. Jeśli stajemy się podejrzliwi wobec instytucji, które nie powinny nas oszukiwać, ale oszukują, to zaczynamy tracić wiarę w uczciwość wszelkich instytucji. Jeśli widzimy, że inni oszukują i to im się opłaca, zaczynamy wątpić w sens własnej uczciwości. Kłamstwo i oszustwo są jak rak, jeśli szybko nie zatrzymamy ich rozprzestrzeniania się, zniszczą cały organizm.

Wbrew pozorom moralność nie jest dodatkiem do czegoś ważniejszego, ale podstawą integracji społecznej. Gdy zaczyna upadać, dana wspólnota też przeżywa upadek. Historia i nauka dostarczają nam wielu przykładów. Wystarczy przypomnieć upadek Cesarstwa Rzymskiego albo Francję przedrewolucyjną.

Kłamstwo staje się „normalnym" narzędziem debaty? Byle tylko nie zostało szybko zweryfikowane?

– Problem polega na tym, że nawet jeśli kłamstwo zostaje obnażone, nic z tego nie wynika. Szybko można je wszak usprawiedliwić jakimś rzekomym interesem wyższym czy nawet, ostatecznie i bezwstydnie, własną korzyścią. W świecie zdominowanym przez bezwzględny egoizm takie usprawiedliwienie staje się

eprasa.pl 4bfacdb7d4

coraz bardziej akceptowane. A jeśli ma ona charakter korzyści dla jakiejś opcji ideowej czy politycznej, usprawiedliwienie przychodzi szczególnie łatwo. Tak jakby kłamstwo jako narzędzie walki politycznej przestawało być kłamstwem. Tolerancja jest tutaj związana z postępującym procesem odmoralnienia polityki. Wraz z odmoralnieniem relacji ekonomicznych oraz usytuowaniem się części mediów (np. tabloidów) poza dobrem i złem proces ten odpowiada za ponury obraz dzisiejszego świata.

Możni tego świata się śmieją

Przychodzi więc czas politycznych hochsztaplerów?

– W polityce nigdy ich nie brakowało. W gospodarce pewnie też. Problemem jest dziś nie ich istnienie, ale bezwstydność i skuteczność ich postępowania. Przez chwilę wydawało się, że po doświadczeniach różnych zapaści ekonomicznych, totalitaryzmów i dyktatur nauczyliśmy się dusić zło w zarodku. Dziś widać, że niczego się nie nauczyliśmy.

A może trochę? Były przecież w internecie akcje przeciwko chciwym biznesmenom podnoszącym ceny leków. Są akcje przeciwko dyktatorom. Może nie jest tak źle?

– Słowa, słowa, słowa. Nikt już nimi się nie przejmuje. Możni tego świata mają w nosie nasz sprzeciw moralny. Najlepszą tego ilustracją jest sławne zdjęcie bankiera z Wall Street, który przechodząc obok obozowiska nowojorskich oburzonych, pokazuje im język. Dramatem naszych czasów jest całkowita niemoc, bezradność ludzi wobec sił, nad którymi kompletnie nie panują, a które często pustoszą ich życie. Doskonałym przykładem są wielkie korporacje i banki, które stopniowo obejmują faktyczną władzę nad światem, nie przejmując się ani państwami, ani demokracją, ani moralnością. Mechanizm tzw. obrotowych drzwi, czyli przechodzenia ludzi z wielkiego biznesu do polityki i z polityki do wielkiego biznesu, dobrze ilustruje sytuację, w której następuje faktyczna fuzja tych światów. Aby zrozumieć, jak to działa, wystarczy popatrzeć na skład pierwszego rządu Baracka Obamy i obecnego rządu Donalda Trumpa, na wysokie stanowiska w instytucjach Unii Europejskiej, w bankach centralnych poszczególnych państw oraz Europejskim Banku Centralnym, a wreszcie na bardzo charakterystyczną dla tej sytuacji karierę pana Junckera, strażnika faktycznego raju podatkowego w samym sercu Europy, nagrodzonego najwyższym stanowiskiem w Unii Europejskiej. Nie przypadkiem też nie usunięto ani jednej faktycznej przyczyny ostatniego kryzysu, np. nie podzielono banków za dużych, aby upaść, ani nie zlikwidowano rajów podatkowych. Żadnemu bankierowi nie spadł włos z głowy.

Jak zerwać z neoliberalizmem?

Czy tradycyjne systemy moralne są skazane na porażkę? Bronią się bardzo agresywnie, wystarczy popatrzeć na wojującą prawicę.

– Nie wiem, jaki tradycyjny system moralny patronuje prawicy, bo w jej zachowaniu zarówno na świecie, jak i w Polsce widzę jedynie selektywne i opaczne wykorzystywanie różnych impulsów płynących z przekazów religijnych, niemające nic wspólnego z chrześcijaństwem jako takim. Niestety, to samo da się powiedzieć o tzw. lewicy. Już dawno stała się kompletnie bezideowa i dziś po doświadczeniach „lewicowych" rządów Blaira, Schrödera, Millera czy Clintona trudno ją odróżnić od całej reszty mainstreamu politycznego.

Jaka więc tworzy nam się moralność? Jakie obowiązują zasady? A może nic się nie tworzy i za chwilę czeka nas upadek?

– Nie chcę nadmiernie moralizować ani budzić tzw. paniki moralnej. Jedno i drugie jest niepotrzebne, a czasami wręcz niebezpieczne. Mam jednak nieodparte wrażenie, że zabrnęliśmy w ślepą uliczkę, z której będzie bardzo trudno zawrócić. Musielibyśmy bowiem nie tylko dokonać istotnej weryfikacji przekonań, które zdominowały nasze myślenie przez ostatnie kilkadziesiąt lat, przekonań z grubsza związanych z neoliberalizmem, ale także przeciwstawić się potężnym grupom interesu, dla których był to okres wprost niezwykłej *prosperity*, uzyskiwanej często kosztem innych. Bardzo się boję, że tak jak to nieraz bywało w historii, dopiero znacznie głębszy niż ostatni kryzys ekonomiczny albo wybuch jakiegoś masowego niezadowolenia społecznego czy, nie daj Boże, wojny mógłby odwrócić bieg wypadków. Trzeba za wszelką cenę dążyć do uniknięcia takich scenariuszy i wykorzystać narzędzie demokracji do zmiany status quo. W USA sukces był blisko, Bernie Sanders mógł wygrać wybory i zmienić ten kraj, wszak kiedyś udało się to Rooseveltowi w dosyć podobnych warunkach. Sytuacja dojrzewa do radykalnych zmian także gdzie indziej. Jeśli nawet pani Lagarde, szefowa Międzynarodowego Funduszu Walutowego, bastionu ortodoksji neoliberalnej, dostrzegła problem nierówności społecznych, jeśli pochylają się nad nimi władcy świata zbierający się Davos, to może cuda się zdarzają…

Robert Walenciak

Problemem nie jest istnienie politycznych hochsztaplerów, ale bezwstydność i skuteczność ich postępowania.

Jeśli nawet kłamstwo zostaje obnażone, nic z tego nie wynika. Szybko można je usprawiedliwić.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, MARCIN JURKIEWICZ/EAST NEWS, MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS, MEMNEWS.PL

eprasa.pl 4bfacdb7d4

JAZYDZI – WYZNAWCY SKRUSZONEGO ANIOŁA

Zdziesiątkowani przez dżihadystów są teraz ofiarami batalii między tureckimi, syryjskimi oraz irackimi Kurdami

Jeśli ktoś ma problem, to w świątyni w Lalisz wiąże węzeł. Rozwiązuje przy tym węzeł innej osoby, co sprawia, że rozwiązuje się czyjś problem. Ktoś potem rozwiąże jego węzeł i problem.

Michał Lipa

Kiedy John Kerry – były sekretarz stanu USA – oznajmił w ubiegłym roku, że arabscy chrześcijanie i jazydzi padli ofiarą ludobójstwa ze strony dżihadystów z Państwa Islamskiego, wiele osób po raz pierwszy usłyszało o istnieniu tej mniejszości. O ile bowiem o tragedii bliskowschodnich chrześcijan wiemy z mediów i ambon kościelnych, o tyle informacje o cierpieniach jazydów nie są już tak powszechne. A ci, do których dotarły jakieś wzmianki o tej grupie, najczęściej uważają ich za czcicieli szatana.

LUD Z NINIWY

Jazydów dotknęło ponad 70 masakr. W sierpniu 2014 r., kiedy Państwo Islamskie zajęło iracki Sindżar, dżihadyści dokonali masowego mordu ok. 5 tys. członków tej społeczności – głównie mężczyzn. Gwałcili i porywali kobiety oraz dzieci, ocalonym dawali wybór – islam albo śmierć. Szacuje się, że 50 tys. osób zdołało uciec w okoliczne góry. Wycieńczonym z powodu upału oraz braku wody i jedzenia uchodźcom pomogły oddziały kurdyjskich sił zbrojnych, wspierane przez armię amerykańską. Zorganizowały i zabezpieczyły one korytarz, który umożliwił ewakuację. Jednak dopiero w grudniu 2014 r. Kurdom udało się odbić część gór Sindżaru, a także przejąć kontrolę nad fragmentem miasta Sindżar. To wówczas odkryto masowe groby, w których pochowano wymordowanych kilka miesięcy wcześniej jazydów.

Liczebności tej grupy wyznaniowej nie sposób dokładnie oszacować, choć raczej nie przekracza ona 700 tys. Zdecydowana większość – około pół miliona osób – żyje w północnym Iraku, w graniczącej z Syrią prowincji Niniwa, której stolicą jest wieloetniczny i wielowyznaniowy Mosul. Największe skupiska skoncentrowane są w dystryktach Sindżar oraz Szekhan, gdzie rezyduje świecki przywódca jazydów – emir Tahsin Said. Mniejsze grupy są rozsiane po sąsiednich krajach. Istnieje też dość duża diaspora w Niemczech.

> Według religii jazydów czyny są ważniejsze od ortodoksji.

Większość historyków uważa, że pochodzenie jazydów związane jest z umajjadzkim kalifem Jazydem I, który w drugiej połowie VII w. władał pierwszym imperium arabsko-muzułmańskim. Ich synkretyczny system wierzeń zawiera pewne elementy islamskie, choć z pewnością nie jest

eprasa.pl 4bfacdb7d4

odłamem religii muzułmańskiej. Najświętsze miejsce jazydów znajduje się w irackim Lalisz, na północny zachód od Mosulu. Jest tam grobowiec szejka Adiego – jazydzkiego świętego, który zmarł w 1162 r. Jazydzi wierzą, że Adi ibn Musafir al-Umawi był inkarnacją Anioła-Pawia, czyli istoty władającej światem z nadania boskiego. Każdy członek społeczności jazydów zobowiązany jest do odbycia przynajmniej jednej pielgrzymki do grobu szejka Adiego. Mieszkający bliżej powinni co roku uczestniczyć w obchodach Święta Zgromadzenia.

Wraz z rozrostem społeczności jazydów muzułmańscy przywódcy zaczęli ich traktować z coraz większą niechęcią, co na początku XV w. doprowadziło do zniszczenia grobowca szejka Adiego. Jednak w późniejszych dekadach, kiedy na obszarze zamieszkanym przez jazydów ugruntowała się władza tureckiej dynastii Osmanów, znaczenie liderów wspólnoty na pewien czas wzrosło, zwłaszcza w XVI w.

W XVII w. znów nadeszły gorsze czasy i wielu jazydów ratowało się konwersją na islam. Do 1849 r. jazydów nie uznawano za lud księgi, co dawałoby im pewną ochronę pod panowaniem osmańskim, jaką cieszyli się chrześcijanie czy Żydzi. Dokonana w połowie XIX w. reforma, która miała poprawić los niemuzułmańskich mieszkańców imperium osmańskiego, nie uchroniła ich przed masakrami. Prześladowani byli zarówno przez niektóre plemiona kurdyjskie, jak i przez władców osmańskich, co sprzyjało współpracy jazydów z innymi gnębionymi grupami – zwłaszcza Ormianami, którzy u progu I wojny światowej doświadczyli ludobójstwa.

Etnicznie jazydom najbliżej jest do Kurdów. Posługują się zresztą językiem kurmandżi – jednym z dwóch głównych języków kurdyjskich. I choć sami stronią od przemocy, ponieważ ich religia mówi wyraźnie, że czyny są ważniejsze od ortodoksji, uznają narodowowyzwoleńcze aspiracje Kurdów.

ANIOŁ-PAW TO NIE SZATAN

Korzenie jazydyzmu sięgają wierzeń staroirańskich (m.in. zaratusztrianizmu) z domieszkami religii mezopotamskich i bliskowschodnich monoteizmów. Jazydzi uważają się za następców najstarszego potomka Adama. Wierzą w jednego Boga, stworzyciela wszechświata, który dał życie siedmiu aniołom, ażeby ci dokończyli dzieło stworzenia. Modlą się natomiast nie do Boga, który jest tak doskonały, że nie ingeruje w sprawy ludzi, lecz do Anioła-Pawia, jednego z siedmiu aniołów, który zbuntował się przeciw Bogu, za co ten strącił go w czeluść piekielną. To dlatego niektórzy utożsamiają go z szatanem. Anioł-Paw (Melek Taus) tak bardzo jednak żałował występku, że płacząc przez długie 7 tys. lat, ugasił łzami piekielny ogień. W ten sposób piekło przestało istnieć, a Bóg wybaczył mu jego błąd i powierzył misję władania światem.

Nieporozumienie polegające na pomieszaniu Anioła-Pawia z szatanem należy uznać za jedną z przyczyn nienawiści ze strony dżihadystów. Nie tolerują oni bowiem jakiegokolwiek odstępstwa od ich wersji islamu.

Jazydzi mają bogatą obrzędowość, a struktura ich społeczności przypomina system kastowy, w którym poczesne miejsce zajmują kapłani. Oprócz pielgrzymki do Lalisz na różne sposoby oddają cześć Aniołowi-Pawiowi. Do głównych obrzędów należy Tawusgeran, podczas którego kapłani podróżują z figurką Anioła-Pawia po okolicznych miejscowościach, gdzie odbywa się coś w rodzaju nabożeństwa, w trakcie którego zbierana jest ofiara. Co ciekawe, jazydzi praktykują chrzest i obrzezanie, co świadczy o silnych wpływach chrześcijaństwa, islamu i judaizmu, czyli bliskowschodnich monoteizmów.

Przestrzegają też wielu – czasem restrykcyjnych – reguł. Nie wolno im odstępować od wiary, służyć w armii innowierców, zawierać małżeństwa z osobą z innej kasty, pluć na ziemię, wodę lub ogień, a także… jeść sałaty. O ile jednak to ostatnie spotkałoby się co najwyżej z dezaprobatą, o tyle za odstępstwo od wiary kara byłaby surowa. W 2007 r. doświadczyła tego dziewczyna o imieniu Du'a, którą ukamienowano. Rzekomym powodem było przejście na islam, co miało poprzedzić wyjście za mąż za muzułmanina. Wiadomość o tym tragicznym zdarzeniu nie rozeszłaby się, gdyby nie film, który ktoś wrzucił do internetu. Rozpętała się burza. Kurdowie protestowali przeciwko morderstwom honorowym, a dżihadyści znaleźli pretekst do brutalnego zaatakowania jazydów. W ramach specyficznie pojmowanej zemsty doszło do krwawych zamachów terrorystycznych, w których zginęło ponad 800 osób.

> Jazydzi praktykują chrzest i obrzezanie, co świadczy o silnych wpływach chrześcijaństwa, islamu i judaizmu.

> Religia zabrania jazydom pluć na ziemię, wodę lub ogień, a także… jeść sałatę.

MIĘDZY DŻIHADYSTAMI A KURDAMI

Jak twierdzi na łamach „The Washington Post" Loveday Morris, jazydzi do dziś nie zaznali spokoju. Teraz są ofiarami batalii politycznej, jaka toczy się w północnym Iraku między samymi Kurdami. Tureccy, syryjscy oraz iraccy Kurdowie nie są bowiem jednomyślni. Jazydzi znaleźli się między młotem a kowadłem. Walka z Państwem Islamskim to jedno, a waśnie i interesy polityczne to drugie.

Jazydzi przystąpili do oddziałów zbrojnych organizowanych przez Partię Pracujących Kurdystanu (PKK), czyli Kurdów tureckich. Z drugiej strony są Kurdowie syryjscy, którzy – podobnie jak Kurdowie iraccy (z prezydentem Masudem Barzanim) – woleliby, aby odziały PKK nie panoszyły się w północnym Iraku.

– Czujemy się jak zabawka w rękach polityków – żali się jazydzki duchowny Khalaf Bahri, który właśnie pochował młodego mężczyznę. Nie zabił go dżihadysta. Zginął w wyniku starcia, do jakiego doszło pomiędzy kurdyjskimi bojówkami na początku marca tego roku. Jamil Khalaf, którego rodzina od ponad dwóch lat żyje w namiocie, ponieważ ich wieś znajduje się w rękach dżihadystów, pyta rozpaczliwie: – Dlaczego oni walczą ze sobą, skoro mieli wyzwalać nasze wioski?

Autor jest doktorem nauk społecznych w zakresie nauk o polityce, pracownikiem Instytutu Kultur Śródziemnomorskich i Orientalnych PAN oraz wykładowcą akademickim. Zajmuje się procesami politycznymi i społeczno-gospodarczymi na Bliskim Wschodzie

FOT. POLARIS/EAST NEWS

eprasa.pl 4bfacdb7d4

ŻYCIE TANIE JAK WODA

JEDEN ZŁOTY – TYLE KOSZTUJE DOSTARCZENIE CYSTERNĄ WODY DLA JEDNEJ RODZINY SYRYJSKIEJ NA JEDEN DZIEŃ

JANINA OCHOJSKA

– działaczka humanitarna, założycielka i prezeska Polskiej Akcji Humanitarnej, laureatka Busoli PRZEGLĄDU w 2002 r.

Rozmawia Tomasz Borejza

Kiedy pani patrzy na świat, co najmocniej przykuwa pani uwagę?

– Ogromne różnice, które wydają się bardzo niesprawiedliwe. W części północnej naszego globu ludzie wyrzucają jedzenie i marnują wodę. A w południowej części, głównie w Afryce i Azji Południowo-Wschodniej, umierają z głodu i nie mają dostępu do czystej wody, co czasami prowadzi do śmierci. Prawie co 10. człowiek na świecie nie ma dostępu do czystej wody pitnej. Ten świat jawi mi się jako taki, w którym różnice są zbyt wielkie. Nie jestem za tym, żebyśmy wszyscy byli równi i mieli po równo – to niemożliwe. Ale w dobie ogromnego postępu technicznego powinniśmy móc doprowadzić przynajmniej do tego, żeby ludzie nie umierali z braku wody. Człowiek, który nie ma dostępu do wody ani żywności, codziennie walczy o przeżycie. Nie myśli o rozwoju. Myśli o tym, jak przeżyje kolejny dzień. Jak przeżyje go jego rodzina. Dziś funkcjonuje tak ok. 660 mln ludzi. Kiedy udaje się zapewnić im dostęp do wody, zaczynają myśleć o innych sprawach. O edukacji, czasami o otwarciu małego biznesu, o ochronie zdrowia.

To wynika z braku zasobów czy z nierównego ich podziału?

– Z nierównego podziału. Nawet w tych krajach, gdzie dostęp do wody wydaje się bardzo trudny, ta woda jest. Jednak jest głęboko, więc trzeba sporego wysiłku, narzędzi i pieniędzy, by się do niej dostać. Na przykład w Sudanie Południowym wiercimy studnie o głębokości od 40 do 100 m. A tam nie ma dróg, nie ma elektryczności, ludzie nie mają kontaktu z tym, co nazywamy światem zewnętrznym. Całe ich życie obraca się wokół tego, żeby zdobyć wodę, wyprodukować wystarczającą ilość żywności, co nigdy się nie udaje, bo nie są w stanie zgromadzić takich zapasów, by wystarczyły na porę suchą.

Sprawę pogarszają zmiany klimatyczne, które wpływają na to, że opadów jest mniej. W 2011 r. mieliśmy klęskę głodu w Rogu Afryki. Teraz to się powtarza. Jeżeli od kwietnia do czerwca nie spadnie więcej deszczu, kolejne miliony ludzi będą zagrożone śmiercią głodową.

Janina Ochojska w Sudanie Południowym w 2012 r.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Jak bardzo widać wpływ zmian klimatu?

– Statystyki pokazują, że jest więcej katastrof naturalnych, takich jak susze i powodzie. Zmiany klimatyczne wpływają głównie na te dwa rodzaje katastrof. One najbardziej dotykają człowieka i powodują, że dochodzą nam kolejne setki tysięcy uchodźców. Ludzi, którzy opuszczają swoje wioski, wędrują, szukają miejsca, gdzie jest większy dostęp do wody. W przypadku Somalii – pracujemy wokół Mogadiszu – widzimy ogromne zagęszczenie w obozach i konieczność budowania nowych dostępów do wody, ponieważ te istniejące, zbudowane przez nas i inne organizacje, nie wystarczają. W tej chwili w kolejkach do studni, kiosków wodnych trzeba stać nawet po kilka godzin.

Jednocześnie zmiany klimatu postępują, więc trzeba się spodziewać, że będzie gorzej.

– Nie jestem specjalistką w tej dziedzinie. Powtarzam opinię, że to m.in. zmiany klimatyczne powodują więcej susz, ale żeby wiedzieć, w jakim generalnie kierunku to idzie, trzeba się przyjrzeć dłuższemu okresowi. Pamiętam artykuł z serwisu ReliefWeb, w którym porównywano ostatnie 20 lat z poprzednimi 20 latami. Pokazywano, jak zwiększyła się liczba katastrof naturalnych. Jako jedną z przyczyn wskazuje się globalne ocieplenie.

Te wykresy robią wrażenie.

– Zmiany odczuwamy także w Polsce. Zima nie jest zimą. Lato nie jest takie, jak było kiedyś.

BRAK WODY TO ŚMIERĆ

Co się dzieje, kiedy w takim kraju jak Somalia, gdzie pracuje PAH, przychodzi susza?

– Zaczyna się wędrówka całych wiosek, grup, które wyruszają w poszukiwaniu wody. Idą tam, gdzie ta woda jest. To tworzy ogromne skupiska ludzi wyczerpanych, będących na skraju śmierci głodowej. Ludzie umierają. Przychodzą epidemie. W 2011 r. uciekający przed skutkami suszy porzucali słabszych, nie mogli ich nawet pochować. Robili to, bo chcieli ratować tych, którzy jeszcze mieli szansę na przeżycie. To są tragiczne obrazy. Zrobione wtedy zdjęcia wywołały falę współczucia, dzięki której zebraliśmy 3 mln zł i założyliśmy misję w Somalii, która trwa do dziś. Polega m.in. na budowie dostępu do wody i tworzeniu warunków higienicznych. Po to, by w takich dużych, prowizorycznych skupiskach ludzkich zapobiegać rozprzestrzenianiu się epidemii. Zapewniamy dostęp do wody oraz toalety. Uczymy higieny. To są filary. Pomagają przetrwać kryzysy.

Kurczące się zasoby sprzyjają konfliktom?

– Konflikty o wodę są znane. Dochodzi do nich między wioskami, klanami, regionami.

> 10% mieszkańców Ziemi nie ma dostępu do czystej wody.

A konflikt w Syrii? Wśród przyczyn wymienia się suszę.

– Na jego zaostrzenie bez wątpienia wpłynęło to, że w Syrii były trzy kolejne susze. Podniosły one ceny żywności, ograniczyły dostęp do wody. To oczywiście był kraj rozwinięty, więc problem z wodą nie miał aż takiego wpływu na życie jak w Sudanie Południowym, ale z tego powodu wzrosły np. ceny żywności. Najlepiej wyobrazić sobie, że w Krakowie przez miesiąc nie ma wody. W sklepach nie ma, bo już wszyscy wykupili zapasy. W kranie też nie ma, bo wodociągi nie działają. Z Wisły nie można jej brać, bo każdy widzi, jaka jest. I teraz przyjeżdża na ulicę cysterna z wodą, ale wiadomo, że tej wody jest za mało. Zrobi pan wszystko, żeby się dostać do tej cysterny.

To prawda. Zrobię.

– Każdy walczy o dostęp do niej. Ja jednak nie zgadzam się z opinią, że w sytuacjach konfliktów zbrojnych lub katastrof takich jak susza zatraca się solidarność. Wielokrotnie byłam świadkiem tego, jak ludzie dzielili się ze sobą. Sytuacja, w której się znaleźli, budowała więzi o wiele mocniejsze niż te, które my budujemy w dobrobycie. To jest paradoks. Z jednej strony, wiadomo, że każda matka zrobi wszystko, żeby zdobyć wodę. Z drugiej jednak, w obozach dla uchodźców widać, jak kobiety sobie pomagają. Dzielą się wodą. Oszczędzają skarb, który mają. Dostęp do wody łagodzi konflikty. Kiedy woda jest, nie trzeba o nią walczyć.

STUDNIA POZWALA NA ROZWÓJ

Ile zmienia studnia?

– Całkowicie zmienia życie ludzi. Proszę sobie wyobrazić kobietę z dzieckiem, która – kiedy takiej studni nie ma – cały czas myśli o tym, gdzie znajdzie wodę. O czym innym może myśleć? Do tego musi po wodę iść godzinę, półtorej godziny, i to w jedną stronę, a drogę tę niekiedy przemierza kilka razy dziennie. Przynosi tyle wody, ile potrzeba do przeżycia. Dbałość o higienę: swoją, dzieci, jedzenia, jest mniejsza. Kiedy jest dostęp do wody, zmniejsza się umieralność niemowląt. Jej przyczyna to przede wszystkim picie brudnej wody. Zmniejsza się umieralność kobiet. Jest mniej chorób. Dzieci, zamiast chodzić po wodę, mogą chodzić do szkoły. Kobiety, mając wodę, mogą podlewać ogródki w porze suchej i produkują więcej żywności.

Pod koniec 2006 r. wybudowaliśmy pierwsze osiem studni. Półtora roku później wioski, gdzie to zrobiliśmy, wyglądały zupełnie inaczej. Stały się zielone. Pojawiły się targowiska, dostęp do żywności. Zmienił się także wygląd ludzi. Zaczął powstawać drobny biznes – naprawianie czegoś, handel. Woda to rozwój. Jej brak lub dostatek określa to, jak ludzie żyją.

Skąd zainteresowanie wodą w Polskiej Akcji Humanitarnej? Zaczynaliście od czegoś innego.

– To prawda, że nie od tego zaczynaliśmy. Nasz pierwszy program wodny realizowaliśmy w Groznym. Kiedy w 2000 r. uzyskaliśmy dostęp do miasta, okazało się, że sieć wodociągowa została całkowicie zniszczona. Działało jedynie kilka pomp ulicznych, ale tam woda była niezdrowa. Zrobiliśmy rekonesans, który pokazał, że woda w ujęciach jest, tylko wypływa z rur i idzie w ziemię, a jednocześnie jest zanieczyszczona, m.in. pochodnymi ropy, bo tej w Groznym dużo.

> W obozach dla uchodźców w kolejce do studni trzeba stać nawet kilka godzin.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Polska Akcja Humanitarna zapewnia wodę w obozach w Somalii, w pobliżu Mogadiszu.

Apel PAH

Według danych ONZ ponad 6 mln Somalijczyków – więcej niż połowa mieszkańców kraju – potrzebuje pilnej pomocy w związku z utrzymującą się suszą i brakiem żywności. Dramatyczna jest również sytuacja w Sudanie Południowym, gdzie ograniczony dostęp do jedzenia ma prawie 5 mln ludzi. Polska Akcja Humanitarna, od lat prowadząca stałe misje w obu tych krajach, apeluje o wsparcie działań, które podjęła, żeby pomóc potrzebującym i zapobiec przerodzeniu się kryzysu w klęskę głodu.

Susza w Somalii zmusiła już ponad ćwierć miliona ludzi do poszukiwania ratunku w innych regionach kraju. Tysiące osób z terenów rolniczych, które wskutek suszy straciły plony i zwierzęta hodowlane, docierają m.in. w okolice Mogadiszu, gdzie Polska Akcja Humanitarna od trzech lat prowadzi działania w obozach dla osób wewnętrznie przemieszczonych.

Codziennie do obozów przybywa wiele nowych rodzin, które nie mają tak naprawdę nic. Muszą zorganizować sobie tutaj życie na nowo. Nie mają schronień, nie mają też dostępu do jedzenia. Polska Akcja Humanitarna instaluje obecnie w obozach wokół Mogadiszu dodatkowe bezpieczne źródła wody, dzięki czemu przybywający do miasta nie tylko mają co pić i w czym gotować, ale także są chronieni przed groźnymi chorobami. PAH planuje również przekazywanie najbardziej potrzebującym transferów pieniężnych, które będą mogli przeznaczyć na jedzenie i naczynia do przyrządzania posiłków oraz materiały do budowy prowizorycznych schronień.

Rząd Somalii przeznaczył na przeciwdziałanie skutkom suszy 1 mln dol., pomagają również rządy Dżibuti i Etiopii, a także lokalna społeczność. Potrzeby są jednak ogromne i niezbędna jest pomoc z zewnątrz – ONZ ocenia, że aby zapobiec klęsce głodu, porównywalnej z tą, jaka miała miejsce w Rogu Afryki w 2011 r., potrzeba jeszcze ponad 450 mln dol.

Klęska głodu zagraża również mieszkańcom Sudanu Południowego, gdzie w lutym tego roku ogłoszono ją w dwóch okręgach stanu Unity. Ale problem braku żywności dotyczy też wielu innych części kraju. Susza powoduje, że obniża się poziom rzek, więc ludzie, którzy stracili uprawy, nie mogą nawet łowić ryb. Przemieszczają się w poszukiwaniu jedzenia i wody w inne rejony kraju – wędrują grupami po 50-60 osób, które mają ze sobą tylko jeden garnek. Jeśli nie uda się złowić ryby, w garnku lądują liście drzew i hiacynt wodny.

Polska Akcja Humanitarna, która od 10 lat prowadzi w Sudanie Południowym stałą misję, rozpoczyna obecnie działania w stanie Unity – będzie zapewniać osobom wewnętrznie przesiedlonym dostęp do wody i zapobiegać rozprzestrzenianiu się głodu poprzez przekazywanie tym, którzy zostali bez niczego, nasion oraz narzędzi do połowu ryb.

Poprzez UNICEF zdobyliśmy pierwszy filtr, który potrafił oczyścić 25 tys. litrów wody na godzinę. Coś nieprawdopodobnego. Dokładnie pamiętam, kiedy woda z niego popłynęła pierwszy raz. To było 26 października 2000 r. Najpierw rozwoziliśmy ją tylko do szpitali, a później mieliśmy dwie stacje, w których było pięć filtrów – mogliśmy rozwozić wodę także do szkół. Potrzeby rosły, bo w tym czasie ludzie, którzy wcześniej uciekli z miasta, zaczęli do niego wracać. Wtedy po raz pierwszy podjęliśmy się tak dużej logistyki. To nam uświadomiło, jak ważny jest dostęp do wody. Kontynuowaliśmy programy wodne w Afganistanie. Studnie budowaliśmy także po tsunami na Sri Lance, które zanieczyściło słodkowodne zbiorniki. I tak już poszło.

Do Afryki.

– W 2006 r. pomyśleliśmy, żeby zacząć działać również w Afryce. Wybraliśmy Sudan Południowy, który nie był wtedy odrębnym państwem, ale próbującą się oddzielić częścią Sudanu. Niedawno podsumowaliśmy 10 lat naszej działalności w tym kraju. Okazało się, że co pięć dni powstawała studnia. W sumie zbudowaliśmy ich 700. To oznacza, że 700 wiosek otrzymało dostęp do wody.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

700 wiosek przeszło przemianę?

– Niektóre większą, inne mniejszą. Były też miejsca zupełnie puste, bez żadnych domów. Jednak były to tereny bezpieczne i wiedzieliśmy, że uchodźcy tam wrócą, więc budowaliśmy studnie. Pamiętam wioski, w których dopiero zaczynaliśmy je wiercić, a już powstawały pierwsze domki. Przez 10 dni, tyle mniej więcej zajmuje wiercenie, kolejne wyrastały jak grzyby po deszczu.

Ilu ludzi korzysta z jednej studni?

– Po ok. 500 osób. W różnych miejscach bywa oczywiście różnie.

CO MY WIEMY O WODZIE

Ile kosztuje studnia?

– Cena jest dosyć wysoka, ale trzeba tutaj uwzględnić, czego potrzeba do wywiercenia takiej studni. Mówimy o wierceniu, czyli czymś, czego lokalna społeczność nie może zrobić sama. Koszt to ok. 60 tys. zł. Ostatnio wzrósł, przede wszystkim dlatego, że podrożało paliwo. Proszę jednak pomyśleć, co trzeba zrobić, żeby taką studnię wywiercić. Na początek trzeba sobie wyobrazić wioskę w buszu, gdzie ludzie mieszkają w domkach z gliny i zajmują się hodowlą oraz rolnictwem. Nie ma dróg. Nie ma elektryczności. Nie ma stacji benzynowych, więc paliwo dowozi się ze stolicy, a wcześniej sprowadzaliśmy je z Kenii. Wszystko to trzeba zapewnić.

60 tys. zł nie jest wygórowaną ceną za zmianę na lepsze życia 500 osób.

– Za trwałą zmianę.

Tym bardziej. To równowartość samochodu średniej klasy. Zwrot z inwestycji imponuje.

– Jest ogromny. Jeżeli policzymy, że to nawet 10 lat dostępu do wody, jej koszt staje się niewielki. Tym bardziej że są to ręczne studnie głębinowe, o które później dba wioska, reperuje je. My szkolimy komitety wodne. Staramy się, by składały się one zarówno z kobiet, jak i mężczyzn, którzy później dzielą się obowiązkami. A do tego szkolimy mechaników pomp, którzy mogą dokonać skomplikowanych napraw, co staje się dla nich także źródłem utrzymania.

To cały system.

– Zbudowanie studni jest bardzo ważne, ale chodzi też o to, żeby ona działała. Bez tego wszystkiego nie mielibyśmy pewności, że taka pompa będzie służyć ludziom, tak jak powinna. Zwykle monitorujemy studnie przez rok. Kontrolujemy, czy wszystko działa – później robi to wioska.

Myśli pani, że w Polsce zdajemy sobie sprawę z globalnych problemów? Takich jak choćby brak dostępu do wody? Pytam, bo mam wrażenie, że nasz świat, świat, którym się zajmujemy, coraz mocniej się zamyka. Że mało wiemy o innych.

– To zależy, gdzie zapytać. Kiedy patrzę na tzw. społeczeństwo polskie, widzę, że ta świadomość wzrasta. Przybywa np. szkół biorących udział w naszym programie wodnym. Rośnie liczba zaproszeń, które od nich otrzymujemy. Rozwieszają plakaty, organizują zbiórki, akcje informacyjne. W ich ramach dzieci próbują np. ponieść 25-litrowy kanister wody. Okazuje się, że to bardzo trudne, tymczasem afrykańskie kobiety noszą je wiele kilometrów.

Rosnącą świadomość widzę także po ilości wpłat na programy wodno-sanitarne. Kiedy w 2006 r. zaczynaliśmy pierwszą taką kampanię, zbieraliśmy mało pieniędzy. Teraz hasła: woda dla Sudanu Południowego, studnie dla Sudanu Południowego są bardzo popularne i sporo ludzi reaguje pozytywnie. Mamy kilkadziesiąt studni sfinansowanych całościowo przez osoby indywidualne. Ludzi, którzy wyłożyli całe 60 tys. zł. Mamy też firmę z Chojnic, która buduje już piątą studnię. Jeden pan, prywatnie, dał pieniądze na 15 studni. Widać więc, że w społeczeństwie świadomość wzrasta.

Widzę, że będzie ale.

– Ale 22 marca obchodziliśmy jak co roku Światowy Dzień Wody. W polskich mediach prawie w ogóle nie było go widać. Mówi się o tym bardzo mało. Główne media zupełnie pomijają temat. Kiedy jest Dzień Kobiet, mówią o tym wszyscy. Tymczasem bez Dnia Kobiet możemy żyć. Bez wody – nie. A to przecież dzień, który pozwala uświadomić ludziom, jakim luksusem jest czysta woda, że trzeba ją oszczędzać, że co 10. człowiek na świecie w ogóle nie ma do niej dostępu. Jednak, wie pan, nasze działania nie polegają na tym, żeby narzekać. Polegają one na tym, by zbudować jak najwięcej dostępów do wody. I budować świadomość polskiego społeczeństwa.

Co jednak się łączy, bo im większa świadomość, tym więcej studni można zbudować.

– Tego, że świadomość rośnie, dowodzą wzrastające wpłaty. A ponieważ zajęcia prowadzimy i w szkołach, i na uniwersytetach trzeciego wieku, docieramy do bardzo różnych środowisk. Cieszymy się z każdej złotówki, którą ktoś przeznaczy na tego typu pomoc. Celowo mówię o złotówce, bo w tej chwili dostarczenie cysterną wody dla jednej rodziny syryjskiej na jeden dzień to właśnie jeden złoty. Ta złotówka jest naprawdę bardzo istotna.

Tomasz Borejza

Na zaostrzenie konfliktu w Syrii wpłynęły trzy kolejne susze. Podniosły one ceny żywności i ograniczyły dostęp do wody.

W Sudanie Południowym co pięć dni powstawała studnia. W sumie zbudowaliśmy ich 700.

JAK MOŻESZ POMÓC

- **Wpłać dowolną kwotę na konto**
  91 1060 0076 0000 3310 0015 4960 z dopiskiem „SOS GŁÓD”
  IBAN: PL91 1060 0076 0000 3310 0015 4960
  SWIFT: ALBPPLPW
- **Wpłać darowiznę online na stronie www.pah.org.pl/wspieraj – jako cel darowizny wybierz „SOS GŁÓD”**
- **Dołącz do Klubu PAH SOS i regularnie wspieraj działania PAH w krajach dotkniętych kryzysem humanitarnym – informacje na stronie www.pah.org.pl**

FOT. MARCIN SUDER/PAH, SIPA USA/EAST NEWS

eprasa.pl 4bfacdb7d4

WĘGLOWA BLOKADA DONBASU

Ukraińskie media przemilczały, że Kijów kupuje węgiel z terenów zajętych przez separatystów

Aleksandra Łagowska

Europa jest zmęczona ukraińskim kryzysem – mówi w wywiadzie z byłym premierem Ukrainy Arsenijem Jaceniukiem dla BBC HARDtalk brytyjski dziennikarz Stephen Sackur. To zrozumiałe – skomplikowany, nierozstrzygnięty konflikt z upływem czasu budzi tylko frustrację i niechęć obserwatorów. Wieści z Ukrainy coraz bardziej przekonują, że nie ma wyjścia z patowej sytuacji, której częścią jest konflikt na wschodzie kraju.

Do kolejnego zaostrzenia ukraińskiego kryzysu przyczynia się trwająca od 25 stycznia blokada Donbasu, którą prezydent Ukrainy Petro Poroszenko nazwał wrogim projektem obliczonym na rozchwianie sytuacji wewnątrz kraju. Inicjatorami są byli członkowie batalionów ochotniczych Donbas i Dniepr (w tym czterech posłów Rady Najwyższej) finansowanych przez oligarchę Ihora Kołomojskiego. Niedawni bohaterowie „rewolucji godności" na kijowskim Majdanie, obecnie weterani antyterrorystycznej operacji, blokują tory kolejowe prowadzące na tereny samozwańczych Donieckiej Republiki Ludowej i Ługańskiej Republiki Ludowej (DNR i ŁNR). W ten sposób sprzeciwiają się krwawemu handlowi z prorosyjskimi separatystami i domagają uwolnienia ukraińskich jeńców. Jeden z liderów blokady, poseł Semen Semenczenko (prawdziwe nazwisko Konstantyn Griszyn), były dowódca ochotniczego batalionu Donbas, oskarża rząd ukraiński o to, że mimo otrzymanego z Polski w 2015 r. kredytu nie zrealizowano przebudowy elektrociepłowni.

W odpowiedzi na blokadę prezydent DNR Aleksandr Zacharczenko dokonał nacjonalizacji 40 przedsiębiorstw. Mimo że są one zlokalizowane na terenach zajętych przez separatystów, podatki odprowadzano do Kijowa. Pieniądze były zatem wykorzystywane również do finansowania operacji antyterrorystycznej, czyli walki zbrojnej z mieszkańcami zbuntowanych regionów. Handel donbaskim węglem niewątpliwie przynosił korzyści prorosyjskim separatystom, natomiast związane z jego sprzedażą podatki wspierały budżet ukraiński. Jest to jeden z wielu paradoksów wojny w Donbasie. W mediach ukraińskich nie mówiono o kupowaniu przez Kijów węgla z terenów zajętych przez separatystów, gdyż zaprzeczało to twierdzeniu, że DNR i ŁNR są kontrolowane, a nawet okupowane przez Rosję. Słowa przewodniczącego Służby Bezpieczeństwa Ukrainy Wasyla Hrycaka o tym, że kraj nie może się obejść bez węgla z okupowanych przez Rosję terenów, trudno połączyć z propagowanym dotychczas wizerunkiem donieckich bojówkarzy i ekstremistów. Z wypowiedzi tej wynika, że poparcie finansowe organizacji terrorystycznych zagrażających suwerenności Ukrainy, czyli kupowanie węgla od separatystów, jest niezbędne dla energetyki państwa.

Niewątpliwie blokada handlowa Donbasu przyniesie gospodarce ukraińskiej duże straty. Według słów premiera Ukrainy Wołodymyra Hrojsmana mogą one sięgnąć ponad 3 mld dol. Wstrzymano też decyzję o udzieleniu Ukrainie 1 mld dol. kredytu przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Ponadto ubędzie ok. 75 tys. miejsc pracy. Ukraińskie zakłady przemysłowe i elektrociepłownie zostały zbudowane w czasach ZSRR, mogą pracować tylko na wysokoenergetycznym antracycie, który sprowadzano właśnie z kopalń donbaskich.

Brak dostaw antracytu paraliżuje także pracę wielkiej koksowni w Awdiejewce (niedużym mieście w obwodzie donieckim), należącej do Rinata Achmetowa, najbogatszego oligarchy Ukrainy. Krążą przypuszczenia, że blokadę zorganizowano głównie po to, aby kto inny mógł przejąć koksownię Achmetowa. Według posła Rady Najwyższej Serhija Taruty Semenczenko i jego poplecznicy chcą przejąć kontrolę nad kontrabandą. Potwierdza tę opinię ukraiński polityk Wadym Rabinowycz, którego zdaniem cele uczestników blokady są wyłącznie komercyjne.

Zorganizowana przez weteranów operacji antyterrorystycznej blokada handlu z Donbasem nie tylko zaostrzyła konflikt między prorosyjskimi separatystami a zwolennikami europejskiej Ukrainy, ale również pogłębiła rozłam wśród rządzących w Kijowie. Część polityków, w tym była premier Julia Tymoszenko, na przekór prezydentowi Poroszence i premierowi Hrojsmanowi poparła blokadę. Natomiast według zachodnioeuropejskich ekspertów, których opinię wyraża m.in. brytyjski dziennikarz Stephen Sackur, jest ona kolejnym aktem samozniszczenia Ukrainy, oddalającym ją od pożądanej integracji z Europą.

Autorka jest doktorem nauk humanistycznych w zakresie przekładoznawstwa

FOT. WWW.FACEBOOK.COM/SHTAB.BLOKADY

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Oko w oko

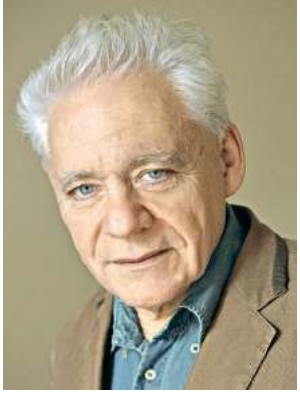

Tomasz Jastrun

OBSESJA

Wszyscy, którzy mają odmienną wizję Polski od naszych narodowców, to zdrajcy. Prezes narzeka, że z opozycją nie da się rozmawiać. Ale jak zdrajcy mogą rozmawiać z prawdziwymi Polakami? Mogą tylko paść na kolana. Ci, którzy wywołali w Polsce zimną wojnę domową, mają żal do oponentów, że używają wojennego języka. A to nie jest jak w przysłowiu „psy szczekają, karawana idzie dalej". Karawana odszczekuje się psu. To ludzki nieludzki odruch. Wpędzili nas w nienawiść nasi pełni nienawiści chrześcijanie.

•

Kolekcja absurdów na scenie politycznej powiększa się. Nie da się udowodnić zamachu na prezydencki samolot z użyciem materiałów wybuchowych, więc obarcza się winą rosyjskich kontrolerów lotu, że świadomie kierowali tupolewa ku zgubie. Niewątpliwie PiS pragnie wojny z Rosją. I na pewno ją wygramy. Putin zostanie postawiony przed polskim sądem i przyzna się, że konspirował z Tuskiem.

•

W Polsce, jak wszędzie, jest rzesza idiotów. Ale polski idiota jest specyficzny, szlachecki, jeśli zbyt długo traktuje się go jak idiotę, to się buntuje. Dlatego kolejne sondaże potwierdzają, że PiS traci, a PO zyskuje. Przykro mi to powiedzieć, ale Platforma zyskuje z rozpaczy. Dzięki naszej rozpaczy. (Podobno jednak dużo jeżdżą w teren i spotykają się z ludźmi, tylko brakuje im wizji i charyzmy). Kiedyś ceniłem Petru, teraz coraz mi trudniej. PiS już mnie nie irytuje, to inne uczucie, na które brakuje słów. Irytuje mnie opozycja. Katują Polskę, a ci stają z boku i boczą się na siebie.

Nie było w Polsce równie żałosnego prezydenta.

•

Prawica nadal tak przerabia naszą demokrację, że oddanie władzy przez nich nie mieści się w wyobraźni. Przecież jak stracą władzę, pójdą pod topór, który sami wbili w pieniek. Wyrżnięta zostanie w pień cała nowa nomenklatura. Niestety, także ci, którzy się sprawdzili jako zarządzający. Zemsta jest zawsze chora i nie zna niuansów. A PiS przecież nie zniknie, będzie jak wielki, ropiejący wrzód. Biedna Polska. Długą mamy tradycję w tej biedzie. Prawica musi więc coś nowego wymyślić, by nie przegrać wyborów. Na miejscu polityków opozycji bałbym się usiąść na sedesie, bo to pokażą w telewizji rządowej. Z jednej strony, będą materiały kompromitujące opozycję, z drugiej – budowa tanich mieszkań, co do końca roztrzaska budżet. A opozycja będzie musiała deklarować, że jest za tym, jak w przypadku 500+.

•

Wiele tragikomicznych wydarzeń, które już przechodzą do archiwum naszej sceny politycznej. Najwięcej punktów dałbym za scenę: chór leśników śpiewający dla ministra Szyszki. Druga scena: prezes upomina Macierewicza i Dudę jak właściciel koni, poklepuje je, by nie zbaczały z drogi. Prezes dobry pan. Wyrozumiały. Jego dobroć ujawnia się co chwilę. W RMF FM mówi, że opozycja i wszyscy, którzy krytykują PiS, żyją „w świecie całkowicie wymyślonym, propaganda przeciwko nam skierowana przeszła w stan szaleństwa". Oni więc pracują na rzecz demokracji, a my dla dyktatury. Kaczyński ocenił, że PiS nie traciłoby w sondażach, gdyby w Polsce „istniała równowaga w mediach". „To przy tym wszystkim, co uczyniliśmy dla społeczeństwa, te notowania byłyby dziś dużo wyższe", powiedział. Określenie „równowaga" na wprowadzanie kłamliwego bełkotu mediów publicznych już wszędzie. Prezes teraz coraz częściej wychodzi z ukrycia jako ojciec narodu, naczelnik. Zaczyna więc być za wszystko odpowiedzialny. Też za rzeź drzew, rzeź generałów, katastrofę w oświacie, za chwilę dojdzie ciężki zawał w służbie zdrowia.

Polska przez tydzień żyła niezwykle donośnym politycznie wydarzeniem – Duda miał się spotkać z Macierewiczem. Wszyscy drżeli z emocji, co z tego wyniknie. Wynikło obopólne zadowolenie. Czyli żadnych zaskoczeń. Nie było w Polsce równie żałosnego prezydenta i pewnie już nie będzie. W kraju, gdzie zamordowano pierwszego polskiego prezydenta, wybitnego uczonego, szlachetnego człowieka, ta funkcja powinna szczególnie zobowiązywać. Duda przypomina muchę, która wpadła w pajęczą sieć. Obok drży w sidłach pani premier Szydło. Wszyscy poruszani oddechem naczelnika.

Mamy już złowrogą obsesję na punkcie Kaczyńskiego. Ciągle o nim się mówi, kpi z niego, w moich felietonach też go pełno. To jego triumf, niestety. Zadanie na przyszły tydzień: napisać felieton, w którym nie będzie o nim ani słowa. Ciekawe, czy mi się uda.

•

Szukam motta do książki o stalinizmie, ale też do zjawiska wiary smoleńskiej, one są jakoś pokrewne. Znalazłem słowa Emila Ciorana, mistrza świata w intelektualnych błyskach. „Ludzie w coś wierzą, żeby o sobie zapomnieć. Kryją się w ideałach, szukają schronienia w idolach i zabijają czas tysiącami wierzeń. Najbardziej by ich przygnębiło, gdyby na tej kupie przyjemnych oszustw znaleźli się nagle twarzą w twarz z czystym istnieniem".

Może dobrze, że nie istnieje „czyste istnienie". Zawsze jest pobrudzone jakimiś złudzeniami.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4bfacdb7d4

POLAK GREKOWI BRATEM

Po wojnie przyjęliśmy prawie 15 tys. uchodźców z Grecji

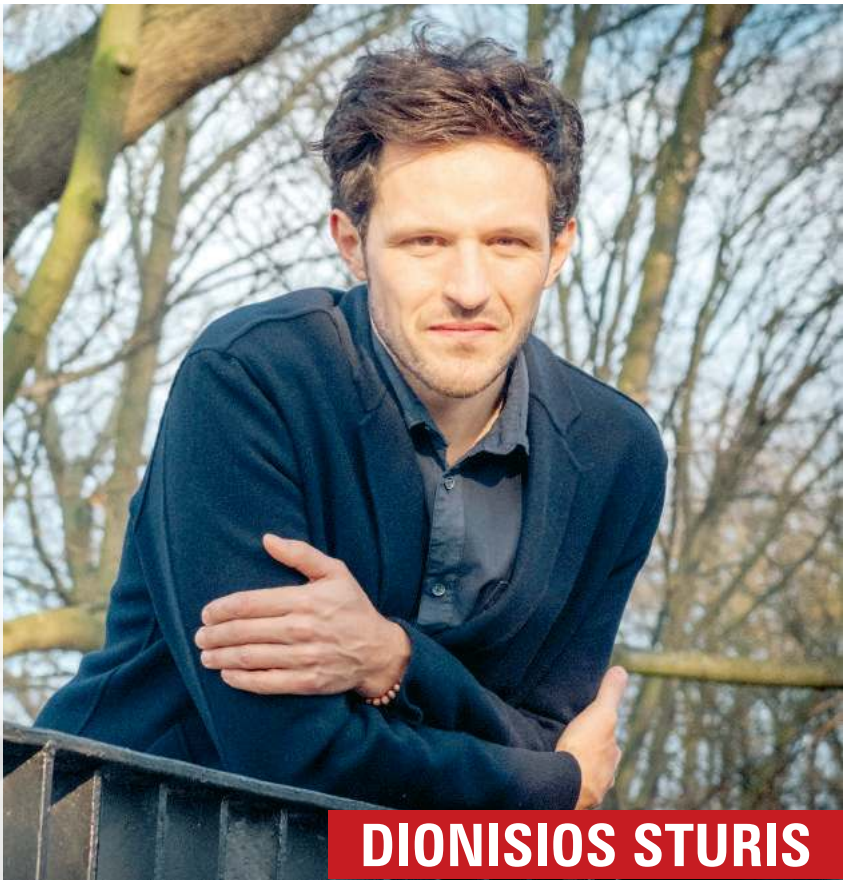

DIONISIOS STURIS

Rozmawia Małgorzata Kąkiel

Dlaczego nową książkę, opowiadającą o greckich uchodźcach przybyłych do Polski na początku lat 50., dedykuje pan uchodźcom dzisiejszym? Żeby dodać im otuchy, zawstydzić współczesną Polskę czy dowartościować minioną?

– Z tych wszystkich powodów i jeszcze jednego – chciałem zwrócić uwagę na niezmienność sytuacji uchodźczej. Moich bohaterów, Greków i Macedończyków, łączy wspólne, dramatyczne doświadczenie z tymi ludźmi, którzy dziś uciekają z Syrii, Iraku, Afganistanu czy krajów Afryki. Wszyscy oni są ofiarami okrutnych wojen, wojny ich wykorzeniają, rzucają daleko od domu, skazują na łaskę innych, trwale zmieniają ich życiorysy, wikłają także losy przyszłych pokoleń.

Skoro prawie 70 lat temu zdecydowaliśmy się pomóc uchodźcom z Grecji, pomóżmy także tym dzisiejszym. Wtedy zachowaliśmy się godnie. To, co robią dzisiejsze władze, jedynie nas zawstydza. Zaczął jeszcze poprzedni rząd z premier Ewą Kopacz, która długo lawirowała w sprawie przyjęcia uchodźców. Dobrze to pamiętam, bo jako dziennikarz śledzę kryzys uchodźczy od lat, pisałem o nim już pięć lat temu w pierwszej książce „Grecja. Gorzkie pomarańcze". Pojechałem wtedy na pogranicze grecko-tureckie i widziałem, jak zdesperowani uchodźcy próbują przejść lub przepłynąć rzekę Ewros. Wiele osób ginęło podczas tej próby – mało kto się tym przejmował, a to była zapowiedź sytuacji, jaka wydarzyła się w roku 2015.

Skąd to zainteresowanie?

– Jako potomek uchodźców mam w sobie może jakiś uchodźczy gen. Uchodźstwo mocno we mnie rezonuje. Czuję, że mam dług do spłacenia. Stąd projekt książki. Pomyślałem, że przypomnienie zdarzeń sprzed prawie 70 lat w pewnym sensie pomoże dzisiejszym uciekinierom – a raczej nam, byśmy bardziej się na nich otworzyli. Może czytelnicy poprowadzą paralelę między historią a współczesnością.

O co chodzi z tym długiem?

– Cała rodzina mojego ojca to uchodźcy z Grecji – pochodzili z małej wioski na północy kraju. Nie byli ludźmi zaangażowanymi politycznie, choć bracia i kuzyni babci walczyli w komunistycznej partyzantce. Kiedy zbliżały się wojska rządowe, cała wioska zdecydowała się na ewakuację. Najpierw wszyscy przeszli do Jugosławii i w obozie szkoleniowym czekali na koniec walk. Wierzyli, że partyzanci zwyciężą i będzie można wrócić do domu. Stało się inaczej. Komuniści przegrali wojnę domową i chcąc ratować życie, musieli uciekać z Grecji. Babcia z bliskimi znalazła się w Czechosłowacji, a później, w ramach łączenia rodzin, w Polsce. Historia ich uchodźczej odysei zafa-

– dziennikarz radia TOK FM. Autor „Grecji. Gorzkich pomarańczy", książki nominowanej do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. Napisał też „Gdziekolwiek mnie rzucisz. Wyspa Man i Polacy. Historia splątania" i „Nowe życie. Jak Polacy pomogli uchodźcom z Grecji".

eprasa.pl 4bfacdb7d4

scynowała mnie. Postanowiłem, że ją opiszę, tym bardziej że przede mną nie zajął się tym w Polsce żaden reporter. Pamięć o uchodźcach z Grecji prawie nie istnieje.

Pisze pan: „Dzielimy się tym, co mamy – wiemy aż za dobrze, co to wojna". Na początku lat 50. Polska się odbudowywała, dużo było problemów wewnętrznych, ale przyjęto ok. 15 tys. Greków. Decydowały względy ideologiczne (lewica pomagała lewicy) czy dużą rolę odegrała świeża pamięć grozy wojny?

– Historycy twierdzą, że Stalinowi niespecjalnie zależało na greckich towarzyszach, dlatego nie naciskał na Bieruta. Ten jednak, w myśl proletariackiego internacjonalizmu, zdecydował się pomóc Grekom, i to pomimo olbrzymich problemów krajowych. Być może świeża pamięć o wojnie również miała znaczenie – z pewnością była ona ważna dla osób opiekujących się przybyszami, zarówno dziećmi ewakuowanymi z terenów walk, które znalazły się na Ziemiach Odzyskanych, jak i rannymi partyzantami, dla których polskie władze uruchomiły specjalny szpital w Dziwnowie. Nauczyciele, wychowawcy, opiekunki, lekarze, pielęgniarki – ich życzliwość wobec wojennych uchodźców była nieskończona.

Na stację wjeżdża pociąg, otwierają się drzwi bydlęcych wagonów, bucha smród brudu, odchodów… Na peron zaczynają wyskakiwać przestraszone, umęczone greckie dzieci. Ta scena najdobitniej przedstawia tragizm uchodźców.

– Słyszałem o tych wagonach, potem widziałem fragment filmu dokumentalnego, gdzie utrwalono tę scenę. Moja ciotka – jako ośmioletnia dziewczynka – przyjechała w pierwszym transporcie, latem 1948 r. Trafiła do dzisiejszego Szczawna-Zdroju. Według jej własnych słów ten pociąg wywiózł ją z piekła wojny i przywiózł prosto do raju – bo bezpieczna Polska była dla niej rajem. A dostała przecież zupełne minimum: jedzenie, świeże ubranie, wygodne łóżko.

Jak się żyło Grekom w Polsce?

– Wielu doświadczyło skoku cywilizacyjnego. Ilias Wrazas, profesor na Uniwersytecie Wrocławskim, który mieszkał z rodzicami w Krościenku, wspomina, że w wiosce działały żłobki, przedszkole, szkoły, kino, przyjeżdżały zespoły teatralne. Uchodźcy mieli zagwarantowaną opiekę medyczną, pracę, wynagrodzenie – w ich rodzinnych wioskach w Grecji takie „luksusy" stanowiły rzadkość. Większość przybyszów to byli niewykształceni chłopi, uprawiający rolę metodami dawno zapomnianymi w Polsce. Gdyby nie uciekli z kraju, pozostaliby analfabetami. Polska stworzyła im liczne możliwości, z których uchodźcy chętnie skorzystali i za które do dziś są wdzięczni.

Podobne warunki awansu społecznego stwarzano Polakom. To zapewne łączyło Polaków i Greków.

– Grecy i Macedończycy szybko zadomowili się w Polsce i ciężką pracą próbowali się zrewanżować za okazane wsparcie. Razem z Polakami brali udział w niedzielnych czynach społecznych, pomagali odgruzowywać Wrocław, w fabrykach wyrabiali po 200% normy. To budowało poczucie wspólnoty. Dla przybyszów z Grecji szczególnie ważna była edukacja. Rozumieli, że porządne wykształcenie zapewni szanse na lepsze życie. Powtarzali swoim dzieciom, że muszą dobrze się uczyć i zdobywać konkretne zawody, bo ich wiedza przyda się po powrocie do ojczyzny. Większość uchodźców żyła bowiem nadzieją na powrót, wyrażaną w życzeniach: *kie tu chronu stin patrida* (oby za rok już w ojczyźnie). I faktycznie, gdy pojawiła się możliwość, uchodźcy zaczęli pakować walizki. Rodzina mojej ciotki wyjechała jako jedna z pierwszych, zaraz po upadku junty czarnych pułkowników w 1974 r. Reszta uchodźców wracała stopniowo. Z kilkunastu tysięcy w Polsce zostały niespełna 4 tys.

Grecy spędzili u nas ćwierć wieku albo dłużej, tutaj się urządzili, dzieci chodziły do szkoły, studiowały. Mocno już się zakorzenili. Dlaczego gremialnie wrócili?

– Powody były różne, często prozaiczne, np. pozostawiona w ojczyźnie ziemia, ale także tęsknota za bliskimi i wielkie poczucie patriotyzmu. Najstarsze pokolenie stanowili dawni partyzanci, którzy za Grecję przelewali krew i którzy wychowywali swoje dzieci w kulcie ojczyzny. Te dzieci, choć urodzone, wychowane i wyedukowane w Polsce, gdy przekraczały próg robotniczego mieszkania we Wrocławiu, w Legnicy, w Nowej Hucie czy w Zgorzelcu, przenosiły się do równoległego świata, do Grecji, o której bez przerwy opowiadali ich rodzice. Członkowie tego drugiego pokolenia to dziś 60-latkowie, młodzi emeryci, którzy kochają jednocześnie Grecję i Polskę – dobrze pamiętają kraj dzieciństwa i młodości i czują wobec niego niezwykłą wdzięczność.

Skoro prawie 70 lat temu pomogliśmy uchodźcom z Grecji, pomóżmy i tym dzisiejszym.

Ci drugoklasiści ze Zgorzelca są urodzonymi w Polsce dziećmi macedońskich uchodźców.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Te powroty do Grecji były zresztą bardzo trudne. Rzeczywistość różniła się od opowieści rodziców, a o pozostawiony majątek często toczyły się kłótnie z rodziną.

Trzeba było urządzać się od nowa.

– Tak. Pojawiła się też nowa, ciekawa linia podziału. Chętniejsi do powrotu byli mężczyźni, kobiety podchodziły do sprawy bardziej pragmatycznie. Moja ciotka w ogóle nie chciała wyjeżdżać z Polski. W Chojnowie miała pracę, mieszkanie, nowe meble, dzieci chodziły do szkoły. Wiedli spokojne, w miarę dostatnie życie, aż tu nagle mąż każe się pakować…

Powroty były trudne także z jeszcze innego powodu. W Grecji trzeba było się nauczyć funkcjonować w kapitalizmie – pracować bez etatu, bez ubezpieczenia, za śmieszne pieniądze. Do tego dochodziła irytująca propaganda antykomunistyczna – Grecy współczuli ciotce, że przyjechała niby to z piekła na ziemi, że mieszkała w lepiance i jadła ze świniami.

Życie uchodźcy. Ciągle jest się na początku drogi.

– O tyle było im łatwiej, że do Grecji wracała demokracja; wprawdzie rządziła prawica, ale nie skrajna. Władze zrehabilitowały byłych partyzantów, oddały paszporty, porozumiewały się z polskim rządem w sprawie emerytur za lata przepracowane tutaj. *À propos* rządów i polityki – Grecy nie wstępowali do Solidarności, bo byli wdzięczni i lojalni wobec władz PRL. A po powrocie do Grecji głosowali wyłącznie na lewicę – na komunistów albo Syrizę. Zresztą do dziś większość z nich ma tożsamość lewicową.

Przyjazd greckich emigrantów do Szczecina.

Czyli jedną humanitarną decyzją można przez lata wpływać na politykę innego kraju.

– Grecka Partia Komunistyczna ma od lat stałe, kilkuprocentowe poparcie, zbyt małe, by liczyć się w krajowej polityce, za to Syriza rządzi Grecją od ponad dwóch lat.

Grecja też umie przyjmować imigrantów, dowiodła tego w latach 20. XX w., gdy ten mały, biedny kraj otworzył granice dla tysięcy ludzi.

– To byli greccy chrześcijanie, którzy musieli opuścić Turcję w ramach akcji wymiany ludności – 800 tys. osób. Później, w latach 80. i 90., Grecja przyjęła także wielu polskich imigrantów. W samych Atenach było ich kilkadziesiąt tysięcy – mężczyźni pracowali na budowach, kobiety opiekowały się starszymi ludźmi albo sprzątały. Teraz Grecja stała się krajem tranzytowym – uchodźcy i imigranci trafiają na greckie wyspy, by stamtąd kontynuować marsz do krajów zamożniejszych. Byłem niedawno na Lesbos i spotkałem tam dwie staruszki, których matki w latach 20. uciekły z Turcji; dziś one przychodzą na wybrzeże i starają się pomóc uchodźcom z Syrii.

Jaka jest obecnie skala migracji?

– Dużo mniejsza niż w 2015 r., bo większość uchodźców wybiera obecnie szlak z Libii do Włoch. Od początku roku na greckie wyspy przypłynęło niespełna 3 tys. osób. Trafiają one do obozów, które utworzono m.in. w niszczejących obiektach olimpijskich, i czekają na przyjęcie przez inne państwa. Grecji brakuje środków na ich utrzymanie, więc prosi o pomoc partnerów z Unii Europejskiej. Niektóre kraje odpowiadają solidarnie i zgadzają się przyjąć określoną grupę uchodźców. Polska, wbrew wcześniejszym deklaracjom,

Wyślij SMS o treści WIKTOR pod numer 74567 i pobierz tapetę
(koszt 4,92 zł z VAT)

Pomóż Wiktorowi!

Być może minąłeś go kiedyś idąc ulicą. Być może uśmiechnąłeś się widząc jego roześmiane, dziarskie oczy. Zapewne nawet nie przypuszczałeś, jaka tragedia kryje się za tym dziarskim spojrzeniem wątłego chłopca. Bo pozory mylą.
Wiktor urodził się jako wcześniak w 6 miesiącu. Nie było innej opcji - a nawet ta dawała mu niewielkie szanse na przeżycie. Ogólny obrzęk, choroba hemolityczna, serce które nie domagało, zapalenie płuc. Dla 6 miesięcznej "fasolki" to wizja bez jutra. Kilkukrotnie operowany, kilkukrotnie przetaczaną krew, lekarze snuli wizje dziecka niewidomego, głuchego i upośledzonego. A jednak Wiktor się uparł, że będzie żyć.
Większość swego dziecięco życia spędził w szpitalu. Kolejne operacje, ciągle choroby, infekcje i powikłania. Ciągłe duszności, problemy z układem oddechowym, wszelkie możliwe alergie. Wielokrotna walka o to, by żył dalej. Wiktorek to stały mały pacjent w poradni kardiologicznej i pulmonologicznej i wielu innych miejsc, których dzieci nie powinny odwiedzać.
Dziś Wiktor to wielki człowiek zamknięty w malutkim, wątłym i schorowanym ciele. Poznaliśmy go, gdy jego tata przyszedł do nas do pracy w stajni 3 lata temu - i opowiedział o Wiktorze, jednym z pięciorga dzieci. Przez długi czas udawało nam się finansować rehabilitacje Wiktora dzięki wsparciu kilku firm, efekty były doskonałe. Wiosną, rok temu, Wiktor pierwszy raz przejechał rowerem i nie dusił się. To tylko tyle i, aż tyle. Wiktor urodził się latem 2006 roku, wtedy kiedy Centaurus rozpoczynał działalność. Choć nie znaliśmy go wtedy, rósł razem z nami.
Jego życie zaczęło się marnie. Sprawcie wraz z nami, aby jego dalszy ciąg był arcydziełem.
Potrzebne są fundusze na masaże i rehabilitację na najbliższy rok, na utrzymanie specjalistycznej bezglutenowej diety, na dojazdy do lekarzy i leki dla Wiktora, na letni turnus nad morzem, który regeneruje płuca.
Możesz pomóc Wiktorowi, dokonując darowizny z tytułem WIKTOR na konto Fundacji Centaurus PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
[uwaga, zmiana adresu]
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl
FUNDACJA CENTAURUS

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, WIKIPEDIA, WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 4bfacdb7d4

nie przyjęła ani jednej osoby. Powinniśmy się wstydzić.

Bo się boimy „obcych".

– Ale ten strach jest nieracjonalny, zwielokrotniany przez polityków. Oni rozumieją, że łatwiej się zarządza ludźmi przestraszonymi. Jakiś czas temu byłem na Kos. Spotkałem tam Polaków, którzy spędzali wakacje w Turcji i na dzień przypłynęli katamaranem zobaczyć grecką wyspę. Pytałem ich, czy Polska powinna przyjąć uchodźców. Absolutnie nie! Jesteśmy za biedni, poza tym uchodźcy to muzułmanie, a więc terroryści. Mówili to ludzie, którzy z własnej woli pojechali na wakacje do muzułmańskiej Turcji!

Utożsamiliśmy muzułmanina, Araba z terrorystą.

– Jest jeszcze gorzej. Tzw. nacjonaliści atakują wszystkich obcokrajowców – Niemców w tramwaju, Murzynki idące ulicą, właścicieli kebabów, zagranicznych studentów. Czują się przy tym bezkarni, bo ze strony rządu płynie przyzwolenie. Dlaczego prezydent, pani premier czy minister Błaszczak bagatelizują problem, dlaczego nie staną przed kamerami i nie potępią rasistowskich ataków?

Greccy uchodźcy nie mieli takich problemów, prawda? Dość łatwo się zasymilowali.

– Tak, chociaż różnili się od Polaków wyglądem – ciemna karnacja, ciemne włosy – i przeważali wśród nich ateiści. Pierwsze przyjaźnie pojawiły się jednak dość szybko, podobnie mieszane małżeństwa. Szkoda, że ta pamięć wyparowała. Nawet w takich miejscowościach jak mój rodzinny Chojnów, gdzie społeczność grecka była liczna, młodzi mieszkańcy nic o niej nie wiedzą. Potrzeba sporego wysiłku, by przywrócić pamięć o „polskich Grekach" i „polskich Macedończykach". To trudne, ale możliwe. Latem zeszłego roku spora grupa dawnych uchodźców przyjechała do Krościenka na dni kultury greckiej i polskiej – dla Greków był to sentymentalny powrót do przeszłości, dla Polaków atrakcja.

Być może przypomnienie tamtego chlubnego przyjęcia przez Polskę uchodźców choć trochę osłabi nasz strach przed „obcym" dzisiaj.

– Nie łudzę się, że moja książka znacząco zmieni postawy Polek i Polaków. Wystarczy, by przypomniała, że w trudnych momentach potrafimy pomagać ludziom w potrzebie. Praca nad „Nowym życiem" uświadomiła mi, jak wielki wpływ na moją rodzinę wywarły wojna i polityka. Te same siły decydują dziś o losach współczesnych uchodźców. Pamiętajmy, że wojen wcale nie ubywa, więc nie wiadomo, kto będzie następny i czy będzie mógł liczyć na jakąkolwiek pomoc.

Małgorzata Kąkiel

Powroty były bardzo trudne. Trzeba było się nauczyć funkcjonować w kapitalizmie.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

ZABIĆ PREZYDENTA

Czy próba zamachu na Jacques'a Chiraca z 14 lipca 2002 r. mogła być inspirowana przez Jeana-Marie Le Pena

Konrad Szelest

Z okazji święta narodowego upamiętniającego zdobycie Bastylii co roku 14 lipca odbywa się w Paryżu na Polach Elizejskich defilada armii. Tak było też w 2002 r. Około godz. 10 stojący w tłumie u zbiegu Avenue de Friedland i Pól Elizejskich 25-letni Maxime Brunerie wyciągnął z futerału na gitarę strzelbę sportową kaliber 22 mm i oddał strzał w kierunku odkrytego wojskowego dżipa, którym jechał prezydent Jacques Chirac. Według różnych źródeł Brunerie miał się znajdować od kilku do kilkudziesięciu metrów od trasy przejazdu Chiraca. Strzał był niecelny, ponieważ stojący obok zamachowca mężczyzna podbił mu ręką strzelbę, a następnie obezwładnił go z pomocą innych widzów. Policjanci, którzy przybyli na miejsce, zakuli młodego Francuza w kajdanki. Brunerie przyznał się, że chciał zastrzelić Chiraca, a następnie popełnić samobójstwo. Sam prezydent nawet nie zauważył, że jego życie było zagrożone.

Minister spraw wewnętrznych Nicolas Sarkozy przekazał mediom, że zamachowiec należał do jednej z bojówek skrajnej prawicy. Paryska prokuratura dodała, że Brunerie działał w ruchu neonazistowskim i środowisku skinheadów. W aktach policyjnych figurował jako wielokrotny uczestnik neonazistowskich demonstracji. Już półtorej godziny po próbie zamachu w podparyskim domu rodziców, gdzie mieszkał Brunerie, przeprowadzono rewizję.

Rzecznik paryskiej policji Nicolas Couteau stwierdził, że incydent na Polach Elizejskich nie był spiskiem, tylko działaniem szaleńca. Jednak sprawa wymagała głębszej analizy ze względu na profil zamachowca i jego powiązania. W trakcie przesłuchań Brunerie oświadczył, że chciał zabić Chiraca z zemsty za to, że pokonał on Jeana-Marie Le Pena w drugiej turze wyborów prezydenckich. Wiceminister spraw wewnętrznych Patrick Devedjian podkreślił, że ktoś głoszący bardziej prawicowe poglądy niż przywódca Frontu Narodowego stanowi zagrożenie dla demokratycznego ustroju republiki.

Brunerie został umieszczony w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym, gdzie przeszedł serię badań, na podstawie których lekarze stwierdzili, że jest w pełni poczytalny. 10 grudnia 2004 r. sąd skazał go na 10 lat pozbawienia wolności za próbę zabójstwa Jacques'a Chiraca. Wyszedł na wolność w 2009 r., po siedmiu latach spędzonych w szpitalu i zakładzie karnym. Francuzi usłyszeli o nim ponownie pod koniec 2014 r., kiedy został zatrzymany pod zarzutem stosowania przemocy wobec żony.

Zamachowiec był członkiem bojówek neonazistowskich i walczył w ustawkach pseudokibiców.

ZEMSTA ZA PORAŻKĘ WYBORCZĄ?

Według opinii biegłych psychiatrów młody Francuz 14 lipca 2002 r. nie kierował się pobudkami politycznymi. Zamach na znaną osobę miał być sposobem na zdobycie sławy. Brunerie po dokonaniu morderstwa chciał popełnić samobójstwo albo zostać zastrzelony przez policję. Liczył, że wszystko zostanie uwiecznione przez kamery telewizyjne.

Wytłumaczenie postępowania zamachowca nie przekonało części środowisk przeciwnych francuskiej skrajnej prawicy. W niektórych wystąpieniach pojawiało się nazwisko Jeana-Marie Le Pena. Czy możliwe, aby przywódca Frontu Narodowego, nie mogąc zapomnieć klęski w wyborach, nasłał na Chiraca młodego neonazistę? Teoria ta, mimo braku twardych dowodów, była poparta kilkoma ciekawymi hipotezami.

Pierwsza dotyczyła oczywiście przeszłości Bruneriego, jego uczestnictwa w bojówkach neonazistowskich oraz zorganizowanych grupach pseudokibiców. Te środowiska stanowiły miejsce werbunku „żołnierzy" gotowych bronić Francji przed imigrantami z Afryki Północnej, gloryfikowały kolaborantów z Vichy i negowały Holokaust. Wszystko to było praktyką Le Pena, który jako przewodniczący Frontu Narodowego często głosił hasła antysemickie i rasistowskie. Będąc posłem do Parlamentu Europejskiego, stwierdził, że komory gazowe stosowane podczas II wojny światowej przez nazistowskie Niemcy są jedynie „detalem historii".

Sam Brunerie również chciał mieć wpływ na Francję. W 2001 r. wystartował z ramienia Narodowego Ruchu Republikańskiego (MNR) w wyborach samorządowych. Był kandydatem z okręgu w 18. dzielnicy Paryża. Po porażce jeszcze bardziej się zradykalizował. Uważał, że tylko zdecydowane i brutalne kroki mogą zmienić oblicze kraju. Wieści o zdeterminowanym młodym człowieku miały dotrzeć do Le Pena, który, proponując mu miejsce w szeregach partii, mógł pokierować porywczym i niestabilnym chłopakiem. Le Pen pięciokrotnie startował w wyborach prezydenckich. Tylko raz udało mu się przejść do drugiej tury. Właśnie w 2002 r., kiedy w decydującej rozgrywce został zdeklasowany przez Chiraca (uzyskał 17,79% głosów, Chirac – 82,21%). Atak na prezydenta w dniu upamiętniającym zdobycie Bastylii mógł wyrównać rachunki i otworzyć zupełnie nową perspektywę na francuskiej scenie politycznej. Dodatkowo Brunerie zrealizowałby swoje „porządkowe" wizje, odsuwając podejrzenia od jakiejkolwiek frakcji politycznej.

DZIEŃ SZAKALA

Niezależni psychiatrzy są zdania, że dokonanie zabójstwa prezydenta podczas święta narodowego 14 lipca stanowiłoby symboliczne uderzenie w samo serce V Republiki. Marzenie

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Prezydent Jacques Chirac w czasie parady 14 lipca zwykł jeździć odkrytym wojskowym dżipem.

Bruneriego o zdobyciu sławy doskonale wpisuje się w ten scenariusz. Osoby przekonane o swojej „misji dziejowej" nie wykazują się jednak oryginalnością w działaniu. Pomysł zabójstwa prezydenta 14 lipca jest bowiem plagiatem fabuły książki i opartego na niej filmu „Dzień szakala". To właśnie w święto narodowe wynajęty przez OAS (Organizację Tajnej Armii) płatny zabójca „Szakal" miał zastrzelić Charles'a de Gaulle'a. Czy Brunerie mógł się uważać za kogoś na podobieństwo „Szakala" i, będąc opłaconym przez potężnych mocodawców (nasuwa się skojarzenie z Le Penem), zdecydować na tak szalony krok? Z pewnością zupełnie nie pasował do profilu zawodowego zabójcy, jakim był „Szakal". Francuska prasa oceniała całe zdarzenie jako „amatorską próbę pseudozamachu", która nawet w ułamku procenta nie stanowiła zagrożenia dla Chiraca. Wybranie miejsca ataku i rodzaju broni oraz udaremnienie całego przedsięwzięcia przez przypadkowe osoby wskazują na kompletny brak planu.

W zachowaniu Bruneriego więcej jest podobieństw do działań, jakie w latach 1961-1965 podejmowała OAS, chcąc uśmiercić de Gaulle'a. Organizacja kierowana przez skrajnie prawicowych francuskich oficerów, niemogących wybaczyć ówczesnemu prezydentowi przyznania Algierii niepodległości, przeprowadziła 12 prób zamachu. Żadna nie była skuteczna. Najsłynniejsza, z 22 sierpnia 1962 r. w podparyskim Petit-Clamart, doprowadziła do aresztowania i skazania na śmierć płk. Jeana Bastiena-Thiry'ego, okrzykniętego przez nacjonalistów „męczennikiem za francuską Algierię".

W latach 1961-1965 organizacja skrajnie prawicowych oficerów przeprowadziła 12 prób zamachu na prezydenta de Gaulle'a.

Nie można wykluczyć, że zapatrzony w ultraprawicowych bohaterów Brunerie postanowił dokończyć misję, która przed 40 laty nie udała się Thiry'emu. Jaką rolę mógł tu odgrywać Le Pen? Z pewnością mając pod sobą członków neonazistowskich bojówek, mógł podjąć grę, która doprowadziłaby Front Narodowy na wyżyny władzy. Brunerie jako nowy Bastien-Thiry stanowiłby doskonały obiekt bezwzględnej, nacjonalistycznej manipulacji.

NIEOCZEKIWANA ZMIANA CELU

Zagadką jest postawa Bruneriego podczas procesu. Stwierdził on, że źle wybrał cel zamachu. Zyskałby o wiele więcej, gdyby udało mu się zastrzelić nie Chiraca, ale… Jeana-Marie Le Pena. Polityk w żaden sposób nie skomentował słów niedoszłego zamachowca. Dla osób wierzących w spisek przeciw Chiracowi był to celowy zabieg mający odsunąć wszelkie podejrzenia od przywódcy Frontu Narodowego. Le Pen nigdy nie wypowiadał się na temat Maxime'a Bruneriego, a wszelkie wywody zmierzające w tym kierunku były natychmiast kasowane.

Po opuszczeniu zakładu karnego w 2009 r. Brunerie udzielił wywiadu jednej z francuskich telewizji. Stwierdził w nim, że próba zamachu z 2002 r. była z jego strony „totalną głupotą", która przekreśliła dużą część jego życia. W wydanej w 2011 r. autobiografii opisywał swoje błędy młodości i wykluczył podjęcie jakiejkolwiek działalności politycznej. Wiece neonazistowskie oraz udział w ustawkach pseudokibiców Paris Saint-Germain były zamkniętym rozdziałem. Brunerie zadeklarował, że już nigdy nie pojawi się na trybunach Parc des Princes.

W postanowieniu zerwania z polityką nie wytrwał zbyt długo. Już w 2011 r. chciał wstąpić do Unii Demokratycznej, jednak jego kandydatura została odrzucona przez władze partii. Z kolei jesienią tego samego roku mocno wspierał Ségolène Royal w prawyborach Partii Socjalistycznej. Przemiana Bruneriego i jego poglądów politycznych została oceniona przez jednego z członków skrajnej prawicy jako pokaz umiejętności aktorskich i wyczekiwanie na właściwy czas. Co może się kryć za tym stwierdzeniem? Z pewnością nie odpowie na to pytanie Jean-Marie Le Pen, który w styczniu 2011 r. przekazał kierownictwo Frontu Narodowego córce Marine, a w sierpniu 2015 r. został wykluczony z szeregów partii. ■

FOT. AP FOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 4bfacdb7d4

GDY KSIĄŻKA BYŁA BOGIEM

W ciągu niewielu lat zwalczono analfabetyzm i wyrobiono u ludzi taki szlachetny snobizm, że wypada czytać i mieć książki w domu

Rozmawia Krzysztof Pilawski

Czytelnicy przychodzą na pańskie spotkania autorskie?

– Sale na ogół są pełne, bywa, że trzeba dostawiać krzesła.

W wydanym w 2009 r. „Dzienniku na nowy wiek" opisał pan podróż na drugi koniec Polski na spotkanie z czytelnikami w księgarni. W jej witrynie przechodniów kusiły pańskie książki, ale chętnych do bezpośredniego kontaktu z autorem brakowało.

– To było w Wejherowie, przyszło pięć osób.

Zapamiętałem też obrazek z targów książki, jeszcze w Pałacu Kultury: wybitny polski pisarz Józef Hen rozmawia przy stoisku z panią z wydawnictwa, tymczasem obok kłębi się tłum wokół znanego z telewizji celebryty…

– Nie mam problemu z podobnymi sytuacjami, zahartowałem się, bo przez lata prawie o mnie nie pisano. Powieść „Nikt nie woła" czekała na wydanie 33 lata. Także po 1989 r. nie byłem rozpieszczany. Nie chcę się skarżyć, ale dwie moje ważne książki – „Błazen – wielki mąż" o Tadeuszu Boyu-Żeleńskim i „Mój przyjaciel król" o Stanisławie Auguście Poniatowskim – nie znalazły się nawet w finale nagrody Nike. Wielkim miłośnikiem obu tych książek był Tadeusz Różewicz. To lepsze od nagrody.

DRUGIE DNO

Trzeba literackiego Oscara, by zagwarantować sobie tłumy na spotkaniach?

– Ja mam swoich czytelników, oni rozumieją, co piszę. Wtedy w Wejherowie to był po prostu pech. Dwa lata później w czasie serii spotkań autorskich zorganizowanych przez pana Krystiana Nehrebeckiego znowu byłem w tej samej księgarni. Przyszło – poza sezonem turystycznym – ponad 20 osób, a panie pracujące w księgarni powiedziały, że wszystkie moje

JÓZEF HEN

– pisarz, scenarzysta, pamiętnikarz, dramaturg, reżyser

książki sprzedadzą się, gdy przyjadą letnicy. Największe wrażenie z tamtego objazdu wywarło na mnie spotkanie autorskie w Bibliotece Głównej Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni – salę wypełniały po brzegi panie, żony marynarzy…

Jak pan jest odbierany?

– Stałem się, dość nieoczekiwanie dla samego siebie, pisarzem elitarnym. Przez wiele lat moje książki były przeznaczone dla tzw. masowego odbiorcy. Nie słyszałem skarg, że trudno mnie czytać. Mimo to czytelnicy i pewni krytycy wiedzieli, że w moim pisaniu jest zawarta jakaś głębsza refleksja, drugie dno. Tak było z opowiadaniem „Bokser i śmierć" (zekranizowaną w 1962 r. przez filmowców czechosłowackich opowieścią o zawodowym bokserze, który uniknął śmierci, bo miał szczęście zostać sparingpartnerem komendanta obozu koncentracyjnego – przyp. red.). Ono miało najwięcej tłumaczeń spośród moich utworów. Pamiętam, że zachwycał się nim prof. Leon Kieres, prawnik, ale chwaliły także pisma sportowe, które podkreślały, że wreszcie ktoś fachowo napisał o boksie. (Kilka minut później do stolika w kawiarni hotelu Sheraton, przy którym toczyła się rozmowa, podszedł Jacek Gmoch, były selekcjoner piłkarskiej reprezentacji Polski. Zwracając się do Józefa Hena, powiedział: „Chciałem podziękować za te wszystkie pańskie recenzje, za miłość do piłki nożnej. Pan był jednym z pierwszych pisarzy, jeśli w ogóle nie pierwszym, dla którego piłka była czytelna").

> Stałem się, dość nieoczekiwanie dla samego siebie, pisarzem elitarnym.

ZATRZYMANE W KADRZE

Temu wizerunkowi pisarza popularnego sprzyjały filmy oparte na pana scenariuszach.

– Lubiłem włoskie filmy nowelowe: Rosselliniego, Blasettiego, u którego grali De Sica i młody Mastroianni. Zdarzyło się, że szefowie zespołu „Kadr" – Jerzy Kawalerowicz, Tadeusz Konwicki i Ludwik Hager – zwrócili się do mnie: „Daj nam coś". Przyniosłem im kilka opowiadań: „Macie w nich film". Po dwóch tygodniach – byłem akurat w Oborach (pałacu, w którym znajdował się Dom Pracy Twórczej Związku Literatów Polskich – przyp. red.) – przyjechał do mnie Tadek Konwicki z jakimś bladym chłopcem. „To on będzie robił", zakomunikował. Tym chłopcem okazał się Kazimierz Kutz, a jego debiutancki film na podstawie mojego scenariusza, „Krzyż Walecznych", dostał nagrodę dla najlepszego filmu roku 1959.

W grudniu zeszłego roku został pan laureatem Nagrody Specjalnej Stowarzyszenia Filmowców Polskich za szczególne zasługi dla kinematografii.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

– Cieszę się, że filmy oparte na moich scenariuszach są wciąż pokazywane w telewizji. Miałem satysfakcję z niedawnej emisji w TVP Kultura „Dwóch żeber Adama". W końcu mężczyzna mieszkający w małym miasteczku z dwiema żonami odbiega zasadniczo od promowanego dziś w Polsce modelu rodziny. W dodatku miasteczko jest oburzone nie tym, że on ma dwie żony, lecz tym, że one żyją w zgodzie, nie skaczą sobie do oczu.

W kwartalniku „Bibliotekarz Lubelski" z 1968 r. wymieniono pisarzy, którzy odwiedzili biblioteki powiatu łukowskiego, m.in. Igora Newerlego, Władysława Broniewskiego, Wojciecha Żukrowskiego, Lesława Bartelskiego i Józefa Hena. Zacne grono.

– W samym Łukowie nie byłem. Możliwe, że chodzi o jakąś miejscowość w okolicy. W maju będę gościem Miejskiej Biblioteki Publicznej w sąsiednim Radzyniu Podlaskim. Dopiero niedawno dowiedzieli się, że ojciec autora książki o Montaigne'u i jego rodzice pochodzili z tego miasta. Posłałem bibliotece „Nowolipie", gdzie jest poświęcony temu rozdział. Zostałem zaproszony na spotkanie z czytelnikami.

NOWOLIPIE I OKOLICE

„Nowolipie" to opowieść o pana życiu w przedwojennej Warszawie. Warto przypomnieć, że debiutował pan na łamach założonego przez Janusza Korczaka i redagowanego przez Igora Newerlego „Małego Przeglądu". Jakie były pana pierwsze kontakty z książką?

– Rodzice nie gromadzili książek, choć matka namiętnie je czytała – po polsku. Ojciec też czytał – ale tylko w jidysz – prasę żydowską z dość bogatymi dodatkami literackimi. Byłem najmłodszy z czwórki rodzeństwa. Wszyscy czytaliśmy. W czytających domach przed wojną był zwyczaj korzystania z wypożyczalni. Każde z nas chodziło po książki do innej wypożyczalni.

To były polskie wypożyczalnie?

– One znajdowały się w dzielnicy żydowskiej, ale książki były w języku polskim. Wypożyczalnia na Nowolipiu nazywała się Parnas, na Lesznie (dzisiejsza aleja Solidarności) – Renaissance, a na Elektoralnej – Wirginia, jej właściciel nazywał się Wirgin. W „Pokoleniu" Bohdana Czeszki przeczytałem, że on wypożyczał książki z tej samej Wirginii co ja. Ode mnie się dowiedział, że kiedy weszli Niemcy, pan Wirgin się powiesił. Wypożyczalnie były wspaniałe – w Polsce było bodajże 600 takich, na których bazowały wydawnictwa, bo brały od nich całą beletrystykę. Wydawca decydował się np. na nakład 800 egzemplarzy, 600 szło do wypożyczalni, pozostałe 200 trafiało do sprzedaży. Dzięki wypożyczalniom miał zapewniony podstawowy zbyt.

Portret w mundurze. Armia Andersa, Samarkanda.

Wypożyczalnie były płatne?

– Oczywiście. Aby z nich korzystać, należało zapłacić kaucję w wysokości 2 zł, na wypadek gdyby książka się zgubiła. Miesięczny abonament wynosił bodajże 50 gr. Pozwalał na wypożyczenie dowolnej liczby książek – pod warunkiem że zwróciło się wypożyczoną wcześniej.

> W czytających domach przed wojną był zwyczaj korzystania z wypożyczalni.

KSIĄŻKA KLASOWA

Polscy chłopcy czytali tak samo pilnie?

– Nie znałem czysto polskich chłopców, katolików. W szkołach, do których chodziłem, uczyły się dzieci żydowskie, a językiem wykładowym był polski. Sami też rozmawialiśmy ze sobą po polsku. W naszej kamienicy, na Nowolipiu 53, mieszkały dwie rodziny chrześcijańskie: dozorcy, pana Jana, i państwa Krzyżewskich, z którymi my, Cukierowie, byliśmy zaprzyjaźnieni. Pan Krzyżewski był szewcem, robił buty na sprzedaż, a ich zięciem był pułkownik Wojska Polskiego. Żeby ożenić się z córką szewca, musiał wystąpić o specjalne pozwolenie. Podczas oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. pani Krzyżewska przyniosła nam pół dużego bochenka chleba. Po latach jej wnuk pojawił się na moim spotkaniu autorskim i powiedział, że był dumny, gdy przeczytał o tym w „Nowolipiu". Robotnicy w firmie mojego ojca byli chrześcijanami, czasem nawet o szlachecko brzmiących nazwiskach, jak Miciński czy Czajkowski. Stąd wiem, że w polskich domach robotniczych książek nie było. Widziałem je natomiast w Pradze czeskiej, gdy skierowano mnie na kwaterę do jakiegoś robotnika.

W czasie spisu powszechnego w 1931 r. ponad 700 tys. spośród 1,1 mln mieszkańców województwa poleskiego jako język ojczysty wskazało „tutejszy". Oni nie wiedzieli nawet, w jakim języku mówią…

– Jerzy Kosiński jest atakowany za to, że w „Malowanym ptaku" zarzuca Polakom antyse-

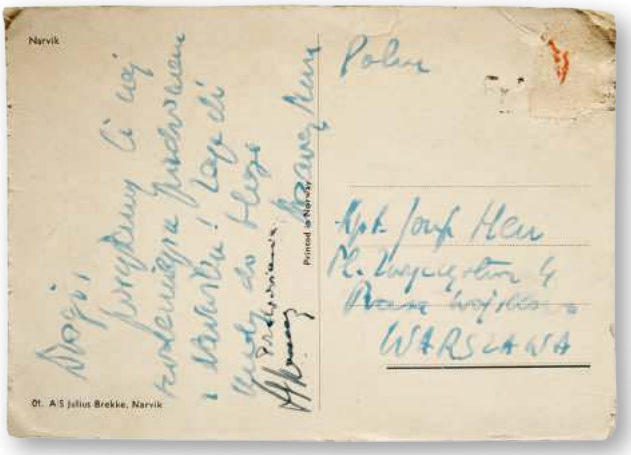

Kartka od Pruszyńskiego, 1949 r.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

mityzm, ale on w tej powieści opisuje zachowania nie Polaków, lecz Poleszuków. Miałem szczęście rozmawiać z Kosińskim w 1988 r., okazało się, że zanim wyjechał z Polski, był moim czytelnikiem.

Analfabetyzm, ciemnota, związane z nim, barbarzyństwo… Książka w przedwojennych polskich rodzinach pozostawała wyznacznikiem przynależności do ziemiaństwa lub inteligencji, a czytanie nie było powszechne.

– Oczywiście, że nie.

SZLACHETNY SNOBIZM

A potem przyszedł kataklizm wojenny. Po jego zakończeniu warstwa czytająca okazała się niezwykle cienka: zgładzono Żydów i znaczną część polskiej inteligencji. Trzeba było zaczynać prawie od zera. 3 maja 1946 r. urządzono pierwsze Dni Oświaty, ale wtedy nie sprzedawano książek, lecz od osób prywatnych zbierano książki i pieniądze na książki dla bibliotek.

– Ale już w Lublinie, w 1944 r., zaczęto wydawać tomiki wierszy Przybosia, Putramenta, Szenwalda, Brunona Jasieńskiego (mimo że został rozstrzelany w Związku Radzieckim!). Później w ciągu niewielu lat zwalczono analfabetyzm i, co było niezwykłe, wyrobiono u ludzi przekonanie – taki szlachetny snobizm – że wypada czytać i mieć książki w domu. Wydawano bardzo tanio. Książkę można było kupić razem z gazetą za 2,40 zł. Państwowy Instytut Wydawniczy wydawał tanią serię klasyki francuskiej. Tygodnik „Odrodzenie" i Czytelnik w ramach Klubów Dobrej Książki wydawały tanio w masowych nakładach bardzo ciekawe tytuły. Mam wydane przez Czytelnika w 1947 r. „Trzynaście opowieści" Ksawerego Pruszyńskiego. Niedawno jakiś wielbiciel napisał, że kocha mnie za „Trzynaście opowieści". Sprostowałem: „To nie ja, lecz Pruszyński", więcej ten pan do mnie się nie odezwał… Nie zapomnę widoku mężczyzny idącego w roboczym kombinezonie ulicą, chyba Myśliwiecką, który czytał mój „Notes lejtnanta Nikaszyna" wydany w 1953 r. w 150-tysięcznym nakładzie przez Naszą Księgarnię. Książka kosztowała półtora złotego, ale dzięki wysokiemu nakładowi wydawca na niej nie stracił. Notabene w „Żołnierzu Wolności" oburzano się, że takie autentyki wojenne jak zakrwawiony notes tego lejtnanta Hen trzyma u siebie w domu, zamiast oddać do archiwum Wojska Polskiego. A przecież ten pamiętnik był literacką fikcją… Złotą żyłą dla wydawców były lektury szkolne. Autorzy pochodzili z rozdzielnika. PIW przydzielono Henryka Sienkiewicza, Czytelnikowi – Stefana Żeromskiego, Elizę Orzeszkową i Zofię Nałkowską. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza zarobiła najwięcej, bo dostała Józefa Ignacego Kraszewskiego. Wywodzący się ze wsi ludzie chętnie go kupowali, Kraszewski był im bliski. Na przykład „Ulana" – o miłości panicza i wiejskiej dziewczyny.

PISARZE NA ULICY, KSIĄŻKI JAK WESOŁE MIASTECZKO

W 1949 r. branżowy magazyn „Praca Księgarska" podkreślał sukces urządzanych w maju imprez promujących czytelnictwo: „Okazało się, że tak poważny obiekt jak książka może być dla wielotysięcznych mas ludności atrakcją nie mniejszą niż zabawa taneczna lub »wesołe miasteczko«, że wrażliwość mas na głębsze podniety kulturalne jest duża".

– A teraz mamy propagandę ciemnoty. Obecni władcy chcą, by ludzie byli bigotami, bez, broń Boże, ciągot intelektualnych – i głosowali na nich. Jednym z największych błędów Platformy Obywatelskiej wobec inteligencji była ostentacyjna próba likwidacji PIW. Jak słusznie pisał prof. Bronisław Łagowski w PRZEGLĄDZIE, robiono tak tylko z głupio rozumianych względów politycznych – rządzący prezentowali się jako solidarnościowcy, a PIW był dla nich wydawnictwem komuszym. Rząd PiS uchylił decyzję o likwidacji PIW także ze względów politycznych, bo podjęła ją Platforma.

Na początku maja 1949 r. zorganizowano Tydzień Oświaty, Książki i Prasy, w Warszawie pisarze podpisywali książki na ulicy.

– Konkretnie w Alejach Ujazdowskich, tu urządzano pierwsze kiermasze. Mam zdjęcia, jak podpisuję swoje książki razem z Janem Brzechwą i Stanisławem Jerzym Lecem. Wśród przechadzającego się tłumu bywali członkowie Biura Politycznego (bez obstawy, choć to był jeszcze okres stalinowski). Zatrzymywali się przy stoiskach, oglądali książki. W późniejszych latach podpisywałem książki na kiermaszu wokół Pałacu Kultury. Kiedyś popełniłem straszny błąd, zgadzając się na dyżur przy stoisku równocześnie z Melchiorem Wańkowiczem. Wszyscy biegli do niego… Niekiedy na kiermaszu przysiadały się do mnie osoby, które znałem: mój lekarz, a nawet opisany przeze mnie jako kawał drania w powieści „Kwiecień" zastępca dowódcy dywizji, z którą forsowałem Odrę.

Kiedy zaczął pan jeździć na spotkania autorskie?

– To bardzo ciekawa historia! Zapomniałem bardzo wiele ważniejszych dla mnie nazwisk, ale do dziś pamiętam nazwisko pana Tanianisa z Ostrołęki, który z ramienia Czytelnika zajmował się w 1949 r. – w ramach Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy – pisarzami z Warszawy. Miałem co najmniej trzy spotkania w Ostrołęce i okolicach. To nie były łatwe czasy. 3 maja leśni przepędzili chłopów z pola, mówiąc, że jest święto i nie wolno pracować. Jedno ze spotkań wypadło w niedzielę. Ostrzeżono mnie: „Leśni są teraz w kościele, ale po mszy przyjdą, niech pan uważa". Miałem dwadzieścia kilka lat, w czasie wojny znajdowałem się wiele razy w poważnych tarapatach, więc za bardzo się nie bałem. Czytałem fragment wspomnień „Na zachód od Nysy", gdy zjawili się w sali leśni. Siedzieli z ponurymi minami, ale słuchali i po pewnym czasie zaczęli potakująco kiwać głowami, mówiąc: „Tak było". W Myszyńcu po spotkaniu autorskim ks. Murawski, kulturalny 60-latek, zaprosił mnie na kolację i co chwilę powtarzał: „Witam przedstawiciela żywego słowa". Do stołu podawała nam młoda, ładna kobieta. „Kuzynka", wyjaśnił. Przenio-

Myślę, że odrodzi się etos zaangażowanej inteligencji.

Po wojnie wydawano bardzo tanio. Książkę można było kupić razem z gazetą za 2,40 zł.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Józef Hen podpisuje książkę fizykowi prof. Włodzimierzowi Zawadzkiemu.

Dzięki wyjazdom na spotkania autorskie „wąchałem" Polskę, wiele się nauczyłem.

słem potem tę kuzynkę do „Dwóch żeber Adama". Gdy ksiądz dowiedział się, że jestem na ty z Ksawerym Pruszyńskim, zapytał, czy mógłbym go z nim skontaktować. Nie zdążyłem, Ksawery zginął tragicznie.

Jak wyglądała ta Polska pod Ostrołęką?

– Zapamiętałem kurpiowską wieś o nazwie Surowe, uwieczniłem ją w reportażu „W Surowem". Budowano w niej piętrową szkołę, do wejścia prowadziło kilka drewnianych schodków. Dzieci biegały po nich, dla nich to była wielka atrakcja, pierwszy raz w życiu widziały schody. Do dziś mam przed oczami śliczne twarze dzieci i bardzo oddanego pracy nauczyciela.

KULTURA POD STRZECHĄ

Czytałem powojenne pamiętniki nauczycieli wiejskich szkół, siłaczy i siłaczek zmagających się z brakiem książek i podstawowych pomocy dydaktycznych, wpajających elementarne zasady higieny, obcinających włosy uczniom z wszawicą, organizujących wieczorami oglądanie w świetlicy telewizji dla mieszkańców.

Symboliczne jest umieszczenie oddziału banku w gmachu dawnego Domu Książki Uniwersus.

– Telewizja odegrała wielką rolę w rozwoju kulturalnym. Kultura, zwłaszcza na wsi i w małych miasteczkach, trafiała przez telewizję, często oglądaną wspólnie w szkole, bo tam znajdował się jedyny odbiornik w okolicy. „Kabaret Starszych Panów" docierał do milionów, podobnie jak poniedziałkowy Teatr Telewizji czy piosenki zmarłego niedawno Wojciecha Młynarskiego. Ci głodni świata ludzie dzięki telewizji nabierali ogłady, uczyli się pewnej delikatności, wrażliwości. Aleksander Wat w „Pamiętniku mówionym" powiedział Czesławowi Miłoszowi, że kiedy do Łucka we wrześniu 1939 r. weszli Rosjanie, przekonał się w kinie, jaki jest zapach Wschodu. Mógł się o tym przekonać przed wojną w kraju, ale go nie znał, nie wychodził poza Ziemiańską. Dzięki wyjazdom na spotkania autorskie „wąchałem" Polskę, wiele się nauczyłem.

W pamiętnikach młodzieży z przełomu lat 50. i 60. powtarza się zdanie: „Marzę o domu pełnym książek". Półka z książkami na widocznym miejscu była obowiązkowym elementem wyposażenia inteligenckiego M-3, na każdym większym osiedlu znajdowała się biblioteka publiczna i księgarnia Domu Książki. Dzieci od pierwszych lat życia miały kontakt z książką.

– W zwyczaju było zapraszanie literata na otwarcie nowej biblioteki, pamiętam taką wzruszającą uroczystość w Nowym lub Starym Sączu. Bardzo ubolewam nad tym, że księgarnie padają jak muchy. Symboliczne jest umieszczenie oddziału banku komercyjnego w trzykondygnacyjnym gmachu dawnego Domu Książki Uniwersus przy Belwederskiej.

Zmieniło się podejście do książki, podobnie jak do prasy. Kiedyś czytano po kilka gazet codziennych i tygodników.

– Takich tygodników jak „Świat" i „Polityka" nie było w żadnym innym kraju Układu Warszawskiego.

„Politykę", podobnie jak wiele innych tytułów polskiej prasy, można było kupić w dużych miastach radzieckich.

– Pamiętam spotkanie z Wiktorem Niekrasowem, autorem powieści „W okopach Stalingradu", w czasie moskiewskiego pokazu „Krzyża Walecznych". Mówił, że nauczył się polskiego, by czytać tygodnik „Świat", ale ostatnio do niego nie przychodzi, choć go zaprenumerował. Wyjaśniłem, że „Świat" ma kłopoty, bo uzna-

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Józef Hen (z prawej) i Lucjan Rudnicki podczas odgruzowywania Warszawy, wrzesień 1948 r.

no go za pismo rewizjonistyczne, ale wkrótce znowu będzie go otrzymywał, bo odzyskał debit. „Mam nadzieję, że »Świat« nie przestanie być rewizjonistyczny", uśmiechnął się Niekrasow. Moi radzieccy znajomi czytali „Politykę", „Świat" i „Ekran" – ten ostatni, choć pozostawał mocno partyjnym pismem, to publikował informacje o nowych filmach zachodnich, które nie docierały do ZSRR.

To fenomen, że po niewielu latach ta bardzo świeża inteligencja miała wpływ na radzieckie elity. Przecież my teraz nie oddziałujemy na Niemców, Francuzów czy Brytyjczyków. Andriej Konczałowski w jednej z książek opisał, jak wielkim przeżyciem było dla niego obejrzenie „Kanału" Andrzeja Wajdy.

– Polskie filmy odniosły sukces w ZSRR dużo wcześniej – np. „Ostatni etap" Wandy Jakubowskiej z 1947 r. i „Ulica Graniczna" Aleksandra Forda z roku 1948. A potem nadeszła polska szkoła filmowa.

INTELIGENT BEZ LUDU

Janusz Korczak, Igor Newerly, Boy – to przykłady inteligentów zanurzonych w społeczeństwie, służących mu. W 1976 r. powstał Komitet Obrony Robotników – inteligenci wspierali represjonowanych pracowników wielkich zakładów. Gdy dawni KOR-owcy objęli władzę, przyłożyli rękę do ich likwidacji. Jacek Kuroń rozdawał na ulicy zupę bezrobotnym. Inteligencja oddzieliła się od ludu.

– Osoby wywodzące się z KOR idealizowały Polskę po transformacji, były przekonane, że najważniejsza jest wolność, a wszystkie problemy same się rozwiążą. Wystarczy „niewidzialna ręka wolnego rynku". W 1991 r. miewałem spotkania z młodzieżą z łódzkich liceów. Kiedy powiedziałem, że wybitni przedstawiciele niedawnej opozycji demokratycznej wyobrażali sobie, że gdy Polska stanie się wolna, wszyscy będą z zapałem pracować, nikt nie będzie kradł, młodzież wybuchła śmiechem. Przypominam: to był rok 1991!

W 2013 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" oskarżał pan rządzącą wówczas Platformę Obywatelską: „Ci, którzy wykrzykują: »Precz z komuną!«, wygłupiają się, bo to typowy rząd burżuazyjny, w znaczeniu marksistowskim. Rząd, który popiera kamieniczników, zapomina o lokatorach". Ci lokatorzy dali o sobie znać w wyborach w 2015 r.

– Myślę, że lokatorzy w dużym stopniu pozostali w domu, nie głosowali.

Frekwencja była większa niż zwykle.

– Bo księża zmobilizowali małe miasteczka i wieś, natomiast sfrustrowana lub zobojętniała inteligencja nie głosowała. Z drugiej strony wielu ludzi, którzy czuli się skrzywdzeni, postanowiło na złość Platformie poprzeć PiS.

Dwie trzecie wyborców w wieku od 18 do 29 lat poparło w 2015 r. konserwatywną prawicę. To klęska odwołującej się do wolności i demokracji inteligencji, ona potrafi protestować na ulicach przeciwko PiS, ale nie ma ochoty zbliżyć się do zwykłych ludzi, poznać ich problemów, spróbować przekonać do swoich racji.

– To efekt wielkich zmian, jakie dokonały się w samej inteligencji. Ona jest inna niż dawniej, obowiązek służenia społeczeństwu wyparła idea „Bogaćcie się!".

Pieniądze i egoizm zepsuły inteligencję?

– Egoizm dawniej był potępiany, teraz stał się czymś normalnym. Może sprawiedliwiej nazwać to egotyzmem. Zadbaj o siebie. O swoje ja. Praca społeczna mało kogo pociąga, ilu mamy takich ludzi jak Jerzy Owsiak?

Czy inteligencja zaangażowana społecznie i służąca społeczeństwu jest już bytem martwym?

– Myślę, że pewne rzeczy się odrodzą, w tym etos zaangażowanej inteligencji.

> Inteligencja jest inna niż dawniej, obowiązek służenia społeczeństwu wyparła idea „Bogaćcie się!".

Ciekawy jest przypadek Soni Dragi – pana obecnej wydawczyni. Jej pierwszym biznesem, prowadzi go nadal, była sprzedaż akcesoriów do samochodów. Co się stało, że oficyna znana z wydania „Kodu Leonarda da Vinci" i „Pięćdziesięciu twarzy Greya" sięgnęła po „Powrót do bezsennych nocy"?

– Sonia Draga wznowiła także „Bruliony profesora T." i „Mojego przyjaciela króla", a to jeszcze nie wszystko. Ona do mnie nie dokłada, ale z pewnością nie zarobi tyle, co na „Greyu". Dlaczego to robi? Januszowi Głowackiemu – o którym wie, że się przyjaźnimy – miała powiedzieć, że jest dumna z możliwości wydawania moich książek, bo nie chce się ograniczać do czystej komercji. Nareszcie znalazło się wydawnictwo, na które mogę liczyć.

Krzysztof Pilawski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ARCHIWUM PRYWATNE (3), EAST NEWS

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Dajcie robotę Ziemkiewiczowi

Edward Mikołajczyk

Upominanie się na tych łamach o akt dobroczynności dla pisarza i publicysty Rafała Ziemkiewicza jest pewną ekstrawagancją, i to z wielu powodów. Pierwszy i najważniejszy to ten, że dzisiaj Ziemkiewicza wszędzie jest tyle, ile było Włodzimierza Iljicza Lenina w czasie obchodów w Polsce setnej rocznicy urodzin wodza rewolucji październikowej; ludzie z obawą włączali nie tylko radia i telewizory, ale nawet zaglądali do lodówki. W tej sytuacji każda nowa robota dla Rafała Z. to z pozoru gotowe nieszczęście, ale w tym właśnie cały smaczek. Pan Ziemkiewicz na poważnej posadzie państwowej oznacza mniej Ziemkiewicza w gazetach i w każdym gniazdku z prądem, a z tego byłyby poważne oszczędności. Jak widać, nie całkiem zwariowałem, proponując jeszcze jedną robotę człowiekowi tak zapracowanemu i wszechobecnemu.

Ekstrawagancją z mojej strony może być udawanie przed Czytelnikiem PRZEGLĄDU, że nie wiem, jakiego koloru podniebienie ma Ziemkiewicz. W telewizorze, istotnie, wydaje się, że ma czarno w buzi, ale to może być kwestia złego doświetlenia, a nie charakteru.

Okolicznością rozstrzygającą o tym, że dzisiaj chcę dotrzeć do ucha prezesa z ważną dla Polski propozycją kadrową zawartą w tytule, jest Wielkanoc. W Wielkim Tygodniu warto dostrzec potrzebujących i nie chodzi zaraz o dziadów proszalnych i jałmużnę, bo Rafał Z. nie jest znany z tego, żeby kiedykolwiek wyciągał rękę. W okresie wielkanocnym dociera do nas tak niezwykle subtelna prośba głośnego publicysty, że byłoby grzechem jej nie usłyszeć. Dotyczy to zwłaszcza właściciela najważniejszego ucha w Polsce.

Rafał Ziemkiewicz ogłasza mianowicie, że Prawo i Sprawiedliwość zmarnowało swoją szansę, „jeśli chodzi o zagospodarowanie mediów publicznych". Słowo zmarnowało może źle zabrzmieć w uchu, w którym głosy w sprawach partyjnych mają się układać w słodki chór anielski. Język polski zaprzestał używania na co dzień czasu przeszłego dokonanego i dobry dziennikarz powinien wiedzieć, że lepiej powściągnąć temperament i napisać, że coś się marnuje, dając w ten sposób sprawcy szansę na odwrócenie nieszczęścia, niż wrzeszczeć na cały głos: „Szansa *kaputt*, zmarnowana na amen". Źle by się stało, gdyby projekt przepadł z powodu tej językowej niedbałości autora.

Gdybym został szefem jakiegoś państwowego medium, nakazałbym – ogłasza Ziemkiewicz w Wirtualnej Polsce, a ja cytuję – „nie robimy antytefałenu, antyagory i antyszpringiera" (wolałbym – antyszpringera), „tylko zaryzykujemy i postaramy się zasłużyć na miano medium rzetelnego i bezstronnego".

Uznałem za swój obowiązek wysłuchać wielkiej obietnicy Rafała Ziemkiewicza w dniach oczekiwania Zmartwychwstania Pańskiego. Ufam, że zostanie ona wysłuchana przez niebiosa, ale nie bez uwag, bo autor aż się prosi, żeby mu pogrozić palcem za nazywanie ryzykiem czegoś, co jest obowiązkiem nie tylko chrześcijanina.

Rzetelność i bezstronność, także w mediach, można wyczytać w dziesięciorgu przykazaniach (zakaz dawania fałszywego świadectwa). I z ich łamania wypadałoby przynajmniej raz w roku, na Wielkanoc, się wyspowiadać.

ZIEMKIEWICZ JEST INTELIGENTEM, ALE NIE CIERPI INTELIGENTÓW U WŁADZY.

Za to nie mam najmniejszych wątpliwości, jak prośbę Ziemkiewicza potraktuje p.o. Najwyższy na Polskę. Przecież nie zrezygnuje z radochy, jaką ma codziennie o godz. 19.30 dzięki propagandowemu aktywiście, którego namaścił bez pytania kogokolwiek o zdanie. Przecież Ziemkiewiczowi na odpowiedzialnym stanowisku w telewizji nie przyszłoby do głowy, żeby hucznie obchodzić pierwszą rocznicę wypłacania po 500 zł rodzinom wielodzietnym, a słowem się nie zająknąć na temat 20-lecia Konstytucji RP.

Przecież Ziemkiewicz to jest ryzyko, że ktoś na Woronicza wyrzeknie się doktryny o ciemnym ludzie. Gwarancję, że ciemny lud wszystko kupi, daje wyłącznie Jacek Kurski.

W tej sprawie Rafał Ziemkiewicz jest bliższy doktrynie Donalda Trumpa, że ciemny, owszem, ale nie kupuje wszystkiego. Sam jest inteligentem, ale nie cierpi inteligentów u władzy, bo lubią podejmować decyzje zgubne, byle słuszne.

Piszę ten tekst w środę, 5 kwietnia, rano. Wstałem przed godz. 6, żeby się przyjrzeć dokładniej nowemu programowi porannemu TVP 1 „Dzień dobry, Polsko". Wytrzymałem 27 minut (długo!), potem sprawdziłem, co zostało na antenie z dawnych propozycji programu porannego wszystkich stacji TVP 3 od Białegostoku, przez Rzeszów, Łódź, po Wrocław i Gorzów. Są małe, regionalne perełki w ogromnym bajzlu programowym i zawstydzającej amatorszczyźnie centrali. A trend jest taki, że pierwszych ubywa, a to drugie się puszy. *Kaputt* jest blisko. ■

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/EAST NEWS

eprasa.pl 4bfacdb7d4

JEZUS W FAZIE TESTÓW

Filmy religijne: bluźniercze, kłopotliwe, dyskusyjne

Wiesław Kot

Film nie jest po to, by pokazywać pobożne oleodruki. Reżyser, który traktuje serio siebie i Ewangelię, każdym dziełem testuje jej wyporność. Stawia pytania, których nie postawili święci, teolodzy i papieże. Do tego służy. Jeżeli go odsądzają od czci i wiary – nie szkodzi, to też mieści się w jego powołaniu.

Poza tym to, co dziś w kinie wydaje się bluźnierstwem, po dekadzie stanie się przedmiotem dysput teologów. Po dwóch dekadach trafi do papieskich encyklik, a po trzech stanie się oficjalnym stanowiskiem Stolicy Apostolskiej. Po co się oburzać? Wystarczy poczekać.

Viridiana (1961).
Zakonnica się nawraca

„Viridiana" Luisa Buñuela w Cannes zdobyła Złotą Palmę (ubiegła naszą „Matkę Joannę od Aniołów"), ale w rodzimej, frankistowskiej Hiszpanii została zakazana na kilka lat. Watykan oba dzieła zjechał od góry do dołu, a nasz Episkopat stosował naciski, by ani jedno, ani drugie nie weszło do kin. Na próżno. A przecież „Viridiana" nie atakuje świętości. Wymierzona jest w religijny rytuał, w pozór, w dewocję, czyli w to, z czym Jezus uparcie walczył. Tytułowa Viridiana, zakonnica przed ślubami, chce jak najlepiej, w świetle tego, czego uczyli ją w klasztorze – a wychodzi jej jak najgorzej. Zawsze ma przy sobie koronę cierniową, którą nakłada w celu umartwiania się, do pościeli wsypuje popiół z kominka, aby i sen nie okazał się zbyt przyjemny. Przełożona wysłała ją, by pożegnała wuja, który łożył na jej utrzymanie. Wuj prosi ją o rękę, ona oczywiście odmawia, a ten – wiesza się z rozpaczy na skakance (w tle „Requiem" Mozarta). Viridiana próbuje ulżyć doli nędzarzy, karmi, odziewa i zaprasza do przytułku. Ci, podjadłszy i podpiwszy, natychmiast urządzają orgię. Żeby było pikantniej, siadają za stołem upozowani identycznie jak uczestnicy „Ostatniej wieczerzy" Leonarda Da Vinci. I jeszcze biorą się do gwałcenia dobrodziejki. Dziewczyna pojmuje w końcu, że katolicyzm z oleodruku i z kruchty to ślepy zaułek. Rozpuszcza olśniewające loki blond i zaczyna zwykłe – domyślamy się – trzeźwe, pogodne i spełnione życie.

Ewangelia według św. Mateusza (1964). Jezus jako agitator

Pier Paolo Pasolini był praktykującym ateistą, komunistą i homoseksualistą. Zdarzyło się, że w Asyżu mieszkał w hotelu, kiedy miasto gościło Jana XXIII. W knajpach tłok, więc z nudów otworzył w pokoju hotelowym Ewangelię. Zaciekawiła go, od razu zobaczył Jezusa, który z każdego wzniesienia ogłasza ludowi nadejście czasów rewolucyjnych. Z tym że Palestynę zamieszkują ludzie prymitywni, otępiali od biedy, nieszczęść i słońca. Jeżeli czekają na mesjasza, to takiego, który ulży ich niedoli. I Jezus wchodzi w rolę trybuna ludowego: biega, krzyczy, miota się. Kamera ledwo za nim nadąża. Błogosławieństwa wykrzykuje na jednym oddechu. Rozbudził nadzieje na lepsze życie, lecz zapomniał dodać, że to lepsze życie nastąpi dopiero po śmierci. Kiedy dociera to do tłumu, ten zaczyna mieć go dość i wystawia rachunek. Prorok, który się nie wywiązał, zawisa na krzyżu. Pod krzyżem – matka. W tej roli pobożna pani Pasolini, mama Piera Paola.

> Ludzie najczęściej proszą Pana Boga, aby dwa razy dwa nie równało się cztery.

Skoro jesteśmy przy Włochach, wspomnijmy jeszcze o Francu Zeffirellim. Zdeklarowany katolik, też sfilmował Ewangelię („Jezus z Nazaretu", 1977), ale z całkiem innym zamiarem. Po bożemu i kolorowo – to, co wierni czytali, teraz mogli zobaczyć. W pismach ojców Kościoła wyczytał, że Jezus był niski i nieprzesadnej urody, więc pierwszym kandydatem do roli był Dustin Hoffman. Potem doszedł do wniosku, że Zbawiciel powinien mieć w twarzy coś „bizantyjskiego", więc padło na Ala Pacina. Ostatecznie Jezusa zagrał jednak wysoki, przystojny i niebieskooki Robert Powell, żeby było jak na oleodrukach. Inscenizacja (135 minut) kręcona przez trzy lata zarówno w Maroku, jak i w Cinecittà pod Rzymem okazała się inwestycją trafioną. Film kosztował 18 mln dol., ale w samych Włoszech i tylko w trakcie pierwszej emisji ściągnął do kin 28 mln widzów. A potem był jeszcze serial telewizyjny. Nic dziwnego – wszystko jak na obrazku.

Żywot Briana

Żywot Briana (1979).
Ukrzyżowany przez pomyłkę

Satyrycy z Latającego Cyrku Monty Pythona potraktowali żywot i mękę Pańską w duchu radosnego nihilizmu. Wszystko zaczęło się od tego, że mędrcy ze Wschodu zbyt wiele wypili po drodze. Pomylili noworodki i dary złożyli matce niejakiego Briana, który też urodził się w stajence, tyle że obok. Odtąd żywoty Briana i Jezusa będą się przeplatać. Z tym że Jezus to ognisty mesjasz, a Brian – poczciwina, któremu obce są metafizyczne wzloty. Ale to Brian zostanie obwołany proro-

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Misja

kolonizatorom, więc ci przy pomocy wysłannika Watykanu próbują zmusić jezuitów do zaniechania opieki nad Indianami. Wysłannik stawia sprawę na ostrzu noża – jeżeli jezuici nie porzucą Indian (na korzyść właścicieli plantacji), zostaną ekskomunikowani. Bo nie tylko o tych paru dzikich tu chodzi. Lizbona zaszachowała Watykan: jeżeli ten nie zlikwiduje jezuickich misji w Ameryce Południowej, zakon zostanie przepędzony z Portugalii, a potem z innych europejskich państw, bo wszędzie mają go już dość. W konsekwencji zostanie rozwiązany. Do tego nie wolno dopuścić za żadną cenę!

W finale jezuici (już właściwie wyklęci) oraz ci biedni Indianie idą w procesji, wpatrzeni w monstrancję, a jak najbardziej chrześcijańska artyleria wybija ich do nogi. Chrześcijańskich mężczyzn, kobiety, dzieci… Jezuici zostają (chwilowo) ocaleni. Wniosek? W Kościele panuje, owszem, moralność ewangeliczna, ale jak trzeba, zamienia się ją na moralność sytuacyjną. I po kłopocie! Tej gorzkiej konkluzji nie słodzi nawet zjawiskowa muzyka Ennia Morricone, w której indiańskie rytmy mieszają się z chorałem gregoriańskim.

W Kościele moralność ewangeliczną zamienia się, jak trzeba, na moralność sytuacyjną.

kiem. Oczywiście przez pomyłkę, bo wdał się w konspirację z antyrzymskim Frontem Wyzwolenia Judei, który na wiecach jedzie czystym Marksem i Leninem. No i biednego Briana czeka ukrzyżowanie, co jednakowoż osładza mu chór wyznawców, śpiewając na Golgocie: „Always look at the bright side of life". Wcześniej też oglądamy jazdę bez trzymanki. Jezus zachęca apostołów: „Chodźcie, popatrzymy sobie na kamienowanie!". Na miejscu handlarz sprzedaje zainteresowanym kamienie. W promocji! Jezus, który uzdrawia, wcale nie odbiera wyrazów wdzięczności. Słyszy: „Byłem świetnie prosperującym trędowatym, a stałem się bankrutem bez środków do życia".

W momencie premiery koła kościelne były więcej niż oburzone. Pisano, że Brian w niedopuszczalny sposób przedrzeźnia Jezusa, a sam film jest frontalnym atakiem na chrześcijaństwo. Trudno z tym się zgodzić – zbyt wiele tu zwykłego, bezinteresownego humoru. I najważniejsze pytanie, jakie stawia film: czy Pan Bóg ma poczucie humoru? I jakie?

Misja (1986).
Jezuici za wszelką cenę

Reżyser Roland Joffé nakłuł nerw. Musiało zaboleć. Mamy połowę XVIII w., pogranicze Argentyny, Paragwaju i Brazylii. Biali kolonizatorzy, głównie portugalscy, organizują plantacje, na których wykorzystują miejscową ludność. Pech chce, że tuż obok jezuici organizują dla tychże tubylców gospodarstwa, gdzie uczą ich uprawy roli i sprawiedliwego podziału dóbr. Problem w tym, że i kolonizatorzy z batem, i jezuici z krzyżem i kulturą rolną to jednakowo zaprzysięgli chrześcijanie. Indianie jednak masowo uciekają z plantacji do tych jezuickich wiosek, co jest nie w smak

Ostatnie kuszenie Chrystusa (1988).
Jezus w starszym wieku

Pisarz z Krety, Nikos Kazantzakis, wydał w 1955 r. powieść „Ostatnie kuszenie Chrystusa" i na ekskomunikę ze strony macierzystego Kościoła prawosławnego czekał niecały rok. Amerykański reżyser Martin Scorsese na sfilmowanie dzieła musiał ostrożnych producentów namawiać 10 lat. A wyklęcie dzieła przyszło jeszcze szybciej. O co ta awantura? Otóż w powieści i w filmie Jezus najzwyczajniej zasmakował w ziemskim życiu i na krzyż nie było mu śpieszno. Kiedy więc kona na drzewie hańby, litościwy Ojciec Niebieski zsyła anioła, który wyjmuje gwoździe, leczy rany i pozwala poślubić Marię Magdalenę. Scena pożycia w noc poślubną pokazana jest wymownie, choć przez firankę. W finale oglądamy Jezusa starca otoczonego dziećmi i wnukami, człowieka – wydawałoby się – spełnionego bez reszty. A jednak nie! Bo Jezus nigdy nie za-

eprasa.pl 4bfacdb7d4

pomniał o nałożonej nań misji. I teraz, jako na wpół sparaliżowany staruszek, wyczołguje się z domowych pieleszy i wdrapuje na krzyż. Dobrowolnie i na ochotnika. Wreszcie dojrzał do posłannictwa. Finał był budujący, ale nie na tyle, by film mógł trafić do kin. Nie szkodzi – kto chciał, obejrzał go z wytartych taśm VHS. A mieliśmy wtedy najwięcej magnetowidów na głowę w skali całej Europy.

Dekalog I (1988).
Spacer po kruchym lodzie

„Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną" – nad tym fundamentalnym przykazaniem pochylił się duet Kieślowski-Piesiewicz. Oto pracownik nauki, który samotnie wychowuje syna przy pomocy mocno religijnej ciotki. Naukowiec pozostaje niewrażliwy na metafizykę. Bezgranicznie za to ufa komputerowi, który oblicza mu w sposób niezawodny wytrzymałość lodu na osiedlowym (ach, te osiedla u Kieślowskiego!) jeziorku. Na tej niepodważalnej podstawie ojciec pozwala synkowi ślizgać się na tafli i wypróbować nowe łyżwy. Lód jednak załamuje się pod ciężarem chłopca, który tonie.

Ta absurdalna – oczywiście tylko z punktu widzenia komputera – śmierć ścina naukowca. Żył w świecie zero-jedynkowym, a tu nagle na głowę zwala mu się metafizyka. Nie oglądamy wprawdzie żadnego spektakularnego nawrócenia, ale sama sytuacja naprowadza na wniosek, że komputer nie jest w stanie powiedzieć nam wszystkiego, czego bylibyśmy ciekawi. Cała sytuacja ma też rewers. Bo co robią w podobnej sytuacji ludzie wierzący? Ano posyłają dzieci na kruchy lód i modlą się, by wytrzymał. A jak się załamie, bluźnią Stwórcy. Od zawsze wiadomo, że ludzie najczęściej proszą Pana Boga, aby dwa razy dwa nie równało się cztery.

Pasja (2004). Z dokładnością do jednego gwoździa

Mela Gibsona znaliśmy jako Mad Maksa, glinę z wydziału zabójstw i średniowiecznego szkockiego patriotę – do roku 2004. Wtedy bowiem Gibson pokazał ostatnie 12 godzin z życia Jezusa, niemal w skali jeden do jednego. Tu konieczny był jakiś bonus, bo Wielki Tydzień kino przed nim ekranizowało już sto razy. I znalazł się taki! W wizjach niemieckiej mistyczki Anny Katarzyny Emmerich (przełom XVIII i XIX w.), które spisano aż w 40 tomach. Mistyczka relacjonowała mękę Pańską trochę tak, jakby opisywała oprawianie zwierząt w rzeźni. W trakcie procesu beatyfikacyjnego (na ołtarze wyniósł ją Jan Paweł II w 2004 r.) w ogóle nie zajmowano się ryzykownymi wizjami zakonnicy. Mel Gibson zaś uznał, że te drobiazgowe opisy tortur są jak znalazł. Prasa pisała, że pokazał pasję nie jak artysta, lecz jak sadysta. Ale on wiedział, co robi – film nakręcony za 30 mln dol. (budżet dość umiarkowany) zarobił tych milionów 600. Niosła go fama: rozpisywano się o licznych nawróceniach podczas projekcji, a wiekowy Jan Paweł II po seansie pochwalił: „Tak było…".

Milczenie

Wprawdzie w roku premiery „Pasja" przegrała co do frekwencji ze „Shreckiem 2" i „Spider-Manem 2", ale takim superbohaterom nawet Jezus (Jezus 1!) musi ustąpić.

Milczenie (2016).
Mission impossible

Nareszcie rozsądny głos w sprawie misji katolickich w szerokim świecie. Bo z punktu widzenia Lichenia wygląda to tak, że gdzieś tam w odległym buszu bytują Murzynki Bambo, które biją pokłony swojemu Mzimu. A jak zjawi się biały człowiek z krucyfiksem i penicyliną, natychmiast radośnie nadstawiają główki do chrztu. Martin Scorsese przekonuje w trakcie trzygodzinnego seansu, że to szkodliwa bujda. Jako przykład podaje misje jezuickie w XVII-wiecznej Japonii. Kraj jest oficjalnie zamknięty na miazmaty Zachodu. Władza wychodzi z założenia, że zachodnie wpływy mogą tylko zmącić rodzimą wiarę buddyjską (skąd my to znamy?). Chrześcijan więc się tropi i zabija w okrutny sposób. Na to zjawiają się dwaj pełni zapału misjonarze jezuiccy i pragną z całej mocy wdrożyć ewangeliczny nakaz: „Idźcie i głoście". Ale co to oznacza? Ano niewyobrażalne cierpienia dla tych i tak najbiedniejszych i upokarzanych. A jak się załamią w trakcie tortur i naplują na krzyż – dozgonne wyrzuty sumienia. Poza tym jacy z nich chrześcijanie? Z całych misji pamiętają tylko słowo *paradis* – raj, do którego dostaną się, jak tylko kresu dobiegnie ich nędzne życie. Gdyby im powiedzieć, że Jezus to kolejne wcielenie Buddy, ani by ich to ziębiło, ani grzało. Poza tym wyznawcy Jezusa też nie mają o nim jednego zdania – misjonarze katoliccy mówią jedno, a protestanccy całkiem co innego. W dodatku ci biedni Japończycy także przed nawróceniem byli ludźmi głęboko religijnymi. Więc co? Głosić Ewangelię, mącić w głowach biednym ludziom, skazywać ich na męczarnie? W zamian za co? Za ulgowy bilet do raju, do którego i tak pewnie by się dostali?

Prasa pisała, że Gibson pokazał pasję nie jak artysta, lecz jak sadysta.

Wiesław Kot

FOT. GUTEK FILM, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

BRUCE WILLIS ZAMIAST CIOCI GIENI

W tzw. inteligenckich domach kilka lat temu wyrzucono na śmietnik telewizory. – Oglądanie telewizji to dekadentyzm! – obwieściła znana erudytka. I od tej pory nie odważyłam się uruchomić tego pudła przed godz. 18.

Dekadencja dekadencją, ale przeklęty telewizor przychodził jednak z odsieczą podczas przeróżnych świąt rodzinnych, na które zjeżdżali się dalecy krewni. Bo kiedy opowiedziano sobie o nowych dzieciach, ślubach, rozwodach i rakach, a reszta okazała się komunikacyjną porażką – można było przynajmniej pogapić się na jakiś kabaret.

Z przerażeniem czytam doniesienia o nowej modzie w Barcelonie – modzie, która jak wirus w szybkim tempie rozprzestrzenia się na cały świat! Knajpki rezygnują z kodów wi-fi, żeby ludzie „ze sobą rozmawiali". Nie czytali Sartre'a? Na miłość boską! Przecież piekło to inni ludzie! Oczywiście nie ci, których kochamy. I skąd przesąd, że pozbawieni internetu będą frenetycznie i z wdziękiem nawiązywać ze sobą rozmowę, zagajać, serdecznie zaczepiać i popadać w upojne konwersacje? Biedni introwertycy narażeni na nagabywanie! Samotnicy pod presją! Ci, którzy właśnie lubią ciszę, przerywaną tylko szumem ekspresu do kawy. Koniec! Teraz każdy drab i drabka będą mogli nas zaczepiać i będzie to dobrze widziane!

Koszmar wymuszonego pitu-pitu jest znacznie bardziej ponury niż koszmar małego ekranu! Jest bowiem inwazyjny i stanowi moralny szantaż. Bo nikt przecież nie chce się okazać nieuprzejmym mrukiem, prawda?

Zatem w imię lepszego samopoczucia, w trosce o zdrowie psychiczne jednostki i społeczności odmawia się nam prawa do wi-fi. Oraz prawa do telewizji w dni świąteczne, kiedy na tę czy inną chatę zwala się jakiś przypadkowy wycinek populacji. W innych, lepszych czasach, kiedy nie trzeba było żyć w zgodzie z filozofią *slow life*, żreć mdłego humusu z surowym selerem, popijając go koktajlem z jarmużu i szpinaku, człowiek miał swobodę mówienia i niemówienia. Palenia i niepalenia, oglądania głupot i nieoglądania głupot, sprawdzania, o czym pisze „Times", lub słuchania o nagniotku cioci Gieni. A teraz zostaje już tylko nagniotek! Och, Barcelono! Ty, która pozwalałaś deskorolkarzom rozpruwać swoje najlepsze murki, dlaczego inicjujesz tak straszny trend?

Miękka perswazja sprawia, że w końcu ja też wstydzę się wyjąć telefon, chociaż odeszłam już od stołu i chyłkiem zwiałam na kanapę. Nikomu by nie przeszkadzało, gdybym zerknęła na tę czy inną stronkę, żeby złapać trochę oddechu. I tak wszystkim odpłynęła krew z mózgu, bo organizm ma teraz ważniejsze sprawy i odbywa się gremialne trawionko.

No więc dobrze, nie gapię się w telefon, ponieważ mam jeszcze (być może) krztę taktu, jak mówiła ciocia z Rybnika. Ale co zrobić z rękami, które łakną zajęcia, klikania, macania gładkiej płytki smartfona, które pragną podłączania się? Czy jestem odłączona? Wpadam w panikę? Zaczynam wariować? Umykam na balkon, gdzie dwóch wujów gada o silnikach spalinowych, pod kiblami kuzynki nawijają o jodze, w kuchni przyjaciel rodziny potępia swoją spółdzielnię mieszkaniową. Nie umiem się podłączyć! Więc rzucam się na jajka, sałatkę jarzynową, słodzę herbatę uchem cukrowego baranka.

Koszmar wymuszonego pitu-pitu jest znacznie bardziej ponury niż koszmar małego ekranu!

I apeluję do prądów kulturowych, do trendów i do Barcelony – oddajcie nam nasze świąteczne złe nawyki: nasze oglądanie, nasze pokoje niebieskie od telewizorów. Bruce'a Willisa zamiast cioci Gieni, Nicole Kidman zamiast wujka Zbyszka, nawet Pavarottiego zamiast kuzynki Lusi. Niedługo pisma lajfstajlowe narzucą nam tematy i będziemy zmuszeni omawiać przy świątecznym śniadaniu wielokrotnie złożone orgazmy, zbawienne działanie masażu dźwiękiem mis tybetańskich oraz sekrety jogi twarzy. A my, wielbiciele wolnego wi-fi, miłośnicy telewizorów, będziemy musieli zejść do podziemia. I to dopiero będą jaja.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Wejdź, czytaj! Wyraź opinię!

www.tygodnikprzeglad.pl
www.facebook.com/TygodnikPrzeglad
https://twitter.com/TygPrzeglad

eprasa.pl 4bfacdb7d4

NA POWAŻNIE

Stanisław Wyspiański, „Wyzwolenie", reżyseria Krzysztof Garbaczewski, Teatr Studio w Warszawie w ramach Festiwalu Gorzkie Żale, premiera 12 marca 2017

WYSPIAŃSKI Z BANKNOTU

Burza po „Klątwie" według Wyspiańskiego cichnie, po „Wyzwoleniu" raczej jej nie będzie. Rzecz w tym, że twórcy tego pierwszego spektaklu operowali konkretami, a w drugim cała myśl tonie w ogólnikach. Dramat w trzech aktach o beznadziejnej walce o wyzwolenie skłóconego i otumanionego narodu został przerobiony na jednoaktowy happening trwający ponad dwie godziny. Też o beznadziei, o Polsce, która co prawda jest tumaniona, ale wolna, co zresztą wykonawcy do znudzenia powtarzają. No to o co chodzi? Autor inscenizacji (i przeróbki) chyba bał się mówić otwartym tekstem, zresztą działał na zamówienie Centrum Myśli Jana Pawła II, więc część monologu Konrada przypisał polskiemu papieżowi. Tylko w tle chór wykrzykuje jakieś hasła z wczorajszych demonstracji rozmaitych ugrupowań. Jest coś o Donaldzie i Jarosławie, o Episkopacie, o religii, nawet o San Escobar, ale podawane tak niewyraźnie i bez związku z oryginalnym tekstem, że nic z tego się nie klei. W finale wydaje się, że ten wolny naród jednak dał się spętać, ale z całości trudno wyłowić jakiś sens. Chyba tylko taki, że Wyspiański patrzy na nas z banknotu 10 tys. zł przed denominacją.

Bronisław Tumiłowicz

DOTKNĄĆ TAJEMNICY

Z tysiącstronicowego dziennika wydłubać 20 kartek i skonstruować z nich spektakl? Prawdziwe szaleństwo i nie powinno się udać. A jednak Elżbiecie Chowaniec i Wojciechowi Urbańskiemu się udało. Towarzyszył temu szczególny zamysł – że to nie będzie żaden dramat czy monodramat, raczej głośne mówienie, przepowiadanie sobie słów Mirona, takich zwyklejszych, choć intymnych, nie na pokaz, wśród których co pewien czas wykwitała poezja. A wszystko to opowiadane we wnętrzu rekonstruującym pokój poety, jego pamiątki, gramofon, zbiór płyt, fotografie z Teatru Osobnego, a w projekcjach wideo widoki, jakie oglądał z mieszkania. Plus muzyczne intermedia Marcina Maseckiego. A poza tym czterech aktorów w ogóle Mirona nieprzypominających (Michał Piela, Robert T. Majewski, Henryk Niebudek i Piotr Siwkiewicz), ani ładnych, ani brzydkich, szczuplejszych i tęższych, starszych i młodszych, którzy nawet przez moment nie starają się naśladować poety. I może to właśnie klucz sukcesu – nie-

udawanie, wmyślanie się w słowa zapisywane w „Tajnym dzienniku", który czekać musiał lat mniej więcej 20, nim przestał być po śmierci poety tajny. Bo mowa tu przede wszystkim o oswajaniu się ze śmiercią, o zwyczajnościach, o namiętnościach homoerotycznych. Nie ma w tym jakichś przełomowych odczytań ani odkryć. Ale jest coś bezcennego – klimat intymności, wrażenie muśnięcia tajemnicy, przejścia przez nieprzekraczalną granicę. Choćby tylko na moment.

Tomasz Miłkowski

Miron Białoszewski, „Tajny dziennik", adaptacja Elżbieta Chowaniec i Wojciech Urbański, reżyseria Wojciech Urbański, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, Scena Przodownik, prapremiera 30 marca 2017

NA EKRANACH

DALIDA. SKAZANA NA MIŁOŚĆ

reż. Lisa Azuelos, prod. Francja, już w kinach

Jej piosenek słuchali wszyscy. Kochali ją Egipcjanie, Włosi, Hiszpanie, Polacy i wiele innych nacji. Wspięła się na szczyt. Jej intymne teksty przepełniała wybuchowa mieszanka radości życia i przekleństwa samotności. Bo choć kochały ją miliony, Dalida szczęścia w miłości nie miała. Jej związki rozpadały się brutalnie, kilkakrotnie kończyła je śmierć (także samobójcza) partnerów. Brzmi jak gotowy scenariusz na film? Owszem, w życiorysie diwy nie brakuje punktów zwrotnych, spełnionego snu o sukcesie ani znakomitej muzyki, która określa ton filmu. W tym jednak tkwi problem reżyserki, która zamiast przekazać własne spojrzenie na historię artystki, odhacza fakty z jej życia i piosenki z dyskografii. „Skazana na miłość" okazuje się więc audiowizualną kartką z encyklopedii. Tych, którzy cokolwiek wiedzą o Dalidzie, jedynie znuży, a tych, którzy słyszą o niej po raz pierwszy, pozostawi w poczuciu niedosytu. Lepiej iść do sklepu muzycznego i sięgnąć po którąś z płyt Dalidy. Powie nam o niej znacznie więcej.

Artur Zaborski

eprasa.pl 4bfacdb7d4

ZAJRZYJ TU

PÓŹNA POLSKOŚĆ Formy narodowej tożsamości po 1989 roku

O tej wystawie będzie się mówić długo i szeroko, bo Centrum Sztuki Współczesnej w Zamku Ujazdowskim, które na tę okazję zmieniło nawet logo, wybrało temat przewodni pod wpływem tzw. obowiązujących trendów. Skoro minister kultury ogłasza konkurs na hollywoodzki film o wspaniałej polskiej historii, warto się zorientować, co już mamy u siebie. „Krzyżacy" Forda to pierwszy adres, a do wykorzystania są takie symbole jak Solidarność, JPII i Smoleńsk. Polscy artyści gromadzą dzieła nawiązujące do polskości, nie zawsze z szacunkiem i patosem. Częściej jest mniej lub bardziej piekącą kpiną. Wystawę otwierają prace wybitnego rzeźbiarza Stanisława Szukalskiego, który w latach 30. miał autentycznego hopla na punkcie polskości. Obok Gustaw Holoubek mówi, że naród to lawa, ale to zaledwie początek. Dalej jest tylko gorzej, czego symbolem niech będą dwa grunwaldzkie miecze z nadzianymi grillowanymi kiełbaskami. (bt)

WARSZAWA, CSW U-JAZDOWSKI, DO 6 SIERPNIA

COLOURS OF ART

František Kupka, Oskar Kokoschka, Karel Malich, Max Pechstein, Alfons Mucha, Emil Filla, Victor Vasarely, Wojciech Fangor, Milan Dobeš, Stefan Gierowski, Ryszard Winiarski, Kajetan Sosnowski i inni to bohaterowie wystawy „Colours of Art". Prace pochodzą z kolekcji SAF (Světlík Art Foundation) liczącej ponad 2 tys. obiektów. W jej skład wchodzą także zbiory Muzeum Milana Dobeša w Bratysławie oraz prace prezentowane w Ostrawie na terenie Dolnego Obszaru Vitkovic, czyli w tzw. starej hucie. Jan Světlík kolekcjonuje zarówno malarstwo i prace na papierze, jak i rzeźby, obiekty oraz modele.

SOPOT, PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI, DO 25 CZERWCA

ADAM MYJAK Rzeźba, rysunek SALON MARCOWY 2017

W ramach reaktywowanego przez Miejską Galerię Sztuki w Zakopanem Salonu Marcowego można oglądać prace Adama Myjaka, wybitnego rzeźbiarza, profesora Wydziału Rzeźby ASP w Warszawie i wieloletniego rektora tej uczelni. Ideą Salonów jest nawiązanie do artystycznej tradycji Zakopanego, które lata temu skupiało wybitnych twórców. Organizatorzy jednak chcą też się otworzyć na nowe środowiska i współczesne nurty. Szczegółowe informacje: **www.galeria.zakopane.pl.**

ZAKOPANE, MIEJSKA GALERIA SZTUKI, DO 21 MAJA

SERIAL

POZOSTAWIENI

Nowy, trzeci i zarazem ostatni sezon serialu to ciąg dalszy opowieści o świecie, w którym po tajemniczym zniknięciu 2% mieszkańców Ziemi pozostali próbują odnaleźć się w nowej sytuacji. Rodziny Garveyów i Murphych jednoczą się, desperacko poszukując systemu wartości, który pozwoliłby im wytłumaczyć to, czego w rzeczywistości wyjaśnić się nie da. Tymczasem w powietrzu wisi zapowiedź wielkich wydarzeń… Pomysłodawcami serii są Damon Lindelof, laureat Emmy za serial „Lost: Zagubieni", oraz powieściopisarz i scenarzysta Tom Perrotta, nominowany do Oscara za „Małe dzieci".

HBO, OD 17 KWIETNIA, GODZ. 20.10

KULTURALNE DZIECI

PRZYTUL MNIE

Scenariusz nowej polskiej animacji dla dzieci powstał na podstawie książki „Proszę mnie przytulić" Przemysława Wechterowicza i Emilii Dziubak, a jego autorem jest Bartosz Wierzbięta, najpopularniejszy polski reżyser dubbingu, scenarzysta i dialogista. 13-odcinkowy serial już docenili organizatorzy najstarszego i najważniejszego festiwalu animacji w Annecy, gdzie w czerwcu powalczy o nagrodę w kategorii Film telewizyjny. Bohaterowie, Tata Miś i Mały Miś, uczą dzieci i ich rodziców uważności na małe gesty i słowa, dzięki którym tworzymy i utrzymujemy dobre relacje.

PULS 2, OD 15 KWIETNIA, GODZ. 8.30

Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KRZYSZTOF BIELIŃSKI, KATARZYNA CHMURA-CEGIEŁKOWSKA

eprasa.pl 4bfacdb7d4

ZAWÓD JAK KAŻDY INNY

Obojętne, czy jest pies, czy kot, czy nie ma nikogo, trzeba wstać i wziąć się do roboty po prostu, a nie zawdzięczać to psu lub kotu

Rozmawia Agata Napiórska

Rozmawiamy w mieszkaniu pisarza, w pokoju dziennym, który pełni też funkcję biblioteki i pokoju do pracy. Przy oknie stoi biurko, regały z książkami zajmują dwie ściany od podłogi po sufit. Książki leżą też w koszykach na ziemi oraz bezpośrednio na podłodze z ciemnego drewna (potem dowiem się, że te czekają na wizytę u introligatora). Na środku pokoju stoi niski stolik, na którym w równych rządkach leżą poukładane piloty do sprzętów RTV, telefony, pocztówki, lupy i książki. Jerzy Pilch siedzi w fotelu, w którym zwykle czyta, ja na kanapie.

DOBRODZIEJSTWA REGULARNOŚCI

Pracujesz regularnie?

– Regularność i systematyczność oraz inne wzorce postępowania szlachetnego przyszły do mnie z literaturą. Byłem chowany w aurze protestanckiej, gdzie tego typu zalety są bardzo cenione. Regularność jest konieczna, kiedy pisze się prozę. Powieści nie napiszesz w tydzień. W tydzień nawet jej nie przepiszesz. W szkole średniej łakomie czytałem. Kiedy młodemu człowiekowi zaczyna chodzić po głowie, że coś by sam napisał, czyta zawzięcie. Jak chcesz pisać, musisz najpierw czytać, inaczej się nie da. Lubiłem więc czytać biografie, zaglądać do kuchni mistrzów. I wszędzie podkreślana była ta regularność pracy. Większość pracowała rano, kiedy organizm jest najsilniejszy. Dla niektórych była to często jedyna pora, gdy mogli pisać – bo raz, że mieli spokój, dwa, że jeszcze byli trzeźwi.

Wziąłem więc tę regularność poranną z całym dobrodziejstwem inwentarza. Teraz w ciągu doby poluję na dobre godziny. Póki byłem, jak by to powiedzieć, normalnym człowiekiem, we wczesnej młodości (choć debiutowałem przed czterdziestką) – pisałem do południa. Zdarzało mi się wstawać o piątej rano. Wypijałem kawę, paliłem papierosy. Teraz obywam się bez dopingu, a wstaję i o trzeciej. Porządkuję bibliotekę i czekam, aż ręce przestaną mi drżeć.

Pracowałem więc najczęściej między ósmą a południem, najdłużej do piętnastej. Zawsze byłem przeciwnikiem poglądu, że w uprawianiu sztuki jest coś wyjątkowego – zawód jak każdy inny. Nie było więc powodów, bym pracował krócej niż inni. Nie stosuję żadnych faszystowskich obyczajów – nie wyłączam telefonu, nie wygłuszam ścian, zależy mi na zachowaniu normalności.

Czyli ograniczasz się godzinowo. A co z limitem słów albo znaków?

– O limicie słów długo nie miałem pojęcia, bo pisałem ręcznie. Potem dopiero przeskoczyłem na klawiaturę, pomijając etap maszyny do pisania.

Maszyna jest za wolna. Przepisałem na niej jedną książkę – „Spis cudzołożnic". Tylko wtedy była mi przydatna. Komputer jest prawie tak szybki jak ręka czy mózg, można więc te poprawki szybko nanosić. Najgorzej było, jak coś kończyłem, książka w wydawnictwie, korekta też oddana. Ten czas pomiędzy książkami bardzo trudno znosiłem. Dążyłem do tego, by żyć i pisać. Życie rodzinne mi nie odpowiadało. Wydawało mi się zawsze, że ten stan, jaki mam tutaj, na Hożej – własne mieszkanie, płyty i książki – to stan idealny. I osiągnąłem go, niestety inne rzeczy się pokomplikowały.

SAMOTNOŚĆ PISARZA, KTÓRY BOI SIĘ KOTÓW

– To jest zawód samotny. Pisałem w różnych warunkach, także tych trudnych. Bywało, że pisałem w szpitalu przy stoliku nocnym albo dyktowałem teksty użytkowe do „Tygodnika Powszechnego" czy „Polityki". W mieszkaniu mam biurko, gabinet, swoje ulubione przedmioty, jestem z tego wszystkiego bardzo zadowolony. Zacząłem ostatnio bezwiednie kolekcjonować zalaminowane pocztówki. Głównie z kotami. Lubisz koty?

Wolę psy.

– Mam tu np. pocztówki ze zdjęciami kotów, które deprawują znanych ludzi. O, tu Ryszard Krynicki ze zwierzęcym zadowoleniem na twarzy, bo kot mu usiadł na ramieniu. Albo tu – Stanley Kubrick. Tu Bernard Shaw, laska odrzucona, zawał serca, ale kota do pogłaskania miał, Herman Hesse…

A ty masz kota? Schował się gdzieś?

– Nie mógłbym mieć, bo się ich boję. Kot atakuje o szóstej rano, i to najchętniej stopy. Oka bym nie zmrużył, denerwuję się na samą myśl o imaginacyjnym kocie. No ale jak ktoś woli psy… Masz psa?

Mam, od niedawna.

– I jak się nazywa?

Piorun.

– O kurwa.

Dążyłem do tego, by żyć i pisać. Życie rodzinne mi nie odpowiadało.

Chodzisz specjalnie laminować te pocztówki? Po co?

– Żeby się nie zniszczyły. Co jest w tym, przepraszam, nienormalnego.

Nic, pytam z ciekawości. Skąd je masz?

– Jakaś wielbicielka mi przysłała.

Masz też sporo figurek kotów. Też od wielbicielek?

– Kiedyś dostałem taką jedną drewnianą od narzeczonej. Pożarliśmy się i dałem tego kota w prezencie sekretarce w „Polityce". Potem pogodziliśmy się, a ja bez tego

eprasa.pl 4bfacdb7d4

kota… Nigdzie takiego nie mogłem znaleźć. Drewniany był, a pamiętam go jak żywego.

Psy narzucają pewną regularność, trzeba wstać i z tym psem wyjść, a koty są do głaskania…

– Obojętne, czy jest pies, czy kot, czy nie ma nikogo, trzeba wstać i wziąć się do roboty po prostu, a nie zawdzięczać to psu lub kotu.

Rozumiem, że nigdy nie miałeś problemu ze wstawaniem?

– Na trzeźwo nigdy nie zdarzyło mi się, żebym nie wstał i nie zasiadł do pisania. Wczesne wstawanie też nie stanowiło problemu – kiedyś, jak mieszkałem na obrzeżach Krakowa, żeby zdążyć na pociąg do Warszawy, wstawałem i o trzeciej rano…

JERZY PILCH

URZĘDNIK OD LITERATURY

– Chciałem mieć uregulowane życie urzędnika od literatury. Dopiero później, w „Listach" Flauberta, trafiłem na zdanie, które wielu pisarzy wiesza sobie nad biurkiem: „Prowadź życie stateczne i ułożone, by całą swoją dzikość oddać sztuce". To było moje zdanie, byłem o nie zazdrosny, ja je powinienem napisać, a nie autor „Madame Bovary". To zdanie trafia w samo sedno. Wiedziałem, że tak właśnie powinno być, ale mi nie wychodziło, miał pewnie na to wpływ Kraków – miasto grafomanów i niedojebanych poetów. Ja chciałem tego uniknąć, brzydziło mnie życie towarzyskie. Nie lubiłem i nie lubię pijaków, ale oczywiście każdemu to, na czym mu najmniej zależy. Okoliczności życiowe zmusiły mnie do nadużywania napojów wyskokowych. Niechętnie do tego wracam. Czułem ciągle wewnętrzną potrzebę oddalenia się, a nie zanurzenia w tym wszystkim. Pisać trzeba, kiedy ma się głowę zimną, a nie gorącą. Nawet najtęższi pijacy mogli pracować tylko wtedy, gdy stężenie alkoholu było najmniejsze. Ja nie napisałem linijki po pijanemu czy na kacu.

Nigdy nie próbowałeś?

– Napisałem kilkaset felietonów, z tego jeden czy dwa podyktowałem. Obficie okraszając cytatami. Nie wspominam tego najlepiej, ale odebrane zostały dobrze, to przez te bebechy na wierzchu. Nie wierzę w pisanie na fleku.

A narkotyki?

– Na mój aktualny stan bardzo dobrze robi marihuana. Uspokaja mnie i wycisza. Pomaga mi w szerokim sensie. Głowa jest gdzie indziej. Pierwszy raz zapaliłem w chorobie. I było mi dobrze, przesiedziałem tak kilka dni, rano tylko wychodząc po gazety w nadziei, że coś przeczytam.

Po gazetę i papierosy?

– Papierosy rzuciłem na zawsze. Potworna trucizna. Zapaliłem ostatnio jednego – myślałem, że mnie szlag trafi na miejscu. Kiedyś paliłem po 60 gauloisesów dziennie i jakoś to wytrzymywałem. Mowy nie ma, żebym do tego wrócił.

Paliłeś podczas pisania?

– Tak, to pomagało. Choć popiół musiałem co chwila wyrzucać. Mam pewną obsesję czystości. Kiedyś sąsiad z dołu przyszedł i mówi – ja rozumiem, że pan musi mieć czysto, ale czy naprawdę trzeba sprzątać o piątej rano?

Sprzątasz sam?

– Co parę tygodni przychodzi do mnie pani Sharifa. Ona robi porządek generalny.

Właśnie widzę, że wszystko jest tu poukładane i ma swoje miejsce.

– No jest dość psychiatrycznie.

> Czas pomiędzy książkami bardzo trudno znosiłem.

Pedantyzm?

– Jeszcze niedawno telefon nie mógł krzywo na stole leżeć.

A inne domowe czynności? Gotujesz sam?

– Umiem makaron z sosem tuńczykowym: musisz mieć tuńczyka w puszce, musztardę z ziarnami i majonez. Jak zostanie ten sos, jest dobry do kanapek.

A na śniadanie?

– Najchętniej jem musli z danio waniliowym. Mam słabość do słodyczy.

Podczas pisania jesz słodycze?

– Jak mam, to jem. I zawsze wypijałem dużo kawy: złotej Lavazzy. Pamiętam jeszcze, jak puszka kosztowała poniżej 20 zł. Teraz kawa mi szkodzi, ale czasami odczuwam zwierzęcy głód kawy. Wypijam wtedy zbożową albo czekoladę na gorąco. Ale to są jakieś nędzne erzace i żałość w porównaniu z dobrą kawą z włoskiego ekspresu.

Masz dużo kalendarzy ściennych.

– Tak, sporo. Na balkonie wisi jeden z „Wyborczej", bo żal mi go było wyrzucić. W kuchni jest kilka: tu stary Pirelli, tu żydowski, ten od Wisławy

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Szymborskiej, tu taki do wyrywania karteczek, tu strażacki z Wisły, a ten z imieninami…

To jakaś obsesja czasu? Bo zegarów też sporo.

– Lubię wiedzieć, jaki jest dzień i która godzina. Uspokaja mnie to.

Może związane jest to z tą potrzebą urzędniczości – codziennie przychodzisz i wyrywasz karteczkę z kalendarza.

– Czasami zapominam, wtedy patrzę z trwogą, że coś się nie zgadza.

Wróćmy jeszcze do planu dnia. Co robiłeś po piętnastej, jak kończyłeś pracę?

– Szedłem na miasto. Czyli życie towarzyskie. Długi czas mieszkałem na Śliskiej, koło ronda ONZ, miałem pokój za darmo, wynajęty przez redakcję „Polityki", chodziłem do redakcji, odpisywałem na listy, pisywałem felietony, co wymagało obecności na miejscu. Szedłem tam koło czternastej, piętnastej. Był tam barek, jadłem jakiś obiad. Latem i wiosną wychodziłem ze Śliskiej i szedłem Świętokrzyską pod uniwersytet i wracałem Nowym Światem. Szedłem aż do Hożej, bo tam była księgarnia. Czyli to był taki księgarniany spacer. Do Warszawy przyjechałem bez książek, całą bibliotekę zostawiłem córce. Te spacery organizowały mi czas.

Trzeba zarobić tyle, by było na taksówki.

Wspaniałe życie.

– Żyłem tak, jak chciałem: pisałem, czytałem, szedłem na spacer do księgarni. I znowu to samo.

Rutyna.

– A nawet nuda. Poza tym nienawidzę podróży.

Zawsze tak było?

– Tak, nie znosiłem jeździć. Straciłem przez to mnóstwo okazji – zagranicznych spotkań autorskich, tłumaczeń. Cóż, taka przypadłość. Trochę to się na starość odwróciło – jest teraz gigantyczna wystawa Boscha w Holandii, już chciałem jechać, ale zmiana leków (na parkinsona – przyp. aut.) mi na to nie pozwala. A znalazłem sobie bilet w internecie.

Czyli korzystasz z internetu. Dużo?

– Prawie wcale. Sprawdzam tylko pocztę i wysyłam teksty do redakcji. Czasem coś sprawdzę w encyklopedii. Chociaż ojciec powtarzał: „Kupować wydawnictwa słownikowe i encyklopedyczne". Mam ich pełno, nawet słownik o mięsie i drewnie. Do nich jestem przyzwyczajony. Wiem, że szybciej i wygodniej jest wpisać hasło w internet. Kiedyś, nie pamiętam po co, była mi potrzebna informacja o tym, kto wynalazł centralne ogrzewanie. Szukałem wszędzie, we wszystkich encyklopediach, i w końcu się poddałem – wpisałem w tę cholerną Wikipedię i o centralnym ogrzewaniu wiedziałem wszystko.

JERZY PILCH – ur. w 1952 r. w Wiśle, pisarz, publicysta, dramaturg i scenarzysta filmowy. Laureat Paszportu „Polityki" za zbiór opowiadań „Bezpowrotnie utracona leworęczność", Nagrody Literackiej Nike za powieść „Pod Mocnym Aniołem" (na zdjęciu, 2001 r.), Nagrody Fundacji im. Kościelskich za „Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej", nagrody na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (za dialogi w filmie „Spis cudzołożnic") i nagrody miesięcznika „Odra". Mieszka w Warszawie.

Masz dobrą pamięć?

– Tak, ale wybiórczą. Bywają dowody dobrego jej funkcjonowania. Miewam jakieś tam problemy, ale generalnie jest dobrze. Zdarza mi się też wbić sobie coś do głowy, a okazuje się, że było inaczej.

Planujesz książkę przed napisaniem? Tworzysz plan pracy?

– Hm… ciąży nade mną ręczne pisanie, do którego jestem przywiązany. Początek książki, kilka pierwszych zdań zawsze piszę w zeszycie.

Masz osobny zeszyt do każdej książki?

– Tak, nowy, i im bardziej ozdobny i strojny, tym łatwiej mi go pokalać. Zobacz ten – magnes, skóra, złoto. Trochę zdań w nim zapisałem. To jest dzika przyjemność rozpocząć nowy zeszyt. Mam ich pełno, kosztowne, wytworne notesiki. Ten np. kupiłem w sklepie Tiger.

A plan?

– Jakbym miał plan, tobym go musiał wypełniać, a to nadmiar roboty biurowej, której u mnie i tak nie brakuje. Jestem w swoich książkach

eprasa.pl 4bfacdb7d4

dość powtarzalny. Podobne tematy, zmienna tonacja. Mam trupę postaci, które idą za mną: matka, ojciec, babka, ksiądz pastor, atrakcyjne kobiety, dobrze i ryzykownie ubrane. I krajobraz, i miejsce akcji są u mnie często powtarzalne. Wiem mniej więcej, jak to ma wyglądać. A reszta – wolę iść w kierunku, którego nie planuję, wyobraźnia się rozchyla, coś przychodzi do głowy i ciągnie, tekst sam ma swoją architekturę i ekonomię, zwłaszcza jak go przybywa. Napiszę trzy strony, z trzech rozpędza się do sześciu, z sześciu do dziesięciu, potem jest dwadzieścia i już prawie można na temat tej książki udzielać wywiadów.

Kiedy potem wracasz do rozpoczętego wcześniej tekstu, od razu wiesz, co będziesz pisał?

– Mam na to sposób – zostawiam niedokończone ostatnie zdanie. Potem przysiadam, kończę je i już coś mam.

Ile średnio dziennie pisałeś?

– Trzy strony. Warszawa, a konkretnie ulica Śliska i redakcja „Polityki" kojarzą mi się z tym, że nauczyłem się tutaj pisać na komputerze. W Krakowie przychodziłem do redakcji „Tygodnika Powszechnego" z rękopisem i dyktowałem sekretarce, która pisała na maszynie. „Polityka" zaproponowała mi pracę, kiedy wszyscy tam już pisali na komputerach. Naczelny „Polityki" dobrał mi tego rodzaju nauczycielkę pisania na komputerze, że bardzo szybko się nauczyłem. Ale z tym komputerem jest u mnie tak jak z samochodem – jeżdżę, chociaż nie umiem go naprawić.

Jeździsz?

– Mam prawo jazdy, ale kompletnie mnie nigdy nie interesował samochód.

To po co robiłeś prawo jazdy?

– Ojciec wyjechał i trzeba było zagospodarować fiata 125p. Potem z byłą żoną kupiliśmy malucha, czułem się jak we własnym tornistrze. Bardzo pasuje mi fakt, że taksówki są na świecie. Trzeba zarobić tyle, by było na taksówki.

Co ci przeszkadza w pisaniu i cię dekoncentruje?

– Wszelkie interwencje świata zewnętrznego. Jest takie powiedzenie Czesława Miłosza: „Jak w rodzinie jest pisarz, to koniec z rodziną". Coś w tym jest – ci, co przeszkadzają, są bliskimi ludźmi, którzy nie chcą przeszkadzać, ale przeszkadzają. Pisarz rodzinie też przeszkadza, bo ta jest dla niego surowcem. Bliscy pisarza nie mają z powodu jego zawodu wielkich atrakcji.

A życie towarzyskie? Przeszkadza?

– Przeszkadza, stoły uginają się od trunków, w Polsce powszechny jest cyganeryjny wzorzec artysty, który mało robi, ale jest artystą. To przeszkadza najbardziej. Groźnym przeciwnikiem autor jest sam dla siebie. Często zaczyna sam siebie zbyt poważnie traktować. Nie daj Boże zostaje autorytetem.

Masę książek przeczytałem na kacu – dzięki kacom jestem oczytany.

Pisarz nie może być autorytetem?

– Jeśli jest nagle autorytetem od wszystkiego, to niedobrze. Jak pracujesz w książkach, to książki mają pracować za ciebie. A powiem ci, że ostatnio ogarnęła mnie mania oprawiania książek.

Chodzisz do tego samego introligatora, który laminuje pocztówki?

– Do innego, ale też mam blisko.

Po co oprawiasz te książki?

– Nienawidzę zniszczonych książek, od razu też mówię, że nie pożyczam książek, już wolę dać.

Masz swój *ex libris*?

– Daj spokój, nie mam.

O co jeszcze tak dbasz? O ubrania? W jakim stroju pracujesz?

– Nie mam specjalnego skafandra jak Marquez. Codziennie ubieram się w rzeczy wzięte z szafy. Nie wkładam dwa dni z rzędu tej samej koszuli. Nie mówiąc o reszcie garderoby. Mam kilkadziesiąt czarnych koszul.

Kilkadziesiąt?

– Co, chcesz zobaczyć moją szafę? Koszula musi być z płótna albo lniana, żeby była dość przewiewna, teraz jest ich w sklepach w bród, nie mogę się oprzeć, by nie kupić kolejnej. Swego czasu szyłem sobie nawet koszule na miarę. W okresie, gdy dobrze zarabiałem.

Czy w posiadaniu kilkudziesięciu czarnych koszul chodzi o oszczędzanie czasu? Otwierasz szafę i bierzesz pierwszą z brzegu?

– No gdzie tam, tu chodzi o fakturę, rano muszę wyczuć, na którą mam ochotę. Dotknąć i sprawdzić.

Sam te koszule pierzesz?

– Nosiłem je do pralni, ale to cholernie drogie. Sztuką jest prasowanie. Umiesz uprasować koszulę?

Umiem, ale to bolesne.

– To ma boleć. Ja sam prasuję. Chociaż teraz bywa, że oddaję do pralni – przyjeżdżają, oddaję i przywożą wypraną i uprasowaną z powrotem.

Co jeszcze zlecasz?

– Zakupy robię sam. Golę się sam, długi czas chodziłem na manicure, bo ręce trzęsły mi się bardziej niż teraz, ale już mogę robić sam. Na Hożej są cztery zakłady fryzjerskie. Mam kłopot, czy chodzić do pani Marzenki czy innej. Na Hożej mam wszystko.

W ogóle nie musisz opuszczać ulicy.

– Toteż tego nie robię. Zredukowałem swoje potrzeby. Od rana do nocy wszystko w obrębie jednej ulicy.

O której chodzisz spać?

– Staram się najpóźniej o północy. Ale często nie mogę zasnąć i w nocy porządkuję bibliotekę. Włączam telewizor, patrzę, przysypiam. Lubię filmy dokumentalne z cyklu „07 zgłoś się" albo program „Zdrady" – to krwawa duchowa pornografia. Jak nie mam siły czytać, a nie daję rady spać, przerzucam kanały i tak zasypiam. Ani to sen, ani odpoczynek. Masę książek przeczytałem na kacu – dzięki kacom jestem oczytany. Bardzo też lubię mecze. Kiedyś chodziłem na stadion, teraz oglądam w telewizji. Jestem kibicem Cracovii. Całe życie kibicowałem drużynie, która spada z ligi, ma wejść, nie wejdzie… wreszcie po 50 latach się doczekałem i wygrywa. Ostatnio dostałem taką koszulkę.

(Pokazuje piłkarską koszulkę Cracovii, z napisem PILCH na plecach).

Metki nie odczepiłeś.

– No a gdzie ja w tym pójdę?

Rozmowa z książki Agaty Napiórskiej *Jak oni pracują. Rozmowy o pracy, pasji i codziennych sprawach polskich twórców*, W.A.B., Warszawa 2017

FOT. AGATA DYKA/REPORTER, WITOLD ROZBICKI/T/REPORTER

eprasa.pl 4bfacdb7d4

PO-PiS SZKODLIWY DLA POLSKI

Umiejscowienie jakiejkolwiek lewicy między PO a PiS jest poważnym błędem

Radosław S. Czarnecki

Lewica, ruch, który w przeszłości reprezentował jedne z największych nadziei ludzkości, z czasem stracił rolę, jaką dotąd odgrywał. Po prostu sprzedał się prawicy.
José Saramago

Dr Anna Materska-Sosnowska, politolożka z Uniwersytetu Warszawskiego, w wywiadzie „Światła nie gaście!" (PRZEGLĄD nr 12) diagnozuje stan polskiej lewicy. Dla jej części – Sojuszu Lewicy Demokratycznej – nie widzi miejsca na naszej scenie politycznej, spisuje tę partię na straty. Jej zdaniem Sojusz nie ma szans na reaktywację i odzyskanie zaufania wyborców. Istotnie, oceniając decyzje podejmowane przez liderów SLD w przeszłości dalszej i najbliższej – które często były politycznym harakiri – można dojść do takiego wniosku. Potwierdzają to zresztą wyniki większości sondaży (choć bywają one niesłychanie złudne). Ale osoba zajmująca się profesjonalnie teorią polityki powinna wiedzieć, że w tej dziedzinie pojęcie „nigdy" nie istnieje.

W mojej ocenie uwagi dr Materskiej-Sosnowskiej są raczej odbiciem jej subiektywnych sympatii niż chłodną analizą, jaką prezentuje – często na łamach PRZEGLĄDU – prof. Jacek Raciborski. Umiejscowienie jakiejkolwiek lewicy – „prawdziwej", koncesjonowanej, hipsterskiej czy kanapowej (takie pojęcia kursują nagminnie) – między Platformą Obywatelską a Prawem i Sprawiedliwością jest poważnym błędem. Miejsce polskiej lewicy jest daleko od duopolu PO-PiS betonującego skutecznie od ponad dekady polskie życie publiczne. Obydwie te partie utrwalają tradycjonalizm, klerykalizm i neoliberalne porządki w gospodarce, tylko pod różnymi sztandarami. PO – międzynarodowego, wielkiego, korporacyjnego kapitału, PiS – biało-czerwonym. Ten duopol jest szkodliwy

WYWIAD

ŚWIATŁA NIE GAŚCIE!

Między PiS i PO jest sporo wolnego miejsca, w które mogłaby wskoczyć lewica

Rozmawia Krzysztof Piwowski

Ani w PO Ewy Kopacz, ani w PO Grzegorza Schetyny nie widzę lewicowości w sferze kulturowej, światopoglądowej, progresywnej.

SLD W RODZINIE

DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA

dla Polski. Jego rozbicie jest zasadniczym, pierwszoplanowym zadaniem dla partii sytuujących się na lewo od tzw. społecznie wrażliwej części PO (wymienia się w tym kontekście byłą premier Ewę Kopacz, moim zdaniem zupełnie bezzasadnie).

Zupełnie nie do przyjęcia dla mnie jest stwierdzenie padające na samym początku wywiadu: „Między PiS i PO jest sporo wolnego miejsca, w które mogłaby wskoczyć lewica". To kompletne nieporozumienie – lewica nie może sytuować się pomiędzy partiami tak zbliżonymi do siebie ideowo, doktrynalnie czy światopoglądowo. Pomiędzy chadecko-konserwatywno-neoliberalną i mimo wszystko klerykalną Platformą a narodowo-socjal-neoliberalnym i ultraklerykalnym PiS. To jakby bydła na sawannie pilnowały z jednej strony hieny, a z drugiej lwy.

Tezy dr Materskiej-Sosnowskiej rażą dążeniem do zniwelowania zasadniczych różnic między partiami charakterystycznych dla normalnej sceny politycznej, która wyraźnie dzieli się na prawicę, centrum i lewicę. Wywodzący się przede wszystkim z salonu związanego z „Gazetą Wyborczą" pomysł zacierania różnic politycznych uzasadniano tym, że ważniejsze są rodowody, tożsamość oraz postawy z okresu Polski Ludowej. Czyli komuna lub postkomuna *versus* my, liberalni demokraci, ludzie etosu i styropianu, członkowie Solidarności. Takie podejście służyło przede wszystkim podkreślaniu swojej wyższości moralnej i zdobywaniu akceptacji dla wszelkich przedsięwzięć i działań. Trwanie w tych paradygmatach szkodzi polskiej scenie politycznej.

Od roku 1989 minęło już sporo czasu, pojawiły się nowe pokolenia, świat poszedł do przodu, Polska jest w Unii Europejskiej. A nasza scena polityczna ani drgnęła. Rządzą nią stare, historyczne podziały na ugrupowania postkomunistyczne i postsolidarnościowe. Straszą duchy rozliczeń historycznych uniemożliwiające jednoczenie się wokół spraw dla przyszłości najistotniejszych.

Zygmunt Bauman w wykładzie „Czy przyszłość ma lewicę?" (Kuźnica, 31.03.2012) w tym właśnie kontekście podkreślał, że „nie idzie tu o jakieś doraźne zmiany kursu politycznego czy o zmianę poglądów któregoś z intelektualnych autorytetów, ale o coś znacznie poważniejszego". Chodzi o lewicowe imponderabilia, które ostatnimi czasy zagubiono albo – jak mówił José Saramago – po prostu sprzedano. I dokonała tego zachodnioeuropejska socjaldemokracja, z którą utożsamiają się obie partie walczące u nas o głosy lewicowego elektoratu: SLD i Razem. Lewica musi po prostu wrócić do źródeł i na nowo je odczytać. Gdzie te źródła są, wszyscy mieniący się lewicowcami powinni doskonale wiedzieć.

Sygnałem, że polska lewica wychodzi z niebytu, będzie to, że przestanie zwalczać siebie nawzajem.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

I jeszcze kilka uwag o Razem. Według mnie to ugrupowanie jest na wyrost obdarzane zaufaniem zarówno przez dr Materską-Sosnowską, jak i przez tzw. *mainstream* skupiony wokół salonu „GW". Program socjalny Razem, ich pomysły na edukację, przeciwstawianie się niektórym akcjom IPN czy skrajnej prawicy, a przede wszystkim praca u podstaw są godne podziwu. Moje zastrzeżenia budzi jednak bałwochwalczy stosunek do NATO i traktowanie Unii Europejskiej na zasadzie konfrontacji z Rosją i Chinami. Wiąże się to nie tylko z deklarowaną rusofobią i doktrynalnym antykomunizmem, ale też z militaryzacją umysłu (charakterystyczną raczej dla środowisk narodowych) i deprecjacją pacyfizmu.

Pogardliwe wypowiedzi Zandberga czy Zawiszy o „lewakach" utożsamianych z inną lewicową linią polityczną, niż prezentuje Razem, każą uważać liderów tego ugrupowania za egocentryków i pewnych siebie doktrynerów, którzy nie potrafią wznieść się ponad urazy czy uprzedzenia i podjąć współpracy.

Ale jest jeszcze jeden aspekt, który absolutnie nie pozwala mi głosować na Razem. Stosunek liderów tego ugrupowania do ludzi uważających okres PRL za coś pozytywnego, niepotępiających w czambuł wszystkiego, co było wtedy. To charakterystyczne, że wielu spadkobierców Solidarności – i z lewa, i z prawa – swój antykomunizm przeniosło na antypeerelizm. Tu ich głos brzmi wspólnie z narracją Michnika, Schetyny, Tuska czy Kaczyńskiego. Inne są tylko forma prezentacji i retoryka.

I PiS, i PO utrwalają tradycjonalizm, klerykalizm i neoliberalne porządki w gospodarce.

Czy mogę więc popierać kogoś, kto odbiera mi godność i zadowolenie z przeżytego i spełnionego życia, odziera z dumy samorealizacji, pracy dla państwa polskiego (bo Polska Ludowa była państwem polskim)?

Dla mnie sygnałem, że polska lewica wychodzi z doktrynalnego i politycznego niebytu, z chocholego tańca Ogórków, uśmiechów do PiS czy umizgów do salonu z ul. Czerskiej, że porzuca język prawicy i endecji itd., będzie fakt, że przestanie zwalczać siebie nawzajem i robić sobie na złość, bez względu na proweniencję, barwy klubowe czy przekonania liderów. Że wykaże się mądrością Mandeli, Sandersa, Mujicy czy Luli.

Ktoś powie: to na kogo zagłosujesz w nadchodzących wyborach parlamentarnych? Jeśli ma być tak jak obecnie, oddam głos nieważny, o ile w ogóle pójdę na wybory. ■

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej „Porozumienie Bez Barier" działa nieprzerwanie od 20 lat.

Od 2013 roku Fundacja prowadzi na terenie całego kraju autorski program pod nazwą „Oswajanie starości".

FUNDACJA JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ Porozumienie Bez Barier

Przekaż 1% podatku

NA PROGRAM OSWAJANIE STAROŚCI !

Pobierz darmowy program PITax.pl 2016

KRS 0000167578

Wejdź na naszą stronę internetową:
www.fpbb.pl
Odwiedź nas na Facebooku:
www.facebook.com/fundacjapbb

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej
"Porozumienie Bez Barier"
Al. Przyjaciół 8/1a, 00-565 Warszawa
tel./fax: 22 849 96 62
e-mail: radafundacji@fpbb.pl

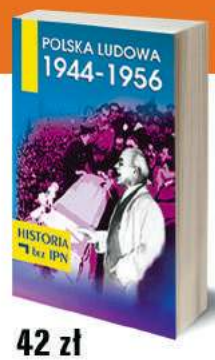

42 zł

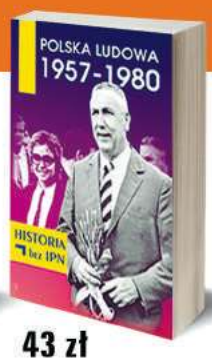

43 zł

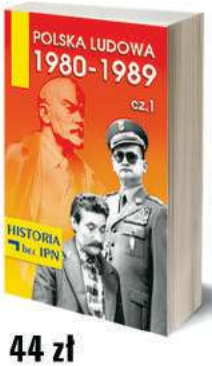

44 zł

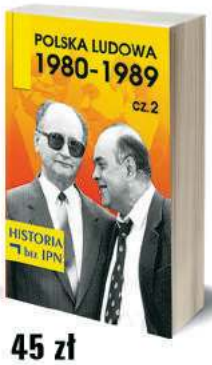

45 zł

47 zł

26 zł

KSIĄŻKI MOŻNA KUPIĆ:

■ wpłacając odpowiednią kwotę na konto wydawcy PRZEGLĄDU: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona

■ przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Pojedyncze tomy można kupić również:

■ w Księgarni Historycznej w Warszawie, al. Solidarności 105, tel.: (22) 652 19 59, 607 833 337

■ w Głównej Księgarni Naukowej im. Bolesława Prusa w Warszawie, ul. Krakowskie Przedmieście 7, tel.: (22) 826 18 35

WIĘCEJ INFORMACJI:
tel.: (22) 635 84 10 wew. 120,
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4bfacdb7d4

KAPRYŚNE NAMIĘTNOŚCI

„Seks jest pokarmem", mawiają w plemieniu !Kung. „Głód seksu może doprowadzić do śmierci"

Helen Fisher

Chłopcy !Kung, zanim zostaną uznani za kandydatów na męża, muszą przejść sekretną inicjację.

SEKS NA KALAHARI

Pierwsze seksualne wspomnienia Nisy pochodzą z czasów, kiedy leżała u boku swoich rodziców w ich chatynce z gałęzi i chrustu, wystarczającej zaledwie na tyle, by się w niej wyciągnąć. Udając sen, Nisa mogła obserwować, jak jej rodzice „robią swoje". Tata zwilżał dłoń śliną, nakładał ją na genitalia mamy, a potem, leżąc na mamie, poruszał się w górę i w dół. Czasami podczas wypraw po warzywa do buszu matka sadzała Nisę u stóp drzewa i odchodziła, żeby uprawiać seks z innym mężczyzną. Któregoś razu Nisę tak bardzo zniecierpliwiło oczekiwanie, że wrzasnęła ile sił w płucach: „Powiem tacie, że uprawialiście seks!".

Nisa już we wczesnym dzieciństwie wiedziała, że seks to jedna z tych rzeczy, które robią dorośli, i że jest obwarowany często łamanymi regułami.

Kiedy Nisa została odstawiona od piersi, nie towarzyszyła już matce w jej wyprawach zbierackich. !Kung mówią, że dzieci maszerują zbyt wolno; są uciążliwe. Nisa pozostawała więc w obozowisku i bawiła się z przyjaciółmi. Regularnie jednak dziecięca banda wypuszczała się poza krąg pięciu czy sześciu chat, by budować „udawaną wioskę" w pewnej odległości w buszu. Tam bawiły się w polowanie, poszukiwanie żywności, śpiewy, „trans", gotowanie, dzielenie pokarmu – i „małżeństwo".

„Małżeństwo" polegało na połączeniu się w pary, dzieleniu „upolowaną zdobyczą" z „małżonkiem" oraz wspólnej zabawie – w seks. Chłopcy zdejmowali z dziewcząt skórzane przepaski, kładli się na nich, zwilżali śliną ich genitalia i dotykali ich na wpół wzwiedzionym członkiem, jakby odbywali stosunek. Nisa powiedziała antropologom, że początkowo nie była aktywną uczestniczką tych zabaw, ale lubiła patrzeć.

Chłopcy i dziewczęta wymykali się też do buszu na schadzki i bawili się w seks z zakazanymi kochankami. Na ogół to chłopcy byli inicjatorami tej rozrywki. Mówili: „Będziemy waszymi kochankami, bo mamy już żony w tamtych chatach. Przyjdziemy i zrobimy to, co robią kochankowie, a potem wrócimy do nich". Inną odmianą zabawy była „niewierność". Także w tej zabawie ton nadawali chłopcy, zwracając się do dziewcząt: „Ludzie mówią, że lubicie innych mężczyzn". Te zaprzeczały. Chłopcy jednak nadal twierdzili, że dziewczęta dopuściły się zdrady, grozili im też pobiciem tak dotkliwym, że nigdy już nie znajdą sobie kochanków. W ten sposób, wedle słów Nisy, „nieustannie się bawili".

> Chłopcy i dziewczęta wymykali się do buszu i bawili się w seks z zakazanymi kochankami.

Rodzice nie pochwalali tych seksualnych igraszek dzieci, nie robili jednak nic poza łajaniem swoich pociech i napominaniem ich, by „bawiły się ładnie". W przypadku nastolatków po prostu przymykali oczy.

Pierwszy raz jako nastolatka Nisa zadurzyła się w Tikayu. Oboje zbudowali niewielką chatę i codziennie bawili się w seks, „robiąc wszystko poza pieprzeniem się". Nisa zauważyła jednak: „Nadal nie rozumiałam przyjemności z seksu – po prostu podobało mi się to, co robił Tikay, i lubiłam się bawić w ten sposób". Nisa nie chciała się dzielić swoim kochankiem. Stała się piekielnie zazdrosna, gdy Tikay postanowił „wziąć sobie drugą żonę" i jednego dnia bawił się z Nisą, drugiego zaś z inną dziewczyną.

(...) Amerykańskie dzieci bawią się w doktora, wymyślają mnóstwo innych rozrywek o zabarwieniu seksualnym i wkraczają w etap szczenięcych miłości. Te dziecięce zabawy i durzenie są stosunkowo powszechne na całym świecie; musiały się pojawić bardzo dawno temu.

•

Życie seksualne dorosłej Nisy – jej kolejne małżeństwa i liczne romanse – również wydaje się znajome.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

W wieku mniej więcej 16 lub 17 lat dziewczęta !Kung zaczynają miesiączkować. Często w podobnym okresie wchodzą w związek małżeński zaaranżowany przez rodziców, choć wiele z nich wychodzi za mąż na krótko przed początkiem pokwitania. Rodzice mają decydujący głos w wyborze odpowiedniego partnera. Na ogół wskazują mężczyznę o kilka lat starszego od córki. Ponieważ chłopcy, zanim zostaną uznani za kandydatów na męża, muszą przejść sekretną inicjację i zabić duże zwierzę, panowie młodzi są często nawet o dziesięć lat starsi od swoich narzeczonych. Rodzice wolą też dobrych myśliwych i odpowiedzialnych kawalerów niż żonatych mężczyzn poszukujących drugiej żony.

Dziewczęta najwyraźniej nie wypowiadaja się na temat swoich preferencji względem człowieka, którego pragnęłyby poślubić. Młodzi mężczyźni natomiast twierdzą, że chcą mieć młodą, pracowitą, atrakcyjną, miłą i płodną kobietę. (…)

Nisa wyszła za mąż przed okresem pokwitania. Jej rodzice wybrali dla niej starszego chłopca, którego cechował jednak brak odpowiedzialności. (…) Noc poślubna Nisy miała dziwaczny przebieg – a małżeństwo przetrwało zaledwie kilka burzliwych dni. Nisa nie zaczęła jeszcze miesiączkować i zgodnie ze zwyczajami !Kung wraz z nią oraz jej młodym mężem w chacie małżeńskiej noc spędziła starsza kobieta, która miała dodać otuchy młodziutkiej dziewczynie. Przyzwoitka Nisy miała wszakże inne zamiary. Przyjęła jej nowego męża jako własnego kochanka i nie szczędziła Nisie kuksańców w seksualnym zapale. Nisa nie mogła spać. Gdy dwa dni później jej rodzice usłyszeli o tym, co zaszło, wpadli we wściekłość. Po ogłoszeniu, że małżeństwo zostało zerwane, w gniewie opuścili obozowisko, zabierając Nisę ze sobą.

•

Drugie małżeństwo Nisy też nie obyło się bez problemów. Wśród !Kung dziewictwo nie jest warunkiem zamążpójścia; wręcz przeciwnie, antropolog Marjorie Shostak nie znalazła w słowniku tego ludu takiego słowa. Młode dziewczęta często jednak nie konsumowały swojego związku w noc poślubną. Ustępowały partnerom wiekiem tak bardzo, że udawały obojętność i odrzucały ich awanse. Tak postąpiła Nisa. Jej piersi dopiero zaczynały rosnąć; nie była gotowa do uprawiania seksu. A odmawiała tak uparcie, że po kilku miesiącach czekania jej drugi mąż Tsaa stracił cierpliwość i odszedł.

Wtedy Nisa się zakochała – w Kantli, żonatym mężczyźnie. Kantla i jego małżonka zachęcali Nisę, by została drugą żoną. Odmówiła jednak. Kobiety !Kung nie lubią się dzielić mężem; twierdzą, że seksualna zazdrość, subtelne faworyzowanie oraz sprzeczki przeważają nad towarzystwem i pomocą w domowych obowiązkach. Co więcej, troje partnerów często dzieli tę samą maleńką chatę sypialną, żadne z nich nie ma więc prywatności. W efekcie jedynie ok. 5% mężczyzn !Kung utrzymuje długotrwałe związki z dwiema żonami jednocześnie. Pozostałe 95% stroi sobie z nich niekończące się żarty, opowiadając historie o perypetiach, jakie pojawiają się w takich trójkątach.

Nisa lubiła swojego trzeciego męża; w końcu zresztą go pokochała – i uprawiała z nim seks. (…) Miewała jednak sekretnych kochanków. Kantla, jej szczenięca miłość, był tylko pierwszym z wielu. Czasami spotykała się z kochankiem w buszu, gdy jej mąż wyruszał w podróż lub na polowanie; innym razem zabawiała się w swojej chacie, korzystając z samotności. Gdy odwiedzała krewnych, zaglądała do kochanków w innych wioskach. (…)

Po przedwczesnej śmierci swego młodego męża Nisa została samotną matką z małymi dziećmi. Otrzymywała mięso od ojca oraz innych krewnych i była zdecydowana samotnie wychować swoją gromadkę. Samotne rodzicielstwo nie jest zjawiskiem zarezerwowanym dla zachodniego stylu życia.

Jeden z kochanków Nisy, Besa, okazał jednak wytrwałość; wyszła za mąż po raz czwarty. Nieustannie się kłócili, na ogół o seks. Nisa wyznała, że był „jak młody mężczyzna, niemal dzieciak, który dzień w dzień sypia ze swoją żoną. Czy w końcu nie obetrze jej genitaliów?”. „Jesteś jak kogut”, wykrzyczała Besie. „Nocą raz jest dobry, raz wystarczy; (…) w jedną noc zaruchałbyś kobietę na śmierć!”. Odtąd kłótnie jeszcze przybrały na sile.

Ale Nisa i Besa spędzili ze sobą wiele lat i oboje miewali związki pozamałżeńskie. (…)

•

(…) !Kung uwielbiają seks. „Seks jest pokarmem”, mawiają. Uważają, że jeśli dorastająca dziewczyna nie nauczy się czerpać przyjemności ze stosunku, jej mózg nie rozwinie się prawidłowo i będzie zmuszona żywić się trawą. „Głód seksu – twierdzą – może doprowadzić do śmierci”.

Wszyscy żartują z seksu; popołudnia zamieniają się w festiwal sprośnych żarcików.

W plemieniu Mehinaku mężczyzna potrzebuje żony, by nosiła drewno na opał, a także do towarzystwa i seksu.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Kobiety mają jednak specjalne wymagania wobec męskich narządów płciowych. Nie lubią, gdy penis jest zbyt duży, ponieważ sprawia im ból, ani gdy wytrysk jest zbyt obfity, ponieważ brudzi. Dyskutują więc we własnym gronie na temat „zawartości" oraz dopasowania członków swoich mężczyzn. Domagają się też orgazmów. Jeśli mężczyzna „zrobił swoje", musi kontynuować, dopóki kobieta nie osiągnie spełnienia. Jej seksualne zaspokojenie jest jego obowiązkiem. (…) Mężczyźni martwią się również o jakość swoich osiągnięć. Jeśli mają problemy z erekcją, biorą lekarstwa.

!Kung uwielbiają pocałunki w usta. Nie uprawiają jednak *cunnilingus*. „Pochwa spaliłaby mężczyźnie wargi i język", wyjaśnia Nisa. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety od czasu do czasu się masturbują. Wszyscy żartują z seksu; popołudnia zamieniają się niekiedy w festiwal dowcipów, celnych ripost i sprośnych żarcików. Sny seksualne uznaje się za coś dobrego. A kobiety nieustannie rozprawiają o swoich kochankach podczas wypraw zbierackich z bliskimi przyjaciółkami.

Niektóre reguły dotyczące seksu są jednak surowe. Mężczyźni i kobiety zawsze starają się ukryć swoje romanse przed małżonkami. Uważają, że schadzki wywołują intensywne emocje – przede wszystkim „żar serca". Ponieważ małżonkowie są zazdrośni, mądrze jest ukrywać swoją namiętność, by uniknąć domowej przemocy. Kochankowie poszukują więc bezpiecznych miejsc spotkań – z dala od czujnych oczu i długich języków. Twierdzą, że ich miłość do współmałżonka to zupełnie odrębna sprawa. Gdy niepohamowany apetyt seksualny z początkowego okresu małżeństwa przeminie, mąż i żona często stają się dobrymi przyjaciółmi, żywiąc do siebie niemal rodzicielskie uczucia. (…)

MIŁOŚĆ W DŻUNGLI

„Dobra ryba się nudzi, ale seks zawsze sprawia radość", wyjaśnił Ketepe, członek plemienia Mehinaku ze środkowej Brazylii, serca Amazonii, antropologowi Thomasowi Gregorowi. Ketepe miał żonę, która, jak twierdził, była mu bliska. Lubił zabierać ją oraz dzieci na długie rybackie wyprawy, dzięki czemu mogli spędzić ten czas razem. Kiedy próbował kochać się z żoną w swoim hamaku, gdy dzieci już spały, zawsze ktoś z domowników wstawał, żeby dorzucić do ognia albo wyjść na dwór za potrzebą; dom nie zapewniał prywatności i przestrzeni do seksu. Ketepe rzadko też spotykał się ze swoją żoną w rodzinnym ogrodzie na popołudniowe amory. Życie we wsi, jak twierdził, było zbyt nerwowe.

Seks wśród nastolatków Mehinaku był tak powszechny, że gdy dziewczyna wkraczała do wioski wysmarowana farbą do ciała swojego chłopaka, nikt się nie dziwił.

Ketepe opuszczał swój hamak o brzasku. Czasami wraz z żoną szli nad rzekę, żeby się razem wykąpać; po drodze spotykali inne pary, z którymi gawędzili. Przez większość dni jednak dołączał do grupy rybaków wyruszających krótko po wschodzie słońca. Żona zostawała w domu, by karmić dzieci i wykonywać inne kobiece obowiązki. W południe Ketepe wracał, oddawał ryby małżonce i ruszał do swoich przyjaciół zbierających się w wiejskim „domu mężczyzn" pośrodku placu. (…)

•

Mehinaku byli bardzo zajęci. Kobiety codziennie pracowały od siedmiu do dziewięciu godzin, wyrabiając mąkę z manioku, tkając hamaki, przędąc bawełnę, plotąc sznury, przynosząc drewno na opał i dźwigając wodę z pobliskiego strumienia. Mężczyźni robili znacznie mniej. (…) Mieszkańcy wioski ochoczo angażowali się jednak w inną pochłaniającą czas aktywność: seks. „Seks – mówili – jest jak pieprz, który daje życie i zapał". Mehinaku hojnie doprawiali seksem swoją codzienność.

Krótko po tym jak dziecko Mehinaku zaczynało chodzić, dołączało do grupy rówieśniczej bawiącej się na placu. Gdy maluchy przewracały się i szamotały, dorośli kpili z nich, wołając: „Patrzcie, patrzcie, mój chłopak kocha się z twoją córką". Dzieci szybko podchwytywały grę. Dorastając, podobnie jak dzieci !Kung, zaczynały odgrywać fantazje, które nazywały „małżeństwem".

Kobiety domagają się orgazmów. Seksualne zaspokojenie partnerki jest obowiązkiem mężczyzny.

Mali chłopcy i dziewczynki zawieszali hamaki pośród drzew rosnących na tyłach wsi. Gdy dziewczynki doglądały „ognisk" lub bawiły się w tkanie bawełny, chłopcy zbierali duże liście. Te „ryby na niby" dumnie znosili swoim „żonom", by je ugotowały. Następnie, gdy para zjadła wspólny posiłek, rozpoczynała kolejną zabawę, w „zazdrość". Chłopiec lub dziewczynka wymykali się do buszu, tropieni przez podejrzliwego „małżonka". Gdy zostali przyłapani na udawanej schadzce, partner, któremu przyprawiono rogi, wpadał w złość.

Starsze dzieci obserwowały rodziców uprawiających seks w rodzinnym

eprasa.pl 4bfacdb7d4

ogródku i często porzucały swoje niewinne igraszki na rzecz bardziej dorosłych miłosnych zapasów. Jeżeli jednak rodzice przyłapali dzieci podczas próby odbycia stosunku, bezlitośnie z nich szydzili – a one uczyły się w ten sposób większej ostrożności.

•

Beztroskie dni dziecięcego seksu kończyły się gwałtownie w wieku ok. 11-12 lat. Formalne reguły przyzwoitości wymagały, by w tym okresie życia chłopiec spędził nawet do trzech lat w odosobnieniu. Jego ojciec odgradzał jedną z części rodzinnego domu ścianą z gałęzi i liści palmowych, za którą zawieszał hamak syna. Tam nastolatek spędzał większość czasu, przyjmując specyfiki mające zagwarantować dobry rozwój. Dojrzewający chłopiec musiał mówić cicho, przestrzegać rygorystycznej diety, a przede wszystkim – unikać kontaktów seksualnych.

Pod koniec okresu izolacji zaczynał się jednak wymykać na randki. Usłyszawszy o tym, ojciec zrywał zasłonę. Chłopiec stał się mężczyzną – gotowym, by samotnie wyruszać na dalekie wyprawy rybackie, pracować w ogrodzie i się ożenić.

Młodzi mężczyźni zyskiwali swobodę poszukiwania seksualnych przygód i flirtów, które miały się stać częścią ich codziennego, dorosłego życia. Chłopcy spotykali się z dziewczętami w lesie, żeby uprawiać seks. Niewiele uwagi poświęcali jednak grze wstępnej. Jeśli para znalazła leżący na ziemi gruby pień drzewa, kochała się na nim w pozycji klasycznej, z mężczyzną na górze. Wygodne kłody należały jednak do rzadkości, grunt był podmokły, a owady kąśliwe. Zazwyczaj kochankowie siadali więc twarzami do siebie; ona była na górze i owijała nogi wokół jego bioder.

W innej popularnej pozycji on klęczał, rozkładając szeroko nogi i utrzymując jej uda, pośladki i lędźwie nad ziemią, ona zaś opierała górną część ciała na rozrzuconych ramionach. Pary lubiły również kochać się w stojącej wodzie – uważano, że woda sięgająca do piersi najlepiej podtrzymuje ciało. A jeśli brakowało czasu, kochankowie odbywali stosunek na stojąco; ona oplatała jedną nogą kochanka, on unosił ją lekko nad ziemię.

Seks kończył się wytryskiem mężczyzny. Choć w słowniku Mehinaku nie było słowa oznaczającego kobiecy orgazm, zdawali oni sobie sprawę, że łechtaczka nabrzmiewa w trakcie stosunku i jest źródłem przyjemności. Porównywali kobiece genitalia do twarzy; łechtaczka była w niej nosem, który „wywąchiwał partnerów seksualnych". Antropolodzy nie wiedzą jednak, czy kobiety Mehinaku regularnie doświadczały orgazmów.

Tuż po stosunku kochankowie wracali do domów różnymi drogami – najpierw jednak wymieniali się drobnymi prezentami. Seksualną walutą były ryby. Po wyprawie rybackiej mężczyzna często zatrzymywał się tuż przed wkroczeniem do wsi, wybierał najtłustszą zdobycz i przesyłał ją kochance przez posłańca. Ofiarowywał jej rybę także podczas spotkania. Kochankowie regularnie wręczali sobie również inne drobiazgi, takie jak szpula bawełny, kosz czy biżuteria z muszli. Seks wśród nastolatków był tak powszechny, że gdy dziewczyna wkraczała na centralny plac wioski wysmarowana farbą do ciała swojego chłopaka, nikt nie unosił nawet brwi. Mehinaku nie widzieli nic złego w przedmałżeńskich stosunkach na leśnej polanie.

„Seks jest jak pieprz, który daje życie i zapał", mawiali Mehinaku.

Rodzice wpadali jednak w złość, gdy ich niezamężna córka zachodziła w ciążę.

•

(…) Mehinaku uważali okazywanie miłości za głupie i w złym guście, toteż od młodożeńców oczekiwano powściągliwości. (…) Młodzi małżonkowie bywali zazdrośni, szczególnie gdy przyłapali partnera na romansowaniu.

A romanse zaczynały się na ogół krótko po ślubie. Kluczowym elementem *rendez-vous* było tzw. aligatorowanie. Mężczyzna, który nawiązał romans z kobietą, czekał na nią w „miejscu aligatora" – albo w lesie nieopodal jej domu, przy jednej ze ścieżek promieniście wychodzących z głównego placu wsi, albo w pobliżu ogrodów lub kąpielisk. Gdy przechodziła, kochanek cmokał, by zwrócić jej uwagę, a gdy się zbliżyła, składał jej niemoralną propozycję. (…) Tamalu, najbardziej rozwiązła kobieta we wsi, miała 14 partnerów. Mężczyźni Mehinaku przeciętnie posiadali cztery kochanki jednocześnie.

(…) Mehinaku uważali, że dziecko powstaje z nasienia, toteż jego poczęcie wymagało wielu stosunków. Jak mówili mężczyźni, płodzenie dzieci było „wspólnym zadaniem" – podobnie jak wyprawa rybacka. Dlatego każdy kochanek żywił przekonanie, że niemowlę, które ma wydać na świat kobieta, jest po części jego dzieckiem. Zdarzało się, że jeden z mężczyzn publicznie uznawał dziecko kochanki za swoje i pomagał w jego wychowaniu. (…)

Być może wskutek wszystkich tych zawoalowanych koneksji cudzołóstwo rzadko spotykało się z karą. (…) Nie można przy tym powiedzieć, że mężczyźni i kobiety, których małżonkowie zeszli ze ścieżki wierności, nie cierpieli; seksualne napięcia nierzadko były przyczyną rozwodów. Stopień małżeńskiej niezgody najłatwiej było rozpoznać w sypialni. Gdy hamaki małżonków dzieliło najwyżej kilka centymetrów, oznaczało to, że para jest stosunkowo szczęśliwa. (…)

W odczuciu plemienia Mehinaku mężczyzna potrzebuje żony, by nosiła drewno na opał, przygotowywała maniok i naprawiała jego hamak, a także do towarzystwa i seksu. Podobnie jak !Kung oraz inne ludy, Mehinaku regularnie realizowali ludzką mieszaną strategię rozrodczą zakładającą małżeństwo, zdradę, rozwód i ponowne małżeństwo.

I podobnie jak !Kung Mehinaku uwielbiali seks – zajęcie, które znalazło swoje miejsce w licznych wierzeniach. Zarówno ryby, jak i maniok, podstawa ich diety, wiązały się z seksualnością. Gdy kobiety tarły bulwy manioku, co zajmowało im większość dnia, wieśniacy mówili, że uprawiają seks. Seks był tematem codziennych dowcipów. Mężczyźni i kobiety regularnie droczyli się ze sobą, wykorzystując w tym celu seks. (…) Mity Mehinaku, ich pieśni, rytuały, polityka, ubiór i codzienne czynności – wszystkie przesycone były seksualną symboliką. (…)

Skróty i ilustracje pochodzą od redakcji

Fragmenty książki Helen Fisher *Anatomia miłości. Nowe spojrzenie*, przekład Adam Bukowski i Jacek Środa, Rebis, Poznań 2017

FOT. DOCUMENTARY EDUCATIONAL RESOURCES, WIKIMEDIA COMMONS, BRAZILIANINDIANS.ORG

eprasa.pl 4bfacdb7d4

TAJEMNICE MISTERIU

Sony World Photography Awards

1 *Modlitwa* – Radu Dumitrescu-Elian, Rumunia, kategoria Open, kultura.
2 *Pielgrzym z tradycyjnym krzyżem etiopskim* – Mario Adario, Włochy, lista finalistów ZEISS Photography Award.
3 *Gruziński chrzest* – Beniamino Pisati, Włochy, kategoria Open, kultura.
4 *Lot* – Mina Noei, Iran, kategoria Open, fotografia uliczna.
5 *Jezus* – Famà Pancrazio, Włochy, kategoria Open, kultura.
6 *Ukrzyżowanie w Petare* – Kala Madriz, Wenezuela, 1. miejsce, kategoria Nagrody krajowe.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

M

3

5

6

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4bfacdb7d4

WIELKANOC NA RÓWNIKU

Kiedy jedni Ekwadorczycy biczują się i niosą krzyże nabijane gwoździami, drudzy tańczą, skaczą i śpiewają

Paweł Drąg
Korespondencja z Quito

Piekielnie kręci mi się w głowie, aż trudno utrzymać równowagę. Żar pali twarz, a ciało przechodzą dreszcze. Po dwóch dniach przebywania w stolicy Ekwadoru wysuszona skóra sama odchodzi grubymi płatami. Jest południe, najchętniej schowałbym się w cieniu i zanurzył usta w soku z granadilli. Ale dzisiaj przyjemności schodzą na dalszy plan. Jestem w miejscu, o którym marzyłem od wielu lat. Już za moment rozpocznie się jedna z najpiękniejszych i najbardziej kontrowersyjnych procesji świata – wielkanocna procesja w Quito. Pełna krwi, bólu, łez i poczucia winy stanowi wyraz nas samych.

Główne ulice centrum są zamknięte od wczesnych godzin rannych. Wokół gromadzącego się tłumu krąży kilkoro Indian próbujących naciągnąć widzów na kubki z kawałkami mango, bardzo drogą wodę oraz... piwo. Wciąż jakimś cudem zimne. Przede wszystkim jednak wynajmują plastikowe krzesełka, na których można zająć strategiczną pozycję i poczekać na rozpoczęcie procesji. Na uginających się nogach stoję już od trzech godzin w kapitalnym miejscu do obserwacji. Wiem, że gdy w końcu zaczną się zbliżać, będę w stanie zobaczyć wszystko. Chcę zrobić fantastyczne zdjęcia, a jednocześnie nie zachowywać się jak natrętny, zidiociały turysta. To ważne święto kościelne, sama procesja też jest tu traktowana bardzo poważnie. Machanie aparatem mogłoby być odebrane fatalnie. Mimo że jestem w Ekwadorze od ponad roku, zawsze pozostanę gościem. Tym bardziej że nawet tak niesamowicie medialnej procesji nie towarzyszy chmara turystów. W zasięgu wzroku mam tylko jedną parę wyglądającą inaczej niż miejscowi. Pewnie Amerykanie, strzelam. Innych nacji prawie nie sposób tutaj spotkać.

WIELKANOCNA PROCESJA W QUITO JEST JEDNĄ Z NAJPIĘKN

GRZESZNICY W KAPTURACH

Tłum raptownie milknie. Widać już procesję. Najpierw idzie orkiestra. Złote koszule muzyków błyszczą w ostrym, równikowym słońcu. Za nimi powoli ciągną setki *cucuruchos*, czyli kapturowców. To grzesznicy, którzy ukrywają twarze pod wielkimi kapturami z wyciętymi otworami na oczy. Nie można ich nazwać wyłącznie aktorami odgrywającymi role przed publicznością. Do pochodu *cucuruchos* bardzo często zgłaszają się prawdziwi grzesznicy, by w ten sposób wymierzyć sobie surową karę za niegodziwe uczynki. W posępnym milczeniu idą ulicami, nie zwracając uwagi na obserwujących ich ludzi. Ich widok kojarzy się z Ku Klux Klanem. Tymczasem rodowód jest zupełnie inny – tradycja przywdziewania purpurowych lub fioletowych *sambenito* sięga czasów średniowiecza. Wtedy grzesznicy skazani przez inkwizycję zakładali je jako strój pokutny. Teraz te szaty może włożyć każdy, kto chce odpokutować za swoje przewinienia.

Wielu uczestników przemierza kilometry procesji boso, zostawiając za sobą coraz wyraźniejsze plamy krwi. Niektórzy mają przymocowane długie, ciężkie, pordzewiałe łańcuchy,

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Dlaczego kilkuletnie dzieci znalazły się w tym miejscu? Co mogą mieć na sumieniu?

W większości belek tkwią liczne gwoździe, o które zahaczają niosący je męczennicy. Wielu krwawi – także z głowy, bo włożyli również korony cierniowe. Ich plecy zawzięcie biczują Rzymianie. Mam dziwne wrażenie, że rzeczywiście sprawia im to przyjemność. Kilkoro pątników zatrzymuje się niedaleko mnie, by chwilę odpocząć, jeden upada, drugi prosi o pomoc i otrzymuje ją od kogoś spośród widzów. Część uczestników procesji ma peruki w kolorze blond, ponieważ w ten kiczowaty sposób kojarzy im się Jezus Chrystus.

Niepełnosprawny mężczyzna przemierza całą trasę na kolanach. Z ust cieknie mu ślina, ciało drga spazmatycznie, ale kiedy ktoś próbuje mu pomóc, wściekle odtrąca ludzi rękoma. Wystawiony z własnej woli na publiczny sąd przemierza swoją prywatną drogę krzyżową. Kilka minut po nim przejeżdża na wózku inwalidzkim mały, smutny chłopiec. Za nim kuśtyka chłopiec z jedną nogą. Czuję ucisk w gardle i nie jestem w stanie odpowiedzieć sobie na pytanie, co takiego zrobili, że znaleźli się w gronie grzeszników.

IEJSZYCH I NAJBARDZIEJ KONTROWERSYJNYCH NA ŚWIECIE.

które upiornie dźwięczą. Słyszę je nawet dzień później. Udaje mi się złapać spojrzenie jednej z tych postaci, szybko jednak spuszcza wzrok, jak gdyby zawstydzona tym, że na chwilę straciła koncentrację. Widzę mężczyzn, którzy co kilka kroków biczują się pokrzywami, łodygami róż lub grubymi łańcuchami. Ich plecy świecą się od potu i krwi.

Boli mnie widok kilkuletnich, bosych dzieci. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego znalazły się w tym miejscu. Jakie grzechy mogą mieć na sumieniu? Mam wrażenie, że większość z nich również tego nie wie. Patrzą ciekawie na publiczność, jedna z dziewczynek nawet delikatnie się do mnie uśmiecha. A może tylko to sobie wyobrażam, by złagodzić oglądany obraz? Ekwadorczycy w pełnym skupieniu modlą się i śpiewają. Aparatami wymachują jedynie nieliczni turyści.

JEZUS W PERUCE BLOND

Nadchodzą mężczyźni dźwigający na plecach potężne, ciężkie krzyże.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Pokutnicy na plecach mają krzyże zrobione z kaktusa.

Dostrzegam mężczyzn z krzyżami z kaktusów na gołych plecach, przymocowanymi w taki sposób, by uderzały o ciało przy każdym kroku. Niektórzy niosą drewniane belki najeżone gwoździami, różanymi cierniami i drutem kolczastym. Za nimi ciągną zapłakane Magdaleny w fioletowych szatach i nakryciach głowy zasłaniających twarze. Wiele niesie święte obrazy i różańce. Na końcu idzie orkiestra. Gra cicho. Bardzo, bardzo cicho.

BARANEK Z CHUSTECZKI

Jest rok przed procesją w Quito. Przede mną pierwsza Wielkanoc poza krajem. W Ekwadorze najważniejszym wydarzeniem są wielkopiątkowe procesje. Sobota, niedziela i poniedziałek to już normalne dni, kiedy pucybutów i samozwańczych sklepikarzy sprzedających wszystko, co uda im się wyhodować, jest jeszcze więcej niż zazwyczaj. To dobry czas na interesy.

Próbuję stworzyć świąteczny nastrój w komórce, w której mieszkam. Z chusteczki higienicznej robię baranka, jajka maluję zwykłymi mazakami w polskie barwy. Zawartość koszyczka jest bardzo skromna. Żyję ubogo, w sklepach zaś nie ma wielu produktów, które wpisały się w naszą tradycję. Uzupełniam więc ten mój koszyczek wszystkim, co mi się kojarzy z polskimi świętami. Jest kawałek parówki, chleb, trochę ciasta, sól i awokado. To tyle co nic, ale jestem z siebie dumny. Mam swój kawałek świąt 11 tys. km w linii prostej od Polski.

PEŁNA KRWI, BÓLU, ŁEZ I POCZUCIA WINY PROCESJA WYRAŻA NAS SAMYCH.

Belkę krzyża owinięto drutem kolczastym, aby bardziej raniła.

Piątkowa procesja zwyczajowo zaczyna się z dwugodzinnym opóźnieniem. W końcu ruszają. Samochody udekorowane są balonami, kolorowymi prześcieradłami, wizerunkami aniołów, a nawet kilkumetrowymi figurami Chrystusa wykonanymi z kartonu. Na przedzie kościelne auto, z którego rozbrzmiewają pieśni religijne. Skoczne, wesołe, idealne do śpiewania i tańca. Ludzie łapią się pod ręce i zaczynają tańczyć. Po chwili wszyscy podskakują. Najpierw w lewo, następnie w prawo, później do przodu i do tyłu. Wszędzie słychać śmiech i ożywione rozmowy. Ktoś się wywraca, inny pomaga mu wstać. Jak na dobrej imprezie, która wymknęła się spod kontroli. Jestem skonsternowany. Nie tego spodziewałem się w Wielki Piątek. Nie narzekam jednak. Chwytam dłoń urodziwej Ekwadorki i oddaję się szaleństwu zabawy. Nieświadomy, co czeka mnie rok później i w jaką skrajność trafię, kiedy znajdę się już w Quito...

Paweł Drąg

FOT. PAWEŁ DRĄG

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Jak uciec spod szafotu?

Wszystkie opowieści o rekonstrukcji rządu mają jeden wspólny mianownik – Jarosław Kaczyński pozbędzie się przy tej okazji Witolda Waszczykowskiego. On sam też to czuje. Niedawne ataki, które przypuścił na Donalda Tuska, to przecież była forma obrony, pokazania Kaczyńskiemu, że Waszczykowski jest wierny, dyspozycyjny i wstydu nie ma. A wiadomo, w PiS jest tak jak na porządnym dworze – najważniejsze to podlizać się imperatorowi. A nie ma lepszego sposobu niż atakowanie Tuska lub Wałęsy. Waszczykowski wyskoczył więc przed szereg. Czy mu się uda ocalić stołek? Chyba nie od niego to zależy.

To nie jest wiedza ekskluzywna, Waszczykowski nie jest wymarzonym przez Kaczyńskiego ministrem spraw zagranicznych. Jego pierwszym kandydatem był Ryszard Legutko, szacowny profesor z Krakowa. Ale Legutko, rocznik 1949, prezesowi odmówił, wymawiając się wiekiem. Jasne, jeśli ma się 68 lat, całe życie spędziło się na uniwersytecie, a teraz jest się posłem do Parlamentu Europejskiego i wie, na czym polega praca państwowa, to fotel szefa MSZ nie jest tak bardzo atrakcyjny. Tak więc niechęć Legutki do długich podróży i szarpania się z ludźmi dała Waszczykowskiemu szansę…

Ale ponieważ średnio ją wykorzystał, ponieważ co chwila prokuruje bolesne dla PiS wpadki, wiadomo, że powinien już się żegnać z resortem.

Krążą nawet po MSZ nazwiska jego możliwych następców. Nie, Jacka Saryusza-Wolskiego w tej grupie nie ma. On wciąż jest obcy, choć im bardziej atakuje Platformę oraz Tuska i sygnalizuje, że chciałby z tym towarzystwem się policzyć, tym bardziej jego pozycja w oczach prezesa rośnie.

Wymieniany jest za to Adam Bielan, obecny wicemarszałek Senatu. Ma on tę zaletę, że Kaczyński dobrze go zna. Ale ma też wielką kreskę w życiorysie, bo przecież kiedyś prezesa porzucił. Teraz pewnie chciałby wypłynąć na szerokie wody, poczuć wreszcie wielką politykę, ale…

Problem w tym, że o stanowisku szefa MSZ marzą jeszcze dwa inne wilczki, mniej więcej tego samego formatu co Bielan. Mowa o zastępcach Waszczykowskiego – Konradzie Szymańskim i Janie Dziedziczaku. Pierwszy ma w życiorysie epizod służby dla rozłamowców, więc jeszcze musi popokutować, udowodnić swoją wierność; ten drugi niczego nie musi udowadniać – poza tym, że jest odpowiednim numerem kapelusza. Bo na razie w MSZ zajmuje się Polonią i to jest chyba pułap jego możliwości intelektualnych.

W tej sytuacji Waszczykowski na razie jest silny słabością konkurentów (choć to rychło może się okazać iluzją) i nowym dziełem, którym chce zdobyć łaskawość prezesa. Tym dziełem jest zapowiedziana w ramach nowej ustawy o służbie zagranicznej wielka czystka w MSZ. Wielka wymiana kadr. Że może się skończyć degrengoladą dyplomacji? To pryszcz! Ważne, że wycięty zostanie w pień korpus Geremka, ludzie, którzy przyszli do MSZ z jego poręczenia lub za jego akceptacją. Oni Kaczyńskiego denerwują, więc trzeba z nimi się policzyć.

A Waszczykowski do wykonania tej pracy znakomicie się nadaje. Do uruchamiania gilotyny. Potem, gdy zrobi swoje, będzie można myśleć o kimś bliższym prezesowi i mniej kłopotliwym.

Attaché

Częścią weselnej tradycji w Bangladeszu jest oglądanie przez małżonków swoich twarzy w lustrze po ceremonii zaślubin.

Kazi Mushfiq Hossain, Bangladesz, kategoria Open, kultura, Sony World Photography Awards 2017.

FOT. SONY WORLD PHOTOGRAPHY AWARDS

eprasa.pl 4bfacdb7d4

JOLKA

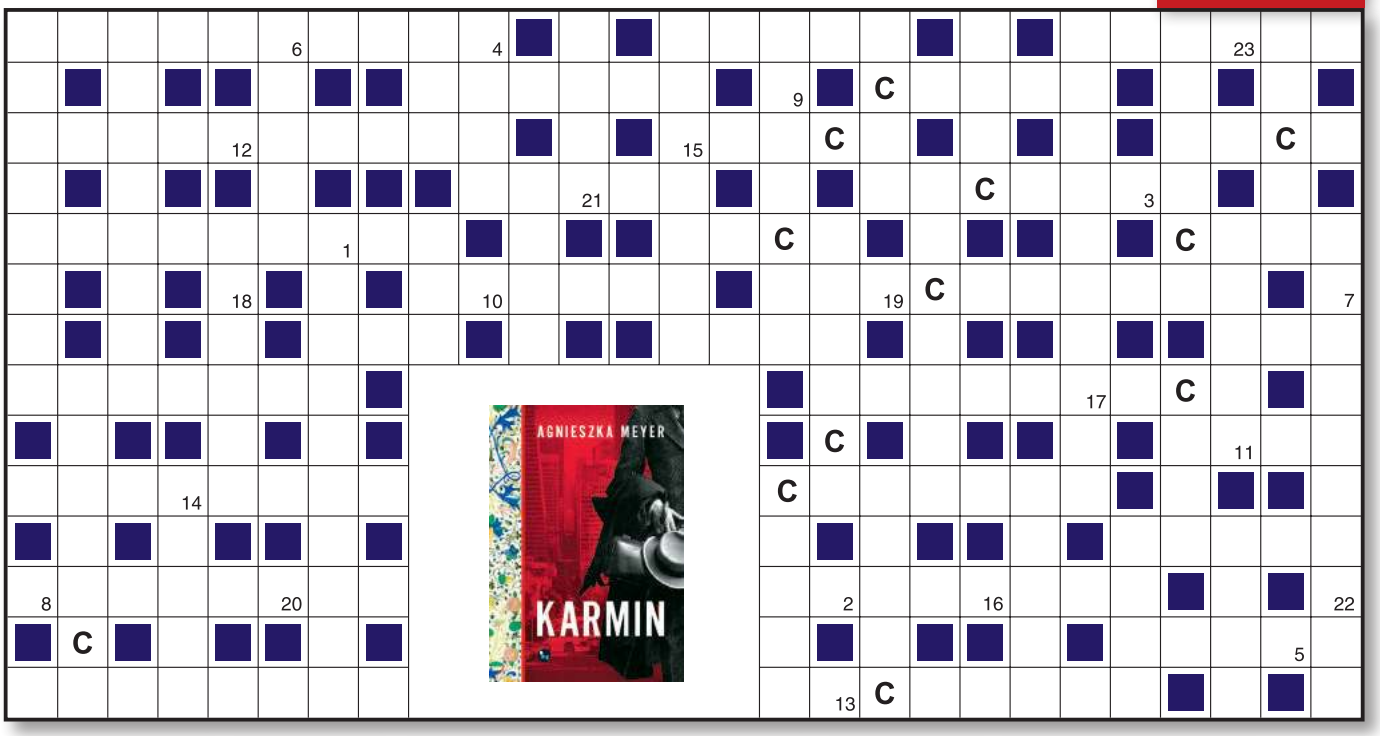

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- krócej niż waszmość pan
- japońska sztuka samoobrony
- podczas I wojny polscy zwolennicy współpracy z państwami centralnymi
- o Anglii: perfidny…
- syntetyczny narkotyk
- inaczej miękławka
- farmaceuta
- imię kompozytora i syna Sema
- król na zamku Camelot
- przeciwieństwo sybarytki
- wyjęci spod prawa kompani Robin Hooda
- autor „Dżumy”
- drzewo z gór Atlasu i Libanu
- wilk miał ją na babkę i wnuczkę
- do powlekania zderzaków aut
- dokument z kwotą do wypłacenia okazicielowi
- osobliwość nad osobliwości
- imię aktora Murphy'ego
- odpust w Krakowie
- władca wiatrów z harfą
- futerał, puzderko
- Niemiec pogardliwie
- święty od idącej do morza zimy
- swawolenie
- kreowany wizerunek
- i kwiaty, i cukierki
- …Koźle
- stopy wody pod nim
- badminton inaczej
- święty z Damianem
- forma, wygląd czegoś
- …lotosu w gimnastyce
- głębszy od snu
- Diego, argentyński piłkarz
- tysiąclecie
- słodki pszczeli produkt
- wygłaszający przemówienie
- są nimi stalaktyty i stalagmity
- weryzm
- brzoskwinia w sam raz do ambrozji
- dawna lewa, odwrotna strona
- Niemcy Wschodnie w skrócie
- możliwości do wyboru
- smerf atleta
- reżyser „Wilczycy”
- generacja
- w starożytności przyrząd do pisania
- od nich szlachta wyprowadzała rodowód
- o wódce gorszego gatunku
- opracowuje prognozę pogody
- gitarzysta żartobliwie
- do włosów lub zamiatania
- tygodnik z czołówki pism amerykańskich
- w mechanizmie, gramatyce i sądzie
- intensywne żywienie świń
- producent samochodów z Uljanowska
- majowy z 1926 r.
- punkt najwyżej na niebie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-802”. Do rozlosowania książki „Karmin” ufundowane przez wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.802.DZIEŃ DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 17 kwietnia 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-799” z 26 marca: *Próżna rada po szkodzie.*

Nagrody otrzymują: Lech Huber z Kielc, Lech Kręciwilk ze Złocieńca, Maria Supik z Cieszyna.

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS

1. Znajdź dwa identyczne zajączki.
2. Odczytaj hasło, wstawiając odpowiednie litery w miejsca oznaczone symbolami.

Masz na to minutę.

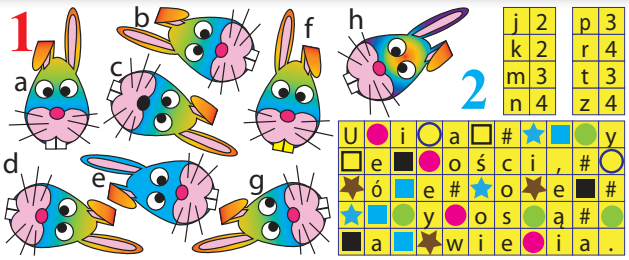

Rozwiązanie na s. 64

eprasa.pl 4bfacdb7d4

PROF. ANDRZEJ WALICKI, HISTORYK IDEI

Prawdą jest, że przeciwstawiłem się popieranej w Polsce tendencji do rozgrywania karty ukraińskiej we własnych celach, a więc wyłącznie przeciwko Rosji. Było to, moim zdaniem, szkodliwe zarówno dla Polski, jak i dla samej Ukrainy, groziło bowiem rozłamem społeczeństwa ukraińskiego na nacjonalistyczną (mniejszościową) część zachodnią i rosyjskojęzyczną ludność wschodnią, lojalną wobec Kijowa pod warunkiem braku ostrych konfliktów z Rosją. Innymi słowy, marzyłem o Ukrainie jako pomoście między Rosją a zachodnią Europą, a nie jako kraju frontowym, oddzielającym nas od Rosji i mogącym służyć jako bastion do walki z Rosją.

PROF. ANDRZEJ LEDER, FILOZOF KULTURY

Głęboko związany z tradycją konserwatywnego katolicyzmu przekaz: „Grzesz, bo każdy jest grzeszny, a potem się spowiadaj", określa pewien rodzaj obłudy życia publicznego, o której wszyscy wiemy, a jednocześnie ją aprobujemy. Tabu, które złamała wypowiedź Natalii Przybysz, to tabu dotyczące tego, że prywatnie można robić wiele rzeczy, ale nie wolno tego ujawniać bez odgrywania spektaklu wstydu i bicia się w piersi. Oczywiście w większym stopniu dotyczy ten nakaz kobiet niż mężczyzn, którzy w Polsce długo mogą zostać „niegrzecznymi chłopcami".

JAN WOŁEK, PISARZ, POETA, BARD POKOLENIA LAT 70.

Za moich czasów to, co teraz nazywa się artystycznym tournée, bardziej przypominało konwoje do Murmańska. Podróżowało się trzecią klasą w bydlęcych wagonach. W środku nocy przerzuty od Przemyśla do Świnoujścia. Po trzy recitale dziennie, i to bez żadnego zespołu – sam szarpałem druty przez godzinę albo i dłużej, bo bisów się wtedy „nie kontraktowało". Grało się, dopóki publiczność chciała słuchać. A potem oczywiście balanga w hotelu i kończenie pijaństwa o czwartej, piątej nad ranem. Co ja będę opowiadał, wszystko jest w „Piosence na wskroś optymistycznej"…

ERYK LUBOS, AKTOR

Mam polski paszport, jak większość ludzi na Śląsku. Niemiecki zresztą też. Losy Śląska są pogmatwane. Moja babcia jest Niemką. Jednak po powstaniu śląskim granice przesunięto tak, że okazało się, że mieszka w Polsce. Z kolei dziadek Lubos, który jest Polakiem, urodził się po niemieckiej stronie. Kiedy wybuchła wojna, walczył w kampanii wrześniowej w wojsku polskim, przez co miał sporo kłopotów. Tak naprawdę babcię i dziadka dzieliła ulica. Oboje mówili po polsku, ale w sytuacjach, kiedy chcieli, żebyśmy nie rozumieli, przechodzili na niemiecki.

FOT. AP/EAST NEWS

Wielkanocne przygotowania idą pełną parą. Tradycyjne przystrajanie drzew pisankami w mieście Saalfeld w Turyngii.

Aby język giętki…

PROF. BOGDAN DE BARBARO O UCZUCIACH
Człowiek najbardziej potrzebuje miłości i przyjaźni. Bo one są zarazem i dawaniem, i braniem dobrego.

GRZEGORZ SCHETYNA O JACKU SARYUSZU-WOLSKIM
Nie odmawiam mu zasług, ale na końcu okazał się zdrajcą. Dziś jest symbolem politycznej zdrady.

KS. STANISŁAW WALCZAK O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM
Ten łgarz ma poparcie silnej grupy polskich biskupów i wielkiej rzeszy polskich duchownych.

MAREK BOROWSKI O STRATEGII MATEUSZA MORAWIECKIEGO
Czy jest to jeszcze strategia „odpowiedzialnego rozwoju", czy też raczej niebezpieczna jazda po bandzie?

JANUSZ ONYSZKIEWICZ O MINISTRACH OBRONY
Przez 25 lat wojskowi mieli kilkunastu ministrów. Macierewicz ma szansę zostać zapamiętany jako najgorszy ze wszystkich.

MARCIN KĄCKI O DZIWNYCH TYPACH
Trzeba się zmierzyć z tymi, którzy nazwali się dziennikarzami, a ukradli nam ważne słowa: „niezależność", „niepokorność", „niezłomność".

JERZY URBAN O USTAWACH PiS
Wśród ustawowych pereł znajduje się piła do wycinania sędziów tak samo jak drzew.

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI O ANTYKONCEPCJI
Wielu katolików stosuje stosunek przerywany, bo jest to mniejszy grzech niż stosowanie środków antykoncepcyjnych.

AGATA DUDA-GRACZ O OLDZE LIPIŃSKIEJ
Dawała mi niezliczone rady w dwóch kategoriach: „Co reżyser powinien" i „Dlaczego reżyserowi nie wolno wiązać się z aktorem".

OLGA FRYCZ O SEKSIE
Dla kobiet w moim wieku seks jest ważny, jest jedną z przyjemności życia. Nie zamierzamy z niej zrezygnować.

PAWEŁ MAŁASZYŃSKI O DEMONACH
Każdy ma w sobie odrobinę zła, ciemną stronę, która zawsze będzie kusić. Jest ciekawsza. Poznałem ją i spróbowałem.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

Baletnica po godzinach.

Przemysław Olejarz, Polska, 3. miejsce w kategorii Nagrody krajowe, Sony World Photography Awards 2017.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

CENZURA DLA SMERFÓW

W izraelskim mieście Bene Berak, którego większość mieszkańców stanowią ortodoksi religijni, dystrybutor filmu usunął z plakatów Smerfetkę, ponieważ jest przedstawicielką płci pięknej. Izraelczycy w całym kraju wyśmiewają tę decyzję i zwracają uwagę na to, że postacie trzech pozostałych smerfów nie noszą koszulek.

KOCIE HUMORY

Naukowcy z brytyjskiego University of Lincoln badali, co oznaczają kocie miny. Wykorzystując zaawansowany program komputerowy CatFACS, obserwowali zachowania 29 kotów. Doszli do wniosku, że ich miny najczęściej odzwierciedlały stan między „zrelaksowanym zaangażowaniem a strachem i frustracją". Ciekawe, do jakich wniosków doszliby, badając ludzi.

NAPIWEK DLA ROBOTA

Działająca również w Polsce sieć pizzerii Domino's zamierza zatrudnić roboty do dostarczania pizzy. Rozwiązanie na razie jest w fazie testów, ale dyrektor wykonawczy spółki Don Meij tłumaczy, że jego wprowadzenie w Europie będzie niezbędne głównie ze względu na szerokie plany rozwojowe. Tylko czekać, jak do naszych drzwi zapuka robot z pizzą. Czy jemu też należy dać napiwek?

RATUNEK DLA PSIAKÓW

W pierwszą niedzielę kwietnia na lotnisku JFK w Nowym Jorku wylądował samolot z 46 czworonogami, które były hodowane na mięso na jednej z farm w Korei Południowej. W kraju tym funkcjonuje obecnie ok. 17 tys. podobnych hodowli, a co roku ok. 2 mln psów zabijanych jest na mięso. Te, które uratowała organizacja Humane Society International, trafią do adopcji w USA.

GRZYWNA ZA SKOK W BOK

W Irlandii Północnej weszły w życie przepisy, które przewidują karanie grzywną w wysokości 1 tys. funtów za korzystanie z usług prostytutki oraz pięcioma latami więzienia za korzystanie z usług prostytutki, która jest ofiarą handlu ludźmi. Zwolennicy nowych przepisów argumentują, że pozwolą one na walkę z handlarzami ludźmi. Krytycy twierdzą, że prostytucja zejdzie do podziemia.

ZE SMAKIEM

Mazurek pomarańczowy z migdałami BEATY PAWLIKOWSKIEJ

To przepis w 100% zdrowy, wegański, bez masła, margaryny, olejów i innych tłuszczów, bez jajek, cukru, śmietany, a jednak pyszny, słodki i aromatyczny.

Składniki: sok świeżo wyciśnięty z jednej pomarańczy, 7 łyżek kaszy jaglanej, niecała szklanka migdałów w płatkach, niecała szklanka ciemnych rodzynek, pół szklanki nasion słonecznika, 5 suszonych fig, 5 łyżek mąki jaglanej, 7 łyżek mąki gryczanej, pół tabliczki gorzkiej czekolady, ćwierć łyżeczki nierafinowanej soli.

Do garnka wlewamy około dwóch szklanek gorącej wody. Dodajemy opłukaną kaszę jaglaną i ćwierć łyżeczki nierafinowanej soli. Gotujemy na małym ogniu, od czasu do czasu mieszając, aż kasza będzie miękka i wchłonie całą wodę. Wyciskamy sok z pomarańczy. W misce mieszamy sok z pomarańczy, rodzynki, nasiona słonecznika, płatki migdałów i figi pokrojone w paseczki. Dodajemy po kolei gorącą kaszę, mąkę gryczaną, mąkę jaglaną, za każdym razem mieszając. Przekładamy do foremki wyłożonej papierem do pieczenia. Pieczemy przez 45 minut w temperaturze 180 st. C. Wyjmujemy gorące ciasto z piekarnika i posypujemy je na wierzchu czekoladą posiekaną nożem na wiórki oraz płatkami migdałowymi.

Przepis i zdjęcia z blogu beatapawlikowska.com

Przegląd „PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY

RDC Warszawa 101 FM DAB+

RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. a, d
2. Unikaj przyjemności, które potem przynoszą zmartwienia.

eprasa.pl 4bfacdb7d4

14-letnia Stephanie Kurlow z Sydney marzy o staniu się pierwszą na świecie baleriną w hidżabie.
Edwina Pickles, Australia, kategoria Open, ruch, Sony World Photography Awards 2017.

ZWOLNIENIE NA KACZKĘ

Serwis CareerBuilder przeprowadził w USA ankietę dotyczącą zwolnień lekarskich. Wynika z niej, że aż 35% osób w 2016 r. nie przyszło do pracy, zrzucając winę na chorobę. Przy czym nie była to jedyna wymówka. Nieobecności usprawiedliwiano m.in. pogrzebem psa, zjedzeniem kociej karmy zamiast tuńczyka, chorobą lamy czy ugryzieniem przez kaczkę.

ROWER BARDZIEJ EKO

Grupa ekologów z firmy Urban CG1 zaprojektowała rower skonstruowany niemal wyłącznie z makulatury. Pojazd jest jednak wodoodporny, gdyż został pokryty ekologiczną farbą polistyrenową. Firma, która stworzyła jednoślad, szuka inwestora, gdyż przedstawiony projekt jest jedynie prototypem.

JEDNAKOWO SZKODLIWE

W Norwegii od lipca wszystkie paczki papierosów mają wyglądać tak samo. Opakowanie ma być ciemnozielone z jednakową czcionką. Celem tej operacji jest zniechęcenie do palenia. Nie wiadomo, jaki przyniesie to skutek, ale na pewno koncerny tytoniowe zaoszczędzą na projektowaniu opakowań.

FOT. FB.COM/SEKCJAGIMNASTYCZNA (2), SONY WORLD PHOTOGRAPHY AWARDS (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
redakcja@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

REDAGUJE KOLEGIUM
Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Bartosz Machalica, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Katowice)
Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Agnieszka Szeszko
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:** Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji: Sandra Zawadzka

Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi, al. Piłsudskiego 82
Prnumeratę krajową od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu". Prenumerata roczna – 250 zł, półroczna – 130 zł, kwartalna – 70 zł
Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka, Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł. Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną na konto **Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.**
Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl.** Pytania prosimy kierować na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do Centrum Obsługi Klienta „RUCH" tel.: +48 (22) 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny
ARTREPUBLICA
Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu" Fundacja Oratio Recta

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 4bfacdb7d4

DUSZA BEZ IMIENIA

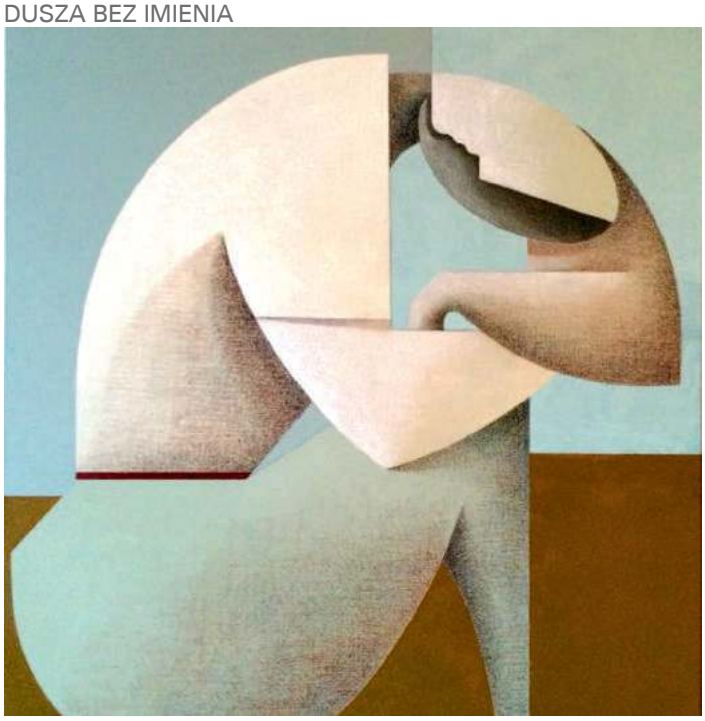

RZECZYWISTOŚCI CICHE ABSTRAKCJE

Rzeczywistości abstrakcje

Anna Zalewska wypracowała umiejętność łączenia dwóch pozornie odległych płaszczyzn: doskonałej formy i pewnego rodzaju szorstkości, co dało oryginalny efekt artystyczny. W jej malarstwie widać koncentrację na formie ludzkiego ciała oraz odrzucenie reguł perspektywy. Różnorodne tematy spaja charakterystyczny styl: silna geometryzacja, wyraźne barwy i ostry kontur.

NEXT Galeria Sztuki
Bydgoszcz, ul. Poznańska 31
do 7 maja

SCHRONIENIE ZWYCIĘZCÓW

OSTATNI BOHATEROWIE

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4bfacdb7d4

teatr powszechny
Teatr, który się wtrąca
Zygmunt Hübner
Mewa
Anton Czechow
Wojciech Faruga
premiera 8 kwietnia 2017
kolejne pokazy
18, 19, 20 kwietnia
fot. Magda Hueckel
Patroni medialni
wyborcza
wyborcza.pl
cojestgrane24

9 Festiwal Muzyki Filmowej Krzysztofa Komedy

www.fmfkk.pl

22 kwietnia 2017
godz. 18⁰⁰

Sala Kameralna Filharmonii Narodowej
ul. Moniuszki 5, Warszawa
Bilety: filharmonia.pl/koncerty-i-bilety/repertuar
i w kasie filharmonii

PROGRAM

Godz. 18.00

Koncert Nadzwyczajny
Janusz Olejniczak
& Atom String Quartet
„Komeda"

Godz. 20.00

Koncert
Oleś Brothers
& Christopher Dell
„Komeda Ahead"

Wystawa fotografii
„Komeda w obiektywie"
Marka Karewicza

Wystawa **„Polski Plakat w Jazzie"**
z kolekcji **Muzeum Jazzu**
w Warszawie

Patronat Honorowy: Prezydent m. st. Warszawy

Organizator

JAZZ ART FUNDACJA

Dofinansowano ze środków

MIASTO STOŁECZNE WARSZAWA

Partnerzy

FILHARMONIA NARODOWA
Muzeum Jazzu
KOMEDA
JANTOŃ
COURTYARD Marriott

Patroni Medialni

TVP KULTURA
TVP 3 WARSZAWA
TOK FM
Classic
cojestgrane24
jazz forum
Przegląd
The Warsaw Voice

eprasa.pl 4bfacdb7d4